



*Marie Louise
Fischer*



*Przypadek Liliiany
H.*

Tytuł oryginału: Das Schicksal der Lilian H.

1

Był piątek, po szesnastej. Drzwi do jednego z laboratoriów Instytutu Medycyny Sądowej otworzyły się szeroko.

– Doktorze Sturm – zawołała sekretarka profesora Fabera nie wchodząc – czy mógłby pan przyjść na chwilkę?

Doktor Michael Sturm, studiujący pod mikroskopem skrawki skóry, odwrócił się, a na jego gładkiej, młodzieńczej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, charakterystyczny dla osób wytraconych ze stanu głębokiego skupienia.

– Profesor Faber chciałby z panem rozmawiać – dodała dziewczyna i nie czekając na odpowiedź wyszła.

– Do licha! – odezwał się doktor Jo Kulicke zajęty układaniem szkieł laboratoryjnych w specjalnej zmywarce.

– To nie wróży nic dobrego – dodał, przeczesując wolną ręką krótko obcięte jasnorude włosy.

– Na to wygląda – mruknął Sturm. Podeszedł do umywalki i spojrzał przelotnie na swoje odbicie w ukośnie zawieszonym lustrze: niebieskie oczy, szerokie czoło, gęste ciemnoblond włosy, nic nadzwyczajnego, gdyby nie krótko przycięta bródka, która – jego zdaniem – dodawała mu powagi.

Fartuch nie wyglądał najczyściej, trzeba go zdjąć, bo profesor Faber jest wyjątkowo precyzyjny na punkcie czystości. Trzeba też bardzo starannie wymyć ręce. Na koniec dr Sturm ubrał się w beżową letnią bluzę wyjściową.

Kulicke przyglądał się koledze i przymrużywszy swoje wąskie, zielonkawe oczy, zaśmiał się.

– Ktoś tu chce zabłysnąć, co?

Sturm przywykł już do docinków młodszego współpracownika.

– Nie wysilaj się, złośliwcze! – rzekł, a przechodząc obok, szturchnął go w bok i dodał: – Nie ruszaj niczego na moim stole; wróć, to skończę.

Szedł wzdłuż korytarza, na drugim końcu zapukał do drzwi gabinetu profesora Fabera.

Dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej, starszy siwowłosey pan, o szczupłej twarzy i z chłodnym spojrzeniem szarych oczu wstał i odłożył okulary w grubej, ciemnej oprawie.

– Ach, to pan, drogi kolego! – przywitał się z charakterystyczną, lekko przesadzoną grzecznością, narzucając od razu wymuszony dystans. – Cieszę się, że zechciał pan przyjść natychmiast. Proszę bardzo, niech pan usiądzie – rzekł, wskazując fotel naprzeciwko biurka.

Michael usiadł, czekając na wyjaśnienia szefa z nie ukrywanym niepokojem. Sam jak zawsze elegancki, dziwnie czuł się w obecności profesora, który na pierwszy rzut oka przypominał z grubsza ociosany kłoc drewna.

– Pan, drogi kolego, starał się niedawno o stanowisko dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej w Kilonii... – zaczął profesor, sadowiać się wygodnie w fotelu.

– Za pańską zgodą, panie profesorze – pośpiesznie dodał Sturm.

– Ależ oczywiście! Nie mam w zwyczaju stawać moim młodszym kolegom na drodze do kariery – twarz profesora nie zdradzała jego nastroju. – Z tym większą przykrością muszę pana poinformować, że w Kilonii pańska oferta nie została przyjęta i stanowisko objął już ktoś inny.

Michael czuł, jak na przemian robi mu się zimno i gorąco. Bardzo liczył na zmianę pracy, a tymczasem... fiasko!

– Dowiedziałem się o tym nieoficjalnie – profesor bawił się rogową oprawką okularów – ale zdecydowałem się panu powiedzieć, żeby nie trzymać pana dłużej w niepewności.

– Dziękuję, panie profesorze – wydusił z siebie z trudem.

– Niech pan się nie załamuje, doktorze! – wąskie usta profesora ułożyły się w coś na kształt uśmiechu. – Po co panu ta Kilonia?

– Chciałem się ożenić, profesorze.

– Tutaj też źle pan nie zarabia...

– Mam na utrzymaniu także matkę.

– Tak, rozumiem. Pańska narzeczona niecierpliwi się, ale niech pan posłucha rady starszego, doświadczonego mężczyzny... Ile pan ma teraz lat?

– Dwadzieścia osiem.

– No, widzi pan! Nikt nie powie, że w tym wieku za wcześnie się żenić, ale też nikt nie mówi, że za późno. Co do mnie, to szczerze się cieszę, że zostanie pan w naszym instytucie.

Wyglądało, że profesor skończył rozmowę. Sturm wstał, ale szef podniósł swoją szczupłą rękę i zatrzymał go.

– Chwileczkę, drogi kolego. Jak pan wie, lecę dziś do Berlina na kongres. Proszę poprosić sekretarkę, żeby dała panu wykaz adresów i telefonów, pod którymi będę osiągalny. W razie potrzeby mogę wrócić w każdej chwili, ale mam nadzieję, że w weekend nie zdarzy się żadne morderstwo, a w pozostałych sprawach zdaję się całkowicie na pana.

W laboratorium nie było już nikogo prócz dr. Kulickego, który siedząc na parapecie palił papierosa.

– Masz minę, jakby cię stary przepuścił przez maglownicę – przywitał Sturma.

– Z Kilonii przyszła negatywna odpowiedź.

– Od razu ci to mówiłem! – Kulicke zeskoczył na ziemię. – To sprawka starego. Napisał pewnie opinię, że za młody na tak odpowiedzialne stanowisko, że brak doświadczenia i temu podobne brednie.

– Nie sędzę – pokręcił głową Michael. – Był dla mnie bardzo miły.

– Miły! I ty się dałeś na to nabrać? Stary cwaniak! Jeszcze mu się dobierzemy do skóry.

– Daj spokój, Jo. Nawet jeśli masz rację, to i tak nic nie pomoże. Teraz dla mnie jest ważniejsze, jak o tym powiedzieć Ewie.

– Współczuję ci, Michael. Wiem, że będzie rozczarowana.

Fabryka Schdlera znajdowała się na peryferiach. Hale produkcyjne zgrupowane wokół biurowca zamilkły dokładnie o piątej, kiedy syrena obwieściła koniec pracy, a zarazem koniec tygodnia roboczego.

Pracownicy spieszyli do bram, natomiast w pomieszczeniach dyrekcji praca wciąż trwała. Donośny głos dyrektora Kaysera było słychać aż na korytarzu:

– Panno Horn, proszę o korespondencję do podpisu!

– No, najwyższy czas! – mruknęła Liliana Horn, wstając od biurka.

Poprawiła na biodrach obcisłą, białą spódnicę, nie zwracając uwagi na koleżankę, pannę Föllner, która z zaciśniętymi ustami obserwowała ją, patrząc zazdrośnie przez grube szkła okularów.

Liliana uśmiechnęła się.

– Niech pani się nie martwi, złotko. Wkrótce wyjeżdżam na urlop i znów' będzie pani miała okazję podstawić staremu kolano do potrzymania.

Szara twarz panny Föllner skurczyła się, a z wykrzywionych ze złości ust padło tylko krótkie słowo: „Żmija!”

Liliana chwyciła dwie teczki dokumentów do podpisu, uśmiechnęła się i tanecznym krokiem przeszła przez cały pokój. Zamknęła za sobą

dźwiękoszczelne drzwi gabinetu szefa.

Dyrektor Kurt Kayser podniósł na nią swoje niebieskie, błyszczące z zachwyty oczy! – Jak pani to robi, Liliano? Po ośmiu godzinach pracy wygląda pani jak wywinięta z płátka.

– Kwestia wprawy, panie dyrektorze. – Liliana położyła obie teczki na biurku, pochyliła się mocno do przodu, aż wstążka jej jasnożółtej szyfonowej bluzki musnęła policzek dyrektora. Mówiąc te słowa poklepała go poufale po ręku.

Podpisywał jeden dokument po drugim. Liliana w tym czasie zapatrzyła się w jego opaloną łysinę okoloną wianuszkami siwych włosów. Zatrzymał się nad dłuższym tekstem, a ona, zniecierpliwiona, ostentacyjnie patrzyła w okno, za którym rozciągała się monotonna panorama typowego nadreńskiego miasta przemysłowego z kominami i kopalnianymi wieżami, przykryta mgiełką wszędobyłskiego kurzu.

– Weekend chcę spędzić na Sylcie – rzekł dyrektor, wpisując w tekście pominięty przecinek. Złożył podpis, z którego czytelna była właściwie tylko litera K.

– Życzę przyjemnej zabawy – odpowiedziała Liliana przewracając następną kartkę.

– Wystarczy słówko, a zabiorę cię ze sobą – zmienił szybko oficjalne „pani” na poufale „ty”. Zauważyła to natychmiast.

– Wzruszyłam się do łez.

– A więc?

– Nie jestem zainteresowana.

Uniósł głowę i patrzył jej prosto w oczy.

– Wiesz przecież, że mówię poważnie, Liliano. Jesteś dla mnie jedyną, najwspanialszą...

W jej oczach przypominających kolorem bursztyn, pojawił się błysk.

– Nie wysilaj się. Znam tę śpiewkę nie od dziś – przerwała mu.

Położył obie ręce na jej biodrach i przyciągnął do siebie.

– Dawno już powinienem się rozwieść...

Wyrwała mu się z ręcznie.

– Nikt cię o to nie prosił!

– Zrobiłbym to, gdyby żona nie była ciężko chora. Miałbym zostawić kalekę na pastwę losu? Nie ma nikogo prócz mnie.

– Jak ona się czuje? – spytała Liliana zmienionym nagle głosem.

– Jest nieuleczalnie chora i dobrze o tym wie – odpowiedział zdenerwowany. – Naprawdę, nie mogę już patrzeć, jak ona się męczy.

– Ach, rozumiem! – uśmiechnęła się szyderczo.

– I dlatego zostawiasz ją w każdy weekend samą, bo nie możesz...

Przerwała nagle, gdyż zauważyła wciśnięty klawisz interfonu. Szybkim ruchem zwolniła go i zielona lampka zgadła.

– Cholera, nie zauważyłem! Gniewasz się? – spytał przesuwając delikatnie ręką po gładkiej powierzchni rajstop na jej udach. – Chyba cię skompromitowałem.

Cofnęła się. – Nie sędzę – rzekła, składając starannie umalowane usta do uśmiechu. – Znasz moją dewizę: kto raz stracił cześć, może żyć na luzie!

– A więc jedziesz ze mną?

– Niestety, szefie! Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. – Zwinęła szybko teczki, musnęła wargami łysinę dyrektora i tanecznym krokiem odeszła do drzwi. – A poza tym mam ciekawsze plany! – dodała.

Wcisnął klawisz interfonu. – Panno Föllner, proszę...

– Tak, panie dyrektorze? – zaskrzeczał z głośnika zdyszany i załamujący się ze zdenerwowania głos starej panny.

– Proszę połączyć mnie z żoną – dokończył, a pochyliwszy się dodał:
– chwileczkę, panno Föllner... poza tym bardzo liczę na pani dyskrecję. Czy pani mnie zrozumiała?

2

Siostra Eliza stanęła w kącie oświetlonego słońcem pokoju i czekała, aż pani Kayser skończy rozmawiać przez telefon. Kątem oka obserwowała pacjentkę, by w odpowiedniej chwili zdążyć odebrać z jej bezwładnej ręki słuchawkę, zanim zawiśnie ona na skróconym sznurze przy aparacie. Podniosła ją, przyłożyła do ucha, a ponieważ słychać już było tylko ciągły sygnał, odłożyła ją na widełki.

Popatrzyła ze współczuciem na twarz Ireny Kayser leżącej z zamkniętymi oczyma. Jej pokryte szminką usta, pociągnięte tuszem rzęsy i zaczerwienione brwi wyglądały okropnie na tle bladych, zapadniętych policzków i starannie uczesanych ciemnych, poprzetykanych siwizną włosów. Ubrana była w białą nocną koszulę z długimi rękawami, ozdobioną koronkowymi aplikacjami. Wokół szyi, pomimo panującego w pokoju gorąca, miała owinięty gruby kaszmirowy szal.

Młoda pielęgniarka nie odezwała się ani słowem. Pracowała w tym domu już na tyle długo, by wiedzieć, co w późne piątkowe popołudnie oznaczał telefon od pana Kaysera.

Ponieważ chora nie poruszyła się, Eliza wyszła na taras i przyglądała się równiutko przystrzyżonemu trawnikowi i klombom pokrytym kwiatami, wsłuchiwała się w jednostajny szum pracujących zraszaczy.

– Siostro...

Głos Ireny Kayser był ledwie słyszalny, ale na tyle donośny, że

pielęgniarka natychmiast znalazła się przy łóżku chorej. Ta patrzyła na nią bez wyrazu.

– Mogłaby pani zmyć mi makijaż?

Pokój, w którym się znajdowały, służył kiedyś za jadalnię, o czym świadczył kredens z białego klonowego drewna, zajmujący całą niemal ścianę. Siostra Eliza poustawiała na jego półkach przybory potrzebne jej do pielęgnacji chorej. Na wózku do rozwożenia herbaty ułożyła teraz buteleczki,

przeróżne pudełka, z kuchni przyniosła plastikową miskę z ciepłą wodą i podjechała do łóżka. Usiadła na jego krawędzi i zaczęła starannie zmywać twarz chorej mleczkiem kosmetycznym.

– Niech pani nie ma za złe mojemu mężowi – odezwała się Irena – On ma tyle energii... życie w nim aż kipi... więc musi od czasu do czasu wyrwać się stąd. Rozumie to pani?

– Spędzimy we dwie bardzo sympatyczny weekend – zapewniła Eliza. – Jeśli jutro będzie piękna pogoda, być może wyprowadzę panią na taras.

Chora nagle zmieniła ton:

– Niech pani nie przesadza z tą troskliwością! Dobrze wiem, że sprawiam aż nadto kłopotów i ma mnie pani szczerze dość.

– Taki mam zawód, pani Kayser, i wybrałam go dobrowolnie.

– Tylko niech mi pani nie wmawia, że opieka nad kaleką jak ja sprawia pani przyjemność. Pani musi mnie nienawidzić... Nie, nie, proszę nie zaprzeczać. Nie mam do pani pretensji, bo sama też mam siebie dość. Co to za życie?! Ciągle zdana na czyjaś łaskę, bez żadnej szansy na wyzdrowienie...

– Nie wolno pani tak mówić, pani Kayser. Doktor Koblenz... my

wszyscy mamy nadzieję. Proszę sobie przypomnieć: dwa tygodnie temu czuła się pani o wiele gorzej

– Eliza nie dopuszczała pacjentki do słowa. – Nie jest jeszcze najlepiej, ale to nie powód, żeby się załamywać. Pacjent musi być dzielny!

Irena z trudem podniosła rękę i chwyciła pielęgniarkę za ramię.

– Pani jest dla mnie taka dobra! – rzekła, a w oczach stanęły jej łzy. – A ja traktuję panią jak stara megiera.

– Och, stanowczo się nie zgadzam! – protestowała Eliza zmywając kosmetyki zwilżonymi kłębkami waty.

– Pracuję dla pani z chęcią, naprawdę!

– Za ciężko pani pracuje. Jest pani bardzo młoda... O, mam pomysł: niech pani rzuci to wszystko i pójdzie dziś do kina.

– To niemożliwe, proszę pani! Nie mogę zostawić pani zupełnie samej.

– Ależ siostró! – pani Irena próbowała się uśmiechnąć. – Dlaczego nie miałabym zostać sama? Czego tu się bać? Nie mam już nic do stracenia ani też do zyskania. Niech pani sprawi mi przyjemność i nie da się prosić.

– I tak nie grają nic ciekawego. – Eliza wycierała twarz chorej czystym miękkim ręcznikiem. – Same tylko erotyki, czy coś w tym rodzaju.

– To niech pani obejrzy erotyk! Mówię zupełnie poważnie – pacjentka wyraźnie się ożywiła. – Myślę, że powinna pani obejrzeć taki film i odrzucić wszelką pruderię, bo nie chcę zapeszyć, ale nigdy nie wyjdzie pani za mąż.

Twarz siostry spochmurniała nagle.

– Wcale mi się nie spieszy.

– Wszystkie tak mówią, aż pewnego dnia okazuje się, że jest już za późno. Radzę pani pójść na film erotyczny. Co tam radzę! Ja pani każę iść, siostró! Mam w tym także swój interes, nie powiem... Wreszcie opowie mi

pani coś nowego!

Eliza wyglądała na prawie przekonaną. – A jak zrobimy z kolacją? – próbowała użyć ostatniego argumentu.

– Drobiazg! Zjem coś trochę wcześniej. Później przygotuje mnie pani do snu i wreszcie wyrwie się z tej lazaretowej atmosfery. Klamka zapadła i nie przyjmuję żadnych sprzeciwów.

3

Liliana otulona w biały płaszcz kąpielowy, w turbanie z ręcznika, szczelnie okrywającym jej długie blond włosy, wyciągnęła się na łóżku czekając, aż wsiąknie maseczka kosmetyczna nałożona na twarz. Delikatnie ruszała wyprostowanymi palcami obu rąk, chcąc przyspieszyć schnięcie lakieru na wypielęgnowanych paznokciach.

Świeże wiosenne powietrze wpadało przez otwarte na oścież drzwi balkonowe do pokoju na dziewiątym piętrze wieżowca, zwanego popularnie w mieście „bunkrem sekretarek”. W istocie, nowoczesne jednopokojowe apartamenty w tym budynku zajmowały głównie samotne kobiety, niekoniecznie jednak sekretarki.

Liliana leżała bez ruchu, starała się nie myśleć o niczym, sądząc, że w ten sposób poprawi skuteczność maseczki, ale mimowolnie przypominała jej się dzisiejsza rozmowa z szefem.

Czy on mówił poważnie? Nie kochała go ani trochę, ale też ani przez chwilę by się nie zastanawiała, czy za niego wyjść. Gdyby był wolny, oczywiście. Po nieudanym małżeństwie, zawartym – jak się wydawało – z wielkiej miłości, Liliana postanowiła traktować mężczyzn rzeczowo i z

dystansem. Kurt Kayser nie wyróżniał się niczym szczególnym, nie był ani przystojny, ani młody. Był niewątpliwie inteligentny i odnosił sukcesy. Swojej partnerce zapewniał dobrą pozycję społeczną, beztroskie życie. Mogła sobie pozwolić na drogie futra, biżuterię, weekendy na Wyspach Fryzyjskich, na wygodne mieszkanie. To wszystko miałyby Liliana, gdyby tylko Kayser nie był żonaty. On jednak miał żonę, nieuleczalnie chorą na stwardnienie rozsiane, co oznaczało, że sytuacja może się nie zmienić przez najbliższe dwadzieścia lat. W takim razie Kurt Kayser nie liczył się jako poważny partner, z którym warto się wiązać.

Liliana uniosła się na łokciach, by spojrzeć na stojący obok łóżka budzik. Dziesięć minut przeznaczonych na maseczkę minęło. Pobiegła boso do łazienki przedzielonej na specjalne zamówienie czarnymi i czerwonymi przegrodami z pleksi, zmyła pod prysznicem stwardniałą maseczkę i nasmarowała kremem najpierw twarz, a potem całe ciało.

Mimochodem zerknęła w lustro i z uwagą przyjrzała się swoim długim, zgrabnym nogom, drobnym, jędrnym piersiom, biodrom, na których nie było ani grama zbędnego tłuszczu, równo zarysowanej talii i szczupłej twarzy z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi i pięknymi oczami, kolorem przypominającymi bursztyny. Ani śladu zmarszczek. Nikt nie dałby jej więcej niż osiemnaście lat, gdyby nie spojrzenie świadczące o pewnym doświadczeniu, jakiego nie mają młode dziewczęta.

Kiedy się uśmiechnęła, wyglądała jeszcze młodziej. Zrzuciła turban i rozgarnęła palcami włosy. Po ciemnych odrostach nie było ani śladu, z przyjemnością Liliana rozczesała więc gęste jasnoblonde pukle.

Kilka kropel perfum... Naciągnęła na siebie białe jedwabne majteczki, stylonowe pończochy i przypięła je do podwiązek.

Jeszcze trochę dezodorantu pod starannie wygolone pachy i można

zacząć makijaż. Trwało to dość długo, ale rezultat śmiało można by nazwać dziełem sztuki.

Uprzątnęła z grubsza łazienkę i wróciła do pokoju. Wyjęła z szafy suknię bez rękawów ze złotego brokatu, przeciągnęła ją przez głowę i bez trudu zasunęła zamek błyskawiczny na plecach. Włożyła złote czółenka i wzięła dopasowaną do nich torebkę. Zdjęła z wieszaka etolę ze skórek jagnięcych i rzuciła ją na fotel.

Było dwadzieścia minut po ósmej.

Liliana weszła do kuchni i sięgnęła po stojącą w lodówce butelkę wódki. Aluminiowa nakrętka nie ustępowała mimo prób podważenia jej za pomocą kuchennego noża. Skończyło się krótkim syknięciem, gdy Liliana skaleczyła sobie kciuk i wskazujący palec prawej ręki.

Odruchowo wsadziła oba palce do ust i pobiegła do łazienki, by nad umywalką zmyć krew pod strumieniem wody. Lewą ręką sięgnęła do szafki po alunowy sztyft i przyłożywszy go do ran, natychmiast powstrzymała krwawienie.

Splukała umywalkę, odłożyła sztyft na miejsce i wróciła do kuchni. Ze złością cisnęła aluminiową zakrętkę do kosza, naląła sobie kieliszek wódki i wypiała go jednym haustem.

W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi, trzykrotnie, w jednakowych odstępach. Liliana wzięła etolę, torebkę, rękawiczki. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i windą zjechała na parter.

Czekał tam pan Kerst, właściciel agencji „Usługi towarzyskie Sp. z o. o. , niepozorny starszy pan z włosami w kolorze piasku, dziś ubrany w ciemny garnitur i srebrny krawat.

– Punktualna, jak zawsze – przywitał ją. – To dobrze – dodał i otworzywszy drzwi, przepuścił Lilianę przed sobą.

Kilka kroków od wejścia stał zaparkowany jego granatowy mercedes 300. Było jeszcze jasno, lecz w niektórych oknach wieżowca paliły się już światła.

– Może wolałaby pani, żeby następnym razem nie czekać pod samymi drzwiami? – spytał, chwytając delikatnie Lilianę za ramię.

– Skąd ten pomysł, panie Kerst? Dla mnie tak jest wygodniej.

– Jest pani obserwowana.

– Przez kogo?

Kerst podniósł wysoko głowę wskazując na wieżowiec.

– Przez sąsiadki! – rzekł.

– One? – zaśmiała się Liliana. – A niech sobie patrzą! Nie robię przecież nic złego.

– Ale...

– Każda z nich puszcza się co weekend, chociażby dla zabicia czasu, i w porównaniu z nimi ja jestem aniołem. One dobrze o tym wiedzą i żadna nie odważy się mnie zaczepić.

Kerst otworzył przed Lilianą tylne drzwi mercedesa. Na przednim fotelu siedziała już Ruth Fiebig, panienska z jasno- rudymi, krótko obciętymi, kręconymi włosami. Odwróciła bladą twarz i przymrużając ciemne, wielkie oczy, uśmiechnęła się do Liliany. – Fajnie, że znowu pracujemy razem. – rzekła.

– Cześć Ruth!

Kerst włączył silnik i cofając wyjechał na jezdnię.

– Wiesz już, jaki mamy plan na dzisiaj? – spytała Liliana.

– Jeszcze nie! – zawołała Ruth zerkając spod oka na pana Kersta.

– Mam nadzieję, że nie czeka nas ciężka harówka. Po całym tygodniu pracy czuję się naprawdę zmęczona.

– Na pewno nie będziecie dziś tłumaczyć – zapewnił Kerst. – Zlecenie złożył Niemiec, niejaki pan Schmitt, właściciel fabryki zabawek. Pewnie go znacie, bo już wielokrotnie korzystał z usług naszej agencji.

– Nie przypominam sobie – odparła Liliana.

– To bardzo sympatyczny, poważny gość, ale same zobaczycie. Prowadzi negocjacje z jakimś handlowcem z prowincji i chce go zaprosić na kolację w miłym towarzystwie.

– To może od razu pojedziemy do Dusseldorfu – zaproponowała Liliana – bo tutaj...

– Nie, nie! – przerwał jej Kerst. – Chodzi o krótkie spotkanie, o nadgodzinach nie ma mowy, bo facet odlatuje już jutro rano.

– Szkoda! – westchnęła Liliana.

– Niezmordowana! – zaśmiała się Ruth. – Czy ty nigdy nie masz dosyć, Liliano?

– Póki jestem młoda, skreślam ze słownika słowo „zmęczenie”. Może gdy będę stara i zgrzybiała...

Obie rozchmurzyły się nieco, gdy Kerst zaparkował pod „Taverną”, restauracją w włoskim stylu, znaną z dobrej kuchni, przednich trunków i słonych cen, gdzie schodziła się miejscowa śmietanka.

„Taverna” znajdowała się za miastem, powyżej wałów przeciwpowodziowych, gdzie Ren rozlewał się szerokim korytem. Podświetlone kasztanowce odbijały się w lustrze wody i przy odrobinie fantazji, zwłaszcza w upalne dni, jak dzisiaj, można było się czuć tu jak na śródziemnomorskim wybrzeżu albo przynajmniej nad jednym z jezior północnej Italii. Wrażenie to potęgowała jeszcze włoska muzyka odtwarzana z taśmy magnetofonowej.

Kerst pomógł wsiąść najpierw Lilianie, potem Ruth, w końcu oddał

portierowi kluczyki od samochodu.

Weszli do sali udekorowanej na brązowo w stylu włoskim, jednak atmosferą od razu zdradzającej niemiecką publiczność. Zapraszający panowie siedzieli przy okrągłym stoliku, nakrytym śnieżnobiałym obrusem. Na widok Kersta wchodzącego w towarzystwie dwu dziewcząt podnieśli się równocześnie.

Zacząła się prezentacja. Liliana dopiero przy stole przyjrzała się nieznanym. Spojrzawszy na wyższego, barczystego uśmiechniętego bruneta, zbladła i przymrużyła oczy jak ktoś, kto z ciemności wszedł do jasno oświetlonego pokoju. Ani jeden gest nie zdradził jednak, że znała tego mężczyznę. Opanowała się w mgnieniu oka.

Kiedy pan Schmitt przedstawiał: – Pan Togler... panna Horn – oboje przywitali się jak dwoje nieznanym.

Dopiero po chwili Liliana uświadomiła sobie, że drżą jej kolana, i z ulgą przyjęła propozycję, żeby usiąść. Czowała się niezręcznie. Czasami zastanawiała się, co zrobi, jeśli kiedyś spotka Huberta Toglera, ale nie przypuszczała, że dojdzie do tego w takich okolicznościach. Musiała przyznać, że tamten rozdział jej życia wcale nie został zamknięty, jak się mogło wydawać.

Hubert zajął się rozmową z Ruth. To dobrze, bo nie powinien zobaczyć Liliany zdenerwowanej. Ostentacyjnie odwróciła się w stronę pana Schmitta i próbowała nawiązać z nim rozmowę, próbowała, bo pomimo ogromnego wysiłku, nie potrafiła się skupić ani na jego słowach, ani też na swoich odpowiedziach.

Podano koktajl. Dopiero gdy Liliana wypła pełny puchar niemal duszkiem, poczuła się trochę lepiej.

– Jeszcze jeden? – spytał pan Schmitt z uśmiechem.

Liliana zobaczyła przez moment ostrzegawcze spojrzenie pana Kersta, ale odpowiedziała bez wahania; – Tak, bardzo proszę.

Drugi kieliszek wypić sama nie wiedząc kiedy. Zauważyła, że podczas uśmiechu kąci jej ust dziwnie drętwieją, a twarze przed jej oczyma tracą ostrość i zaczynają wirować.

– Jestem pijana! – przeraziła się. Wstała z wyraźnym wysiłkiem uważając, by się nie zatoczyć i rzekła jakby nie swoim głosem:

– Przepraszam panów na chwilę...

– Liliano, źle się pani czuje? – spytał Kerst.

– Ależ skąd! Zaraz będę z powrotem – uśmiechnęła się niewyraźnie, a gdy Ruth chciała wstać także, rzekła: – Zostań. Proszę!

Sztywnym krokiem wyszła z sali. Zamierzała pójść do przylegającego do restauracji ogrodu, ale pomyliła kierunki i znalazła się na ulicy. Wciągnęła głęboko powietrze. Zawroty głowy zamiast ustąpić, jeszcze się nasiliły. Liliana miała ochotę rzucić się na trawnik oddzielający jezdnię od chodnika, zakryć twarz rękoma i wyć.

Zebrała resztkę silnej woli i poruszając mechanicznie nogami, szła krok po kroku naprzód.

Pozostali jedli już przystawki, kiedy Liliana, wypoczęta i ożywiona, wróciła jakby nigdy nic. Nikt zresztą nie pytał, gdzie była. V

– Zamówiłam również dla ciebie – poinformowała Ruth. – Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

– Oczywiście, znasz mój gust lepiej ode mnie.

Liliana jadła z apetytem. Wyraźnie unikała jedynie białego wina, które zamówił pan Schmitt. Była w doskonałym nastroju. Przy ich stoliku raz po raz wybuchały salwy gromkiego śmiechu.

Po deserze. zaproponowano kawę. Ruth zgodziła się Liliana odmówiła:

– Dziękuję, jeżeli miałabym wybór, wolałabym zatańczyć – rzekła patrząc Toglerowi prosto w oczy.

Wstał i razem wyszli na taras, gdzie orkiestra grała melodię „Moon River”. Liliana poruszała się jak piórko, zaś Hubert był wyraźnie spięty.

– Chyba się mnie nie boisz? – roześmiała się.

– Jesteś niebezpieczną kobietą.

– Bez przesady! Kilka lat temu miałeś więcej odwagi?

– Wiedziałem, że mi to wypomnisz.

– A myślałeś, że ja o wszystkim zapomniałam?

– Liliano! – zawołał zbyt głośno i zmieszany dodał: – kochałem cię... poważnie!

Uniosła lekceważąco brwi.

– Wielka mi pociecha!

– Nie mogłem się z tobą ożenić, zrozum! Walczyłem z sobą, Bóg mi świadkiem, ale nie mogłem! Mieszkałem wtedy w małym miasteczku, prawie wsi; wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym przyprowadził tam żonę rozwódkę?

– Nie, ale chętnie zobaczyłabym to na własne oczy – rzekła, a kładąc mu palec na ustach dodała: – nie musisz się bronić. To było dawno. Stare dzieje. Nie miałam zamiaru czynić ci wyrzutów, a jedynie zależało mi na oczyszczeniu atmosfery, jak przystało na dwoje rozsądnych ludzi. A zatem, wyprowadziłeś się z tej twojej wsi?

– Tak. Mieszkam teraz w Monachium i pracuję dla sieci dużych domów towarowych. Ożeniłem się. Moja żona właśnie oczekuje dziecka.

– Mogę ci tylko pogratulować z całego serca – uśmiechnęła się, ale w głębi duszy poczuła nieznośny ból.

4

Siostra Eliza wróciła do wili Kayserów dwadzieścia minut po dziesiątej wieczorem. Poszła prosto do swojego saloniku, położonego obok jadalni zamienionej teraz na izbę chorych. Po cichu otworzyła wewnętrzne drzwi. Dziwne, że nie pali się lampka nocna, ale ponieważ chora, która budzi się przy najmniejszym szmerze, dziś jej nie woła, to oznacza, że na szczęście zasnęła głęboko. Eliza odeszła nie zapalając światła.

Przebrała się w łazience dla gości, wróciła do swojej sypialni i położywszy się na tapczaniku, zasnęła natychmiast.

Obudziła się z wrażeniem, że stało się coś nieprzewidzianego. Nasłuchiwała w ciemnościach – cisza. Przez zasunięte zasłony wdzierał się blady promyk wschodzącego słońca. Jak to? Minęła noc, a pani Kayser ani razu się nie obudziła? Wskazówki wielkiego budzika wyraźnie wskazywały za dwie minuty piątą.

Eliza wskoczyła w pantofle, narzuciła na siebie szlafrok i pobiegła do zawsze uchylonych drzwi do pokoju chorej.

Przez otwarte na oścież drzwi balkonowe wlewało się słabe światło. Pacjentka leżała na łóżku w dość dziwnej pozycji; prawa ręka zwisała bezwładnie dotykając dłonią leżącej na podłodze owczej skóry

– Pani Kayser, co się stało? – krzyknęła przerażona pielęgniarka. Jej głos odbił się głośnym echem w pogrążonym we śnie domu.

Podbiegła i dopiero teraz zobaczyła, że wokół pełno jest krwi. Koszula nocna chorej, dywan, narzuta, pokryte ciemnymi, brunatnymi plamami. Eliza z trudem opanowała wstręt i pochyliła się nad łóżkiem. Na szyi pani Kayser widniała głęboka cięta rana. Z przechyloną na bok głową, z szeroko otwartymi oczyma leżąca patrzyła nieruchomo w sufit.

Eliza usłyszała nagle przeraźliwy krzyk i miała wrażenie, że wydobywa się on z przeciętej szyi, otwartej niczym drugie usta. Upłynęło kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, że to ona sama krzyczy i nie potrafi się powstrzymać.

Zerwała się i wybiegła na korytarz. Zupełnie podświadomie kierowała pierwsze kroki do gabinetu Kaysera, gdzie stał telefon. Mogła przecież skorzystać z aparatu znajdującego się przy łóżku chorej...

Bez chwili wahania wykręciła numer policji:

– Morderstwo... Moja pacjentka, pani Kayser... Przecięta szyja, wszędzie pełno krwi – wyjąkała. – Tak, dzwonię z domu... Rheinallee 127... Przyjedźcie szybko, błagam!

Odłożyła słuchawkę, wyczerpana opadła na fotel i próbowała pozbierać myśli, opanować się.

Rozdygotana wybrała numer doktora Koblenza, lekarza opiekującego się chorą. – Musi pan natychmiast przyjechać... Pani Kayser nie żyje. Zawiadomiłam już policję.

– Z tym akurat mogła pani poczekać – mruknął doktor zaspanym głosem.

– Jak to? Tu wszystko jest we krwi... Ona została... zamordowana!

– Skąd pani to może wiedzieć, siostrze? Proszę nie histeryzować, a przede wszystkim niczego nie ruszać, dopóki nie przyjdę. Już wychodzę.

Przed doktorem Koblenzem na miejsce przybyła jednak ekipa śledcza policji, cały sztab ludzi. Siostra Eliza słyszała ich głosy i trzaskanie drzwiczkami od samochodów, gdy tylko podjechali pod dom, i nie czekając na dzwonek, pobiegła otworzyć drzwi.

W progu stał wysoki, chudy młody człowiek z aparatem fotograficznym w ręku. Zręcznie ominął Elizę, a będąc już w hallu zawołał:

– Gdzie to jest? Który pokój?

Pielęgniarka wskazała głową otwarte na oścież drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Młody człowiek natychmiast zniknął za nimi, zaś przed Elizą stanął niski, nie ogolony grubasek w krzywo zawiązanym krawacie i pogniecionym kapeluszu.

– Jestem inspektor Kramer. To pani wezwała policję?

Siostra nie mogąc wydobyć z siebie głosu, musiała poprzestać na skinięciu głową.

– Musi pani teraz opanować nerwy – rzekł inspektor. — My tymczasem rozejrzemy się na miejscu. To tam? Nie, nie musi pani iść ze mną. Może pani się ubrać. Aha, może też pani ugotować dzbanek kawy – postawi nas wszystkich na nogi.

Ruszył ze swoimi ludźmi przed siebie, a Eliza stała w miejscu jak sparaliżowana, choć bardzo chciała spełnić polecenie inspektora.

Z sypialni dochodził jego gromki głos:

– Pan tutaj? Diabli nadali! Kto pana tu wpuścił? Ach, rozumiem: udany podsłuch komunikatów policyjnych... Trudno, teraz jednak radzę zmykać, bo będę musiał roztrzaskać tę nieszczęsną kamerę.

Młody człowiek rozejrzał się zadowolony wokół siebie, uśmiechnął do inspektora i wyszedł bez słowa sprzeciwu.

– Ci bezczelni reporterzy! – syknął Kramer.

Dziennikarz minął w drzwiach wchodzącego doktora Koblenza. Ten spojrzał na stojącą jak słup soli Elizę.

– Teraz pani już wie, co zrobiła najlepszego? – burknął i wszedł do sypialni.

Mężczyźni z ekipy śledczej trzymali się z daleka od łóżka denatki, by nie zatrzeć choćby najmniejszego śladu.

– Dzień dobry, panowie! – doktor Koblenz uchylił kapelusza i zamierzał go rzucić na stojący obok fotel.

Kramer przytrzymał go za rękę: – Raczej niech pan tego nie robi. Jeszcze nie skończyliśmy oględzin – pouczył.

– Ach, prawda! – przyznał doktor i nieco zmieszany włożył swój kapelusz na głowę. – Żałuję bardzo, że tu panów wezwano, bo z całą pewnością nie chodzi o przestępstwo

– Oby pan miał rację! – odezwał się policjant zabezpieczający ślady. – Nawet pan nie wie, jak bardzo lubimy tę robotę, zwłaszcza w czasie weekendu.

– Pani Kayser jest... raczej była... moją pacjentką. Niestety, nieuleczalnie chorą i z zamiarem odebrania sobie życia nosiła się wielokrotnie, dlatego też wszystkie lekarstwa trzymaliśmy poza zasięgiem jej ręki. Jestem przekonany, że... – Koblenz westchnął ciężko – że tym razem spełniła swój zamiar. Żałuję, że nie udało się temu zapobiec.

– Co to była za choroba? – spytał inspektor Kramer.

– Stwardnienie rozsiane.

Policjanci spojrzeli po sobie, a doktor dodał: – To nieuleczalne schorzenie, a przy tym bardzo bolesne.

– Nastęstwem jest częściowy paraliż – zauważył inspektor. – Sądzi pan, że chora miała dość sił, żeby przeciąć sobie szyję?

– Cóż, paraliż nie postępuje równomiernie, raczej skokowo.

Doktor podszedł do denatki, a potknąwszy się o leżącą na podłodze owczą skórę, kopnął ją ze złością pod łóżko.

5

Doktor Michael Sturm podniósł słuchawkę telefonu, gdy tylko zadzwieczał dzwonek. Słuchał chwilę i rzekł: – Rozumiem. Zaraz tam będę.

Przy zasuniętych zasłonach w pokoju było jeszcze ciemno. Zapalił nocną lampkę. Ewa, jego narzeczona, leżała skulona jak dziecko. Jej długie, ciemne włosy układały się na poduszce w bezładne loki, oczy, napuchnięte jeszcze od płaczu, miała zamknięte. Michael patrzył na nią przez chwilę z rozrzewnieniem.

Posprzeczali się wczoraj kiedy powiedział jej, że nie dostanie posady w Kilonii i z małżeństwem trzeba będzie jeszcze poczekać. Wpadła w szal, wybuchła dzika awantura, ale im bardziej się kłócili, tym serdeczniej się później przeproszali.

Na ustach śpiącej Ewy pojawił się nagle rozkoszny uśmiech.

Michael nie chciał jej budzić. Mógł wstać po cichu i wyjść, ale co powie Ewa, kiedy rano stanie oko w oko z matką? Co prawda pani Sturm wiedziała, że narzeczona syna zostaje czasami u niego na noc, ale obie schodziły sobie z drogi i prawie nie rozmawiały ze sobą. Może, kiedy spotkają się z samego rana, ich wzajemne stosunki wreszcie się poprawią?

Ostrożnie przesunął się na skraj łóżka, gdy usłyszał ciche pytanie Ewy: – Coś się stało, Michi?

– Nic, nic. Śpij dalej, jest jeszcze wcześnie – szepnął jej do ucha, próbując jednocześnie uwolnić z uścisku rękę, za którą go złapała. Nagle otworzyła swoje niebieskie dziecięce oczy, mrugnęła nimi kilka razy i spytała: – Dlaczego wstajesz?

– Muszę wyjść, Ewo – pocałował ją w usta. – Nie gniewaj się, ale przed chwilą wezwano mnie przez telefon.

Usiadła raptownie i przycisnęła kołdrę do piersi.

– I chciałeś mnie tu zostawić? – patrzyła na niego z wyrzutem.

– Nie miałem serca cię obudzić, kochanie.

– Ale byś mnie urządził! W jaki sposób, twoim zdaniem, wyszłabym z mieszkania?

– Zwyczajnie: drzwiami! – odparł, ubierając się wyćwiczonymi ruchami, z wielką wprawą.

– Wpadając wprost w ramiona twojej matki!

– Aż tak się jej boisz? – spytał zawiązując krawat.

– Moja matka wcale nie jest taką jędzą, jak myślisz. Założę się, że nie powiedziałaaby ci złego słowa.

– Ale swoje by sobie pomyślała! – Ewa jednym susem wyskoczyła z łóżka. – Zechciałbyś się odwrócić, zanim się ubiorę?

Stanął naprzeciwko lustra i z zadowoleniem musiał przyznać, że broda, którą zapuścił, okazała się bardzo przydatna w takich wypadkach jak dzisiejszy, kiedy zerwany nagle ze snu nie musi pędzić do łazienki i golić się w pośpiechu.

– Dla mnie jest już wystarczająco kłopotliwa sytuacja, gdy cały wieczór muszę chodzić po pokoju na palcach. Aż nie mogę uwierzyć, że chciałeś mi jeszcze bardziej skomplikować życie. Naprawdę jest ci obojętne, jak traktuje mnie twoja matka?

– Wiem, że bardzo cię lubi.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Skakałaby pod sufit, gdyby wreszcie udało jej się mnie przepędzić – złościła się Ewa, zapinając w pośpiechu guziki letniej kolorowej sukienki.

– Jeżeli będziesz tak krzyczeć, z całą pewnością ją obudzisz.

Ewa zacisnęła usta i obrzuciła Michaela spojrzeniem dalekim od

sympatii.

Zabrał swój neseser i wyszedł na korytarz. Kiedy zdejmował łańcuch u drzwi wejściowych, z głębi mieszkania doleciało wołanie:

– Michael!

Popatrzył na Ewę, która jak cień szła tuż obok niego, i odpowiedział: – Tak, mam! Zza zamkniętych drzwi sypialni padło następne pytanie: – Tak wcześnie dziś wychodzisz?

– Muszę, mam.

– Znowu morderstwo?

– Jeszcze nie wiem, ale śpij, proszę.

Otworzył szybko drzwi i wypuścił Ewę na klatkę schodową. Na dole ona uśmiechnęła się: – Twoja matka usłyszy każdy szmer.

– Ma lekki sen, i to wszystko.

– Powinam była się domyślić. Tak czy inaczej, ostatni raz udało ci się zatrzymać mnie na noc.

Objął ją ramieniem, gdy wyszli na ulicę. Michael zdziwił się, że na dworze było już tak jasno. Latarnia, pod którą parkował swojego volkswagena, właśnie zgasła.

– Jeżeli myślisz, że uda ci się sprowokować mnie do kłótni, to bardzo się mylisz – rzekł żartobliwym tonem.

– Poczekaj raczej, aż spotkamy się koło południa.

Ciepło bijące od jego ciała podziałało na Ewę kojąco.

– Sądysz, że po tym wszystkim wycieczka nad Baldeney–See jest wciąż aktualna? – spytała przytulając głowę do jego ramienia.

– Zrobię wszystko, aby doszła do skutku – zapewnił.

Minęło dokładnie dwadzieścia minut od wezwania, gdy doktor Michael Sturm zadzwonił do bramy willi przy Rheinallee 127. Narzeczoną

zostawił pod drzwiami domu, w którym mieszkała z rodzicami. Zegar wskazywał szóstą, kiedy wszedł do pokoju, gdzie znajdowały się zwłoki Ireny Kayser.

– O, już pan przyszedł, doktorze Sturm? – przywitał go inspektor Kramer, który znał już młodego specjalistę od medycyny sądowej z poprzednich śledztw, gdy razem współpracowali. – Prawdę mówiąc, raczej niepotrzebnie pana wzywaliśmy, bo jak twierdzi doktor Koblenz, lekarz domowy denatki, w grę wchodzi samobójstwo.

– Byłbym rad, gdyby miał rację – uśmiechnął się Michael wyjmując z nesesera gumowe rękawiczki. – W każdym razie trzeba będzie zabezpieczyć wszystkie ślady. Zrobiliście już zdjęcia?

– Owszem, kilka.

Sturm pokazał z daleka na poplamioną krwią pościel, dywan i wsuniętą do połowy pod łóżko owczą skórę, potem podszedł i uchylił nieco kołdrę, żeby lepiej przyjrzeć się ranie na szyi.

Ostrze przecięło ciało poprzez kaszmirowy szal, który chora miała na sobie. – Hm, samobójca na ogół nie utrudnia sobie zadania i przed decydującym ciosem usunąłby odzież. Przykro mi, panowie, ale wygląda mi to na zabójstwo.

Przez chwilę panowała złowroga cisza, przerywana jedynie świergotem ptaków dolatującym z ogrodu przez otwarte na oścież okno balkonowe. Śpiew ptaków wydał się wszystkim przerażająco głośny

Diagnoza lekarza sądowego pozbawiła policjantów resztek nadziei, że Irena Kayser sama odebrała sobie życie. Spokojny weekend mieli raczej z głowy. Inspektor Kramer westchnął ciężko, jedynie doktor Koblenz wyglądał na nie przekonanego.

– Zabójstwo? – zdziwił się. – Jest pan tego absolutnie pewien, kolego?

– No tak, nie wyraziłem się precyzyjnie – Michael popatrzył na doktora i uśmiechnął się, choć jego niebieskie oczy wciąż zachowywały powagę, a młoda, pokryta zarostem twarz była wyjątkowo spięta. – Powinienem powiedzieć, że śmiertelną ranę zadała obca ręka.

Pochylił się ponownie nad zmarłą i zdjął z jej szyi kaszmirowy szal. Na skórze nie było śladów tak zwanych cięć próbnych, które –jak go uczono – samobójca zawsze wykonuje przed zadaniem decydującego cięcia. – Samobójstwo jest wykluczone – potwierdził zdecydowanym tonem.

Rana została zadana jednym głębokim pociągnięciem ostrza, które przecięło tętnicę szyjną oraz krtań.

– Niech pan się dobrze zastanowi, panie kolego – upierał się doktor Koblenz. – Znam rodzinę Kayserów od lat. To bardzo porządni ludzie, a pańskie stwierdzenia sugerują skandal...

– No, no, drogi doktorze – przerwał mu inspektor Kramer – chyba nie chce pan powiedzieć, że morderstwa zdarzają się tylko w środowisku przestępców?

– To byłoby przesadą – bronił się doktor Koblenz ale musi pan przyznać, że pani Kayser nawet nie próbowała się bronić. Jeżeli zatem poniosła śmierć z czyjejs ręki, musiała znać napastnika. – Doktor rozglądał się po pokoju. – Nie widać żadnych śladów włamania, nie widać, żeby coś zginęło, więc...

– Drogi doktorze – przerwał mu inspektor – uprzedza pan wyniki śledztwa. Kto dokonał morderstwa i z jakich przyczyn, musimy dopiero ustalić. W tym momencie wiemy na pewno, że nie było to samobójstwo, co doktor Sturm wykazał ponad wszelką wątpliwość. – Podeszedł do opierającego się Koblenza i delikatnie poprowadził go do drzwi.

– Niech pan nie myśli, że podważam czyjekolwiek kompetencje, ale kolega Sturm jest bardzo młodym lekarzem. Czy nie powinien pan zasięgnąć opinii profesora?

– Nie widzę takiej potrzeby. Znam doktora Sturma, doceniam jego fachowość i uczciwość. Niepotrzebnie traci pan tutaj cenny czas, doktorze. Do zobaczenia – uciał krótko i bezceremonialnie wypchnął Koblenza za drzwi. Westchnął z ulgą i rzekł: – Niektórym się wydaje, że wymyślamy sobie przestępców, żeby mieć zajęcie. Jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty.

– Zwłaszcza w taki dzień jak dziś! – dokończył dr Sturm spoglądając znad pokrwawionych zwłok w stronę okna, za którym zieleniły się drzewa i kwitły okazałe róże na rabatach.

Szybko jednak oderwał się od marzeń i znowu zajął się zmarłą.

– O, mamy tu narzędzie zbrodni – rzekł unosząc wysoko żyłkę, którą znalazł w zakrzepłej krwi na piersiach denatki. – Odcisków palców raczej z niej nie da się zdjąć.

Oficer zabezpieczający ślady podszedł natychmiast z otwartą plastikową torebką, do której Sturm wrzucił znaną żyłkę.

– A więc żyłką... – mruknął inspektor Kramer, zsuwając na tył głowy swój pognieciony kapelusz. – Sprawca musiał mieć sporo siły, albo też...

– Niekoniecznie – wtrącił się Sturm – jeżeli żyłka była nowa, nie potrzeba wcale siły. Łatwo to zaraz sprawdzimy – rzekł oglądając przez lupę palce prawej ręki denatki.

– Żadnych śladów skaleczenia! – zawołał zaskoczony.

– Szkoda, że nie mogę tego pokazać powątpiewającemu Koblenzowi.

Kramer ze zrozumieniem kiwał głową.

– To jasne, że nie można gołą ręką zadać tak głębokiej rany i nie skaleczyć sobie przy tym palców.

– Chyba, że w rękawiczkach – dodał Sturm, nie odrywając się od pracy. – O, na ręku zmarłej znalazłem dwa blond włosy. Poproszę o torebkę.

– Jeżeli dzięki nim trafimy na ślad zabójcy, to sytuacja może okazać się lepsza, niż myślałem.

– Nigdy nic nie wiadomo. Mogą oczywiście pochodzić z tego włochacza – rzekł Sturm, wyciągając spod łóżka owczą skórę. – Na wszelki wypadek niech mi ją pan też prześle do Instytutu.

– Mógłby pan w przybliżeniu określić czas, kiedy nastąpił zgon? – zmienił nagle temat inspektor Kramer.

– Zaraz tym się zajmę – Michael uniósł rękę zmarłej: była sztywna, nogi natomiast pozwoliły się zgiąć.

– A więc?

– Jeszcze chwileczkę – rzekł, przewracając zwłoki na bok i przyglądając się plecom, na których widniały równomiernie rozłożone sine plamy.

– Śmierć nastąpiła osiem, dziewięć godzin temu – oświadczył. – Dokładny czas da się ustalić podczas obdukcji, ale nie będzie znacznie różnił się od tego, który podałem. Zabezpieczył pan resztki posiłku? W razie potrzeby proszę przeszukać kosz na odpadki i poprosić pielęgniarkę o możliwie dokładny spis potraw, które podała swojej podopiecznej ostatni raz. Tylko po co ja to panu mówię? – uśmiechnął się. – Przecież pan najlepiej wie, co trzeba zrobić – dodał zdejmując gumowe rękawice.

Inspektor słuchał z kamienną twarzą.

– Przypominanie najbardziej oczywistych spraw jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a nawet takiemu staremu wydze jak ja nieraz zdarzy się o

czymś zapomnieć. W naszym zawodzie poleganie na rutynie może przynieść fatalne skutki. Dziękuję doktorze!

6

Ostry dźwięk dzwonka wyrwał Lilianę z głębokiego snu. Półprzytomna uświadomiła sobie dopiero po chwili, że przecież jest sobota. Sięgnęła po budzik i ze złością wcisnęła go pod poduszkę. Dzwonek jednak nie dawał za wygraną. Liliana nakryła kołdrą uszy, ale ostrego dźwięku nie udało się stłumić. Rozbudziła się na dobre.

Odwróciła się na plecy i zastanawiała, kto o tej porze dobija się do jej drzwi. Pewnie znów jakiś pijak, pomyleniec, albo zwykły urwis ponaciskał wszystkie klawisze domofonu przy drzwiach wejściowych, co niestety zdarzało się dosyć często.

Ale nie tym razem. Liliana dopiero teraz poznała dźwięk dzwonka znajdującego się przy drzwiach do jej mieszkania. Więc znowu sąsiadka przyszła coś pożyczyć albo pochwalić się swoimi sukcesami. Co za nieznośne babsko!

Liliana wyskoczyła z łóżka zupełnie naga – nie lubiła spać w piżamie – i miała wielką ochotę otworzyć sąsiadce drzwi w stroju Ewy. Dopiero miałyby o czym opowiadać, plotkara jedna!

Szybko jednak zrezygnowała z pomysłu. Narzuciła na siebie długą do ziemi jedwabną podomkę, a podchodząc do drzwi zdążyła zapiąć jedynie trzy guziki. Przez odchylone poły widać było gołe uda niemalże do samej góry.

Zaniemówiła, kiedy zamiast wścibskiej sąsiadki zastała dwóch nieznanomych mężczyzn... Obaj w płaszczach przeciwdeszczowych, ten

starszy w filcowym kapeluszu.

– Niczego nie kupuję! – wrzasnęła wściekła. – Przekłęci kramarze, nawet w sobotę nie dają człowiekowi spokoju! – syknęła i próbowała zatrzaskać im przed nosem drzwi.

Ten starszy w kapeluszu zdążył jednak włożyć but między futrynę.

– Ostrożnie, proszę pani! Chcemy tylko z panią zamienić kilka słów – wyjął plastikową legitymację i podsunął ją Lilianie przed oczy. – Jestem inspektor Kramer – wskazując na drugiego mężczyznę dodał: – mój asystent.

– Prowadzi pan jakieś śledztwo?

– Właśnie. Dla pani dobra lepiej by było, gdybyśmy nie musieli rozmawiać na korytarzu.

Pod chłodnym wzrokiem inspektora Liliana zupełnie straciła pewność siebie. Próbowwała nerwowo zapinać guziki dolnej części szlafroka, ale pochyliwszy się, odsłoniła przed policjantami cały biust. – Ale... ja jestem nie ubrana! – wyjąkała bezradnie.

– Nie trudno zauważyć.

– Moglibyście panowie przyjść za pół godziny?

– Nie.

Liliana zauważyła, że niczego nie wskóra. – Skoro tak, to proszę wejść – rzekła przepuszczając obu.

Rozglądali się po całym pokoju. Poza nie zasłanym łóżkiem wszędzie panował idealny porządek.

– Gdzie przechowuje pani odzież? – spytał Kramer.

Wskazała na szafę wbudowaną we wnęce ściany.

– Co pani miała na sobie wczoraj wieczorem?

– Sukienkę. Wietrzy się na balkonie.

Asystent rzucił się po nią, a potem obaj z inspektorem starannie oglądali każdy szczegół przedniej części sukni.

– Jeżeli panów interesuje także bielizna, to wyprałam ją jeszcze wczoraj w nocy. Suszy się w łazience – odezwała się Liliana, odzyskawszy już pewność siebie.

I tym razem asystent bez słowa przyniósł w jednym ręku jedwabne majteczki, a w drugim cienkie jak pajęczyna pończochy. Z jego miny nie wynikało, żeby czuł się choć trochę zażenowany.

– To wszystko? – spytał inspektor.

– Podwiązki. Leżą w górnej szufladzie.

– Stanik?

– Nie noszę.

– Buty?

– Stoją w szafie – Liliana otworzyła drzwiczki i pokazała na złote czółenka ustawione na stojaku.

Inspektor Kramer porwał je jak pies rzucający się na kość, i zaraz zrobił minę podobną do owego psa, kiedy stwierdzi, że na kości nie ma ani odrobiny mięsa.

– Zdążyła je pani wyczyścić.

– Zawsze czyszczę buty zaraz po powrocie do domu, nawet po północy. Jeżeli mieszka się w jednym pokoju, trzeba pilnować porządku.

– To się chwali – burknął inspektor tonem nie świadczącym bynajmniej o aprobacie. Usiadł w głębokim, eleganckim fotelu pokrytym miękką białą skórą. Chętnie kupiłby sobie kiedyś taki.

– Niech pan się nie kępuje – uśmiechnęła się Liliana widząc, że inspektor wierci się niespokojnie.

Jego tymczasem denerwowało, że rozmawiając z nią, musi wysoko

unosić głowę, gdyż Liliana nie zamierzała usiąść i stała naprzeciwko niego.

– Mieliliśmy szczęście, że w ogóle panią zastaliśmy...

– Naprawdę? Jak to? – dopytywała się nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Przecież mogła pani wyjechać, na przykład na Sylt.

– Nigdy tam nie byłam.

– Nie towarzyszyła pani szefowi?

Mniej doświadczony od Kramera funkcjonariusz z pewnością nie zauważyłby, że zawahała się przez chwilę, zanim wypowiedziała krótkie: – Nie!

– Niechże pani usiądzie! – zdenerwował się inspektor, a Liliana posłusznie usiadła na wielkim pufie z białej skóry, takiej samej jak na fotelu. Patrzyli sobie przez chwilę prosto w oczy i nie udało się inspektorowi zmusić jej, by opuściła wzrok.

– Ciekawe, że pani w ogóle nie pyta, po co tu przyszliśmy.

– I tak nie powie mi pan prawdy. A poza tym nie byliście panowie zbyt rozmowni.

– Pani Kayser nie żyje – rzekł Kramer bez żadnego wstępu, patrząc kątem oka na reakcję Liliany. Zdziwiła się, ale nie wyglądała na przestraszoną.

– Nie przejęła się pani zbytnio tą wiadomością.

Liliana przeczesła palcami blond włosy, zmierzwiłone jeszcze trochę po nocy.

– Spodziewał się pan, że wybuchnę płaczem? Prawie jej nie znałam a poza tym była nieuleczalnie chora...

– Pani zdaniem, jest to wystarczający powód by umrzeć?

– Wystarczający powód? Co to ma znaczyć? Przecież sam pan

powiedział, że umarła; wszystko jedno czy miała powód, czy nie.

– Najważniejsze, że teraz może pani wyjść za Kurta Kaysera.

Liliana zerwała się na równe nogi.

– Bzdura! Kto panu naopowiadał głupstw? Pewnie ta Föllner, to do niej podobne. A co do Kaysera, to mogę się założyć, że jeżeli się ponownie ożeni, to weźmie sobie jakąś bogatą panienkę z dobrego domu albo wdówkę.

– Gdzie pani była wczoraj wieczorem?

– Dlaczego to pana interesuje?

– Bo pani Kayser została zamordowana.

Tym razem Liliana zbladła nieco i szybko usiadła z powrotem na pufie. – Jest pan tego pewien? – spytała po chwili. – Może popełniła samobójstwo?

– Wykluczone. Zostało upozorowane, ale sprawca zostawił wyraźne ślady i nie ma wątpliwości, że chodzi o zabójstwo.

Liliana zamilkła i widać było, że intensywnie o czymś myśli.

Inspektor wyjął z kieszonki marynarki czarny notes, długopis i powtórzył poprzednio postawione pytanie:

– Gdzie pani była wczoraj wieczorem?

– Nareszcie wiem, o co panu chodzi! – roześmiała się.

– Ale muszę pana rozczarować, inspektorze, bo mam niepodważalne alibi: pracowałam!

– Była pani w pracy? – inspektor złożył notes.

– Dziwi to pana? Pracuję dla agencji. Cały wieczór byłam między ludźmi.

– Cieszę się. A mogłaby pani podać nazwiska chociażby kilkorga z nich?

– Nic prostszego. Potwierdzenie znajdzie pan u pana Kersta, właściciela agencji, dla której pracuję. Uczestniczył także we wczorajszym spotkaniu.

– Kto poza tym?

– Ruth Fiebig, koleżanka, ale nie znam jej adresu.

– Proszę się nie martwić, szybko ją odnajdziemy. Liliana wstała. – Nie uwierzy pan, ale nie martwię się ani trochę. Skoro powiedziałam już panom wszystko, co chcieliście wiedzieć, to chyba mogę wreszcie zostać sama.

Podeszła do drzwi i otworzyła je na ościernie. Inspektor schował notes, przeszedł z kamienną miną obok Liliany i dopiero na korytarzu rzekł krótkie „do widzenia”. Asystent nie powiedział nawet tyle.

Liliana zatrzasnęła za nimi drzwi, podbiegła do telefonu, wzięła słuchawkę, a gdy wykręciła pierwszą cyfrę, zamyśliła się i powoli odłożyła aparat.

Ubierała się w pośpiechu, ani razu nie spojrzawszy w lustro. Bez makijażu wybiegła z domu zabierając tylko portmonetkę i kluczyki do samochodu.

Z najbliższej poczty zadzwoniła do Ruth Fiebig, ale nikt nie odpowiadał. Szybko wykręciła numer agencji, ale pan Kerst również się nie zgłaszał. Ogarnęła ją panika. W kabinie nagle zrobiło się duszno i Liliana musiała odchylić drzwi, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Uspokoila się. Zadzwoniła na informację i poprosiła o numer Huberta Toglera w Monachium. Wydawało się jej, że mijają godziny, zanim wreszcie paniienka podała jej właściwy numer. Z połączeniem nie było, na szczęście problemu.

– Halo! Hubert? To ja, Liliana. Musisz mi pomóc – zaczęła bez powitania.

- W czym mogę pani służyć? – spytał oficjalnie.
- Nie mów nikomu, że wczoraj wieczorem odeszłam na pewien czas od stołu, słyszysz? Gdyby cię o to pytano, powiedz, że nie wiesz albo lepiej, że wyszłam tylko na chwilę, kilka minut.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Hubert! Zostało popełnione morderstwo, ale przysięgam – nie mam z tym nic wspólnego.
- Dlaczego zatem...
- Nie rozumiesz? Potrzebuję alibi, bo policja usiłuje wmieszać mnie w tę sprawę.

7

Zwłoki Ireny Kayser przewieziono do Instytutu Medycyny Sądowej. Denatka wciąż miała na sobie pokrwawioną niebieską koszulę nocną i przecięty kaszmirowy szal na szyi, również pokryty brunatno–czerwonymi plamami. Otwarta szeroka rana wyraźnie kontrastowała z bielą twarzy, rąk i nóg zmarłej, jakby zapatrzonych nieruchomymi oczami w sufit prosektorium.

Spojrzenie to w najmniejszym stopniu nie krępowało dwu młodych mężczyzn krzątających się wokół stołu stojącego pośrodku wyłożonego zielonymi kafelkami laboratorium. Nie budziło w nich grozy.

Doktorzy Sturm i Kulicke od dawna nie kojarzyli zwłok z istotą ludzką, dla nich było to wyłącznie martwe ciało, które musieli przebadać. Nie zastanawiali się nad losem danego człowieka, przeważnie ofiary poważnego przestępstwa, ani też nie potrafili mu współczuć. W przeciwnym razie nie mogliby wykonywać swojego zawodu.

Doktor Kulicke kończył serię zdjęć, obfotografując denatkę ze

wszystkich możliwych pozycji. Cisnął ze złością zużyte wkłady lampy błyskowej do kosza i zaklął: – Cholera, jak stary natychmiast nie przyjedzie, zaczniemy bez niego. Nie mam ochoty spędzić całej soboty w prosektorium.

Stał na tle okna, a jasne słońce oświetlało jego rudą czuprynę, która przypominała rozpalone ognisko.

– Nie denerwuj się, stary! – Michael podwinął rękaw zapiętego pod szyję fartucha i spojrzał na zegarek. – Stary ma jeszcze czas. Jako szef Instytutu musi zgłosić się w ciągu trzech godzin po zawiadomieniu go o morderstwie i założę się, że zdąży. Dotychczas zawsze mu się to udawało.

– Akurat! Szwenda się specjalnie, aż odwalimy za niego brudną robotę, a potem zabiera wyniki do domu i podpisuje protokół własnym nazwiskiem, jakby to on...

– Daj spokój, Jo. Nie uwierzysz, ale mnie takie rozwiązanie urzęda, gdyż wolę pracować samodzielnie.

Każdy woli, tylko że ty pracujesz, a stary zbiera laury i zgarnia forszę. Ładna mi współpraca! Powiem ci szczerze, Michael, jesteś kompletnym idiotą. Jeżeli będziesz staremu wciąż ustępował, to nigdy cię stąd nie wypuści. Jestem przekonany, że odmowa z Kilonii to wyłącznie jego sprawka.

– Nie mam na to żadnych dowodów – rzekł Sturm, gładząc swój bujny, ciemny zarost na brodzie.

– Nie bądź naiwny, stary! A co na to twoja Ewa? Rozczarowana, co?

Zanim Michael zdążył odpowiedzieć, wszedł pomocnik i oznajmił lekko przestraszony: – Pan profesor idzie!

Kulicke zrobił głupią minę, ale natychmiast spowaźniał, kiedy za plecami pomocnika ukazała się sylwetka profesora Fabera.

– Dzień dobry. Witam, panowie – rzekł patrząc chłodnym okiem to na

obu młodych współpracowników, to na leżące na stole zwłoki. – Wybaczcie spóźnienie, ale musiałem czekać na podstawienie helikoptera. – Oddał płaszcz pomocnikowi i podszedł, do zmarłej.

– Który z was był na miejscu zbrodni? – spytał, a gdy usłyszał, że Sturm, dodał: – To dobrze. Poproszę pana o szczegółową relację.

Michael spełnił polecenie szefa, a na koniec pozwolił sobie na przedstawienie własnej diagnozy. Uzasadnił ją przecięciem szala na szyi, brakiem cięć próbnych oraz skaleczeń na palcach denatki.

Profesor słuchając oglądał zwłoki.

– Doskonale, drogi kolego, wyciągnął pan prawidłowe wnioski – pochwalił, gdy Michael skończył. – Na narzędziu zbrodni żadnych śladów?

– Niestety. Żyłka leżała zanurzona w krwi i nie można z niej zdjąć odcisków ani też stwierdzić, czy sprawca trzymał ją w rękawiczce, czy gołymi palcami. Poza tym pochodzi z seryjnej produkcji.

Profesor oglądał sztywną rękę denatki.

– Jakież inne ślady? – spytał.

– Zabezpieczyłem dwa długie włosy, które znalazłem w ręku zmarłej. Przypuszczam jednak, że pochodzą z owczej skóry leżącej na podłodze obok łóżka.

– Szkoda, ale to problem dla panów z policji. Będą musieli trochę pogłówkować, ale jak ich znam, oprą się nie tylko na naszej diagnozie, ale też zadowolą się wyłącznie naszymi wynikami sekcji.

Obaj asystenci wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– No, to zaczynajmy! – rzekł profesor zdejmując pokrwawiony szal z szyi denatki.

Kulicke natychmiast sfotografował i tkaninę, i odsłoniętą ranę, podczas gdy Sturm wraz z pomocnikiem zdejmowali ze zmarłej ubranie. Nie było to

łatwe zadanie zważywszy, że ciało było już zupełnie sztywne. Po kolejnej serii zdjęć pomocnik obmył zwłoki z krwi.

Profesor wziął z ręki Michaela skalpel i wprawnym ruchem otworzył klatkę piersiową denatki, nie zważając na żadne zasady sterylności. Zmarłemu bakterie i. tak już nie zaszkodzą, a przy świeżych zwłokach profesor zawsze lubił pracować bez gumowych rękawic.

Kiedy przeciął aortę, trysnęła na chwilę krew, ale natychmiast zakrzepła. Profesor wziął serce do ręki i obejrzał je ze wszystkich stron. – Nie ma śladów zatoru. Nastąpiło całkowite wykrwawienie – stwierdził.

Za pomocą wiertarki dr Sturm wywiercił cztery otwory w czaszce tak, aby po zamknięciu można je było łatwo przykryć włosami. Pomiedzy otworami wykonał podłużne cięcia i zdjął prostokątny fragment kości. Profesor naciął mniejszym skalpelem oponę mózgową i z uwagą przyglądał się odsłoniętym półkulom.

– Ciekawe, zobaczcie panowie – cofnął się, robiąc miejsce asystentom.

– Widoczne zaczerwienienie w okolicy rdzenia kręgowego – stwierdził Sturm.

– Identyczne jak w podręczniku w rozdziale „Objawy stwardnienia rozsianego” – rzekł Kulicke.

– Proszę pobrać próbkę i zbadać ją pod mikroskopem – polecił profesor Faber. – Obejrzyjcie sobie, jak w praktyce wyglądają uszkodzone komórki nerwowe.

Dr Sturm wyciął kawałek mózgu, położył go w porcelanowym naczyniu laboratoryjnym i nie zszywając opony mózgowej wielkimi ściegami przymocował na miejsce fragment kości czaszkowej.

Tymczasem profesor podłużnym cięciem otworzył jamę brzuszną,

wyjął żołądek i rozciął go. Był prawie pusty. Zostało kilka skrawków buraków ćwikłowych, reszta pół przetrawiona znalazła się już w jelicie cienkim.

– Śmierć nastąpiła trzy godziny po ostatnim posiłku – stwierdził profesor.

– Byłem przy zwłokach około szóstej i na podstawie rozmieszczenia plam pośmiertnych oraz stopnia stężenia organizmu ustaliłem zgon przed ośmioma, dziewięcioma godzinami – poinformował Sturm.

– To by się zgadzało, jeżeli zmarła spożyła swój ostatni posiłek około szóstej wieczorem. Gdyby tak było, to została zamordowana między dziewiątą a dziesiątą.

– A jeśli nie? – wtrącił się dr Kulicke. – Mam na myśli, jeśli pańska diagnoza i kolegi Sturma nie pokryją się, na przykład w przypadku, gdy chora jadła posiłek o innej porze.

– Moim zdaniem, drogi kolego, jest to mało prawdopodobne – profesor uśmiechnął się – ale ani ja, ani kolega Sturm nie jesteśmy nieomylni. – Zastanowił się przez chwilę, potem rzekł: – Proszę pobrać próbkę zawartości jelita cienkiego i dać do zbadania chemikom, chociaż jestem pewien, że nic tam nie znajdą. Po co ciężko chora kobieta miałaby zażywać truciznę akurat w dniu, kiedy ktoś podciął jej gardło? Nie możemy jednak wykluczyć i takiej możliwości.

Michael wykonywał polecenie profesora, gdy on w tym czasie starannie szorował już ręce w strumieniu gorącej wody.

– Niech pan sporządzi protokół, kolego Sturm, i przyniesie mi go do podpisu. Wyniki analizy chemicznej dołączymy później. Ja, niestety, muszę czym prędzej wracać do Berlina, bo jakby to wyglądało, gdybym był nieobecny na własnym wykładzie?

Wyszedł, a obaj asystenci zabrali się do zszywania zwłok. Michael założył także trzy, cztery szwy na ranę i obwiązał szyję bandażem, żeby zaoszczędzić krewnym wstrząsającego widoku skutków nagłej śmierci Ireny Kayser.

8

Inspektor Kramer zazwyczaj nie domagał się aresztowania podejrzanego, dopóki nie miał absolutnej pewności, że to on popełnił morderstwo. Tym razem zachowanie Liliany Horn tak go zirytowało, że gdyby nie przedstawiła żadnego alibi, pewnie by ją kazał osadzić w areszcie.

W trakcie śledztwa przeprowadzonego w willi Kayserów przy Rheinallee potwierdziło się przypuszczenie, że niczego nie skradziono ani z pokoju zmarłej, ani w ogóle z domu. Oczywiście, mógł to potwierdzić dopiero pan Kayser po powrocie z Wysp Fryzyjskich. Inspektor zresztą od samego początku był przekonany, że nie chodziło o napad rabunkowy, a po prostu o sprzątnięcie niewygodnej osoby. Komu mogło na tym zależeć? Mężowi i jego kochance!

Kurt Kayser wylądował na lotnisku Düsseldorf–Lohausen w sobotę późnym wieczorem. Czekał tam na niego inspektor Kramer, który odwiózł go swoim służbowym samochodem do domu. Kayser wyglądał na przygnębionego, miał podpuchnięte i zaczerwienione oczy, ale zachowywał się spokojnie. Cały czas o czymś głęboko rozmyślał, kręcił z niedowierzaniem głową. Raz po raz zadawał inspektorowi pytanie, czy jest pewien, że żona nie popełniła samobójstwa, bo nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś mógł ją zamordować.

Kiedy inspektor spytał wprost, co łączy go z Lilianą Horn, grubasek

nerwowo wytarł chusteczką spoconą łysinę i rzekł:

– Nigdy między nami nic nie było, jeżeli to miał pan na myśli. To bardzo atrakcyjna kobieta i byłbym kłamcą, gdybym powiedział, że mi się nie podobała, że nie próbowałem... Już pan z nią rozmawiał? No to chyba mnie pan rozumie.

Inspektor nie zamierzał ciągnąć tego tematu i niespodziewanie spytał, kiedy Kayser przybył na Sylt i w jaki sposób spędził noc z piątku na sobotę.

– Prosto z pracy pojechałem na lotnisko, skąd prywatnym śmigłowcem przyjaciela razem poleciliśmy na Sylt.

– O której byliście na miejscu?

– Około pół do dziewiątej. Dokładną godzinę może panu podać pilot, bo ja w czasie weekendu staram się jak najrzadziej spoglądać na zegarek.

– Co robił pan dalej?

– Taksówką pojechaliśmy do domu mojego przyjaciela. Jest armatorem w Hamburgu. Jeżeli chce pan jego adres...

– Nie teraz. O ile dobrze pana zrozumiałem, krótko przed dziewiątą byliście już w domu tego armatora?

– Tak jest. Zdążyliśmy się trochę oporządzić, a już zaczęli się schodzić nasi partnerzy do gry. Było nas pięciu i przesiadaliśmy nad pokerem prawie do świtu.

– Cały czas byliście razem?

– Oczywiście.

– Kobiet nie było?

– Nie, spotkaliśmy się tylko w męskim gronie.,

– Może się mylę, ale między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści był pan w domu sam?

Dyrektor Kayser zastanawiał się chwilę. – Zgadza się, byłem w swoim

pokoju – rzekł. – Ale ma to jakieś znaczenie?

– Nie, o ile pozostałe zeznania są prawdziwe – wycofał się inspektor.

– Przecież łatwo może pan to sprawdzić.

Kramer oczywiście zamierzał to zrobić, ale już w tej chwili był przekonany, że mąż denatki zeznaje prawdę. Gdyby kłamał, widać by to było po nim od razu – taki typ człowieka.

Ustalono na miejscu, że w pokoju zmarłej nie było żadnych listów, pieniędzy, biżuterii ani przedmiotów mających szczególne znaczenie. Dopiero otwierając szufladkę w sekretarzyku pani Kayser, mąż wyraźnie się zawahał.

– Hm, jak mi się zdaje, żona trzymała tu swój notatnik, mały zielony notesik...

– Nie zginął, może się pan nie martwić. Zabraliśmy go do komisariatu.

Kurt otworzył usta, jakby chciał zadać pytanie, ale szybko zrezygnował.

Obeszli z inspektorem cały dom, zajrzeli nawet do sejfu, jednak i tam wszystko było na miejscu.

Inspektor żegnając się już z Kayserem, zadał mu niespodziewanie jeszcze jedno pytanie: – Czy wśród pańskich najbliższych znajomych ktoś posługuje się inicjałem L.?

– Z imienia czy nazwiska?

– Obojętne: jedno lub drugie. Przypuszczalnie chodzi o kogoś ze znajomych żony.

Kayser zrobił głupią minę.

– Wie pan inspektorze, żona miała wielu znajomych, przynajmniej w czasach, gdy była jeszcze zdrowa, i na pewno byli wśród nich tacy, których

nazwiska zaczynały się na L., ale tak od ręki to panu nie powiem żadnego...

– A co z Lilianą? Lilianą Horn.

– Moja sekretarka? – zdziwił się Kayser. – Żona prawie jej nie знаła... Dokładnie mówiąc, panna Horn była w naszym domu tylko raz. – Już to wiemy – rzekł Kramer. – Mimo to zmarła była, jak się zdaje, o nią zazdrosna.

– Rany boskie! – zaśmiał się gorzko. – Przecież moja żona była chora, a ta zazdrość to nic innego jak wymysły przykutej do łóżka kobiety. Na pana miejscu nie brałbym ich poważnie.

Podejrzenie inspektora Kramera po rozmowie z Kayserem wcale nie zmalało, wręcz przeciwnie, choć przed nim też nie zdradził się, że w notatniku zamordowanej znalazł notatkę sporządzoną w dniu zabójstwa i zapisaną koślawym pismem, charakterystycznym dla osób ciężko chorych, które z trudem potrafią utrzymać ołówek w ręku.

„Zadzwoń L., chce mnie odwiedzić. Dziwię się, że L. nie poleciała na S. Czeka mnie interesująca rozmowa”.

Inspektor Kramer był przekonany, że L. mogło oznaczać tylko Liliana, czyli Liliana Horn.

W sobotę i niedzielę próbował obalić jej alibi, ale zarówno Ruth Fiebig, jak i pan Kerst, właściciel agencji, wyjechali na weekend poza miasto.

Dopiero w niedzielę około szóstej wieczorem otrzymał wiadomość, że pan Kerst z żoną i trojgiem dzieci wrócił do domu. Kramer pojechał tam natychmiast.

Dom Kersta sprawiał wrażenie zadbanego, żadna tam rezydencja. Już z ulicy słysząc było krzyki dowodzącej dzieciarni. Drzwi otworzyła żona.

– Pan sobie życzy? – spytała niezbyt uprzejmie i wyraźnie zirytowana

odgarnęła wierzchem dłoni kosmyk włosów opadających jej na czoło. – Właśnie rozpakowuję walizki, więc...

– Proszę sobie nie przeszkadzać – przerwał Kramer obracając swój wygnieciony kapelusz w rękę. – Chciałem tylko zamienić kilka słów z panem Kerstem.

– Ale mój mąż jest zajęty w kuchni. Przygotowuje kolację.

W tym momencie Kramer pokazał swoją legitymację.

– O Matko Boska! – krzyknęła pani Kerst. – Policja?! Przecież my nie zrobiliśmy nic złego!

– Oczywiście, że nie! Potrzebuję tylko zeznania pana Kersta jako świadka, nie ma więc powodu do niepokoju.

– Inspektor obszedł przestraszoną kobietę, a po chwili jej mąż wprowadził go do nowocześnie umeblowanego salonu.

Kramer rzucił kapelusz na fotel, płaszcz położył na jego oparciu, a sam rozsiadł się na drugim fotelu, nie czekając, aż zostanie zaproszony.

– Mógłby mi pan w końcu wyjaśnić, o co tu chodzi? – spytał Kerst. Drobnej postury i w kwiecistej koszuli wyglądał jak w przebraniu, zwłaszcza że na czole i obu rękach miał jaskrawoczerwone plamy świeżej opalenizny.

Inspektor przyglądał mu się przenikliwie swoimi małymi oczkami.

– Pan prowadzi tak zwaną agencję towarzyską?

– Agencję owszem, ale dlaczego tak zwaną?

– Mniejsza z tym. Innymi słowy, zatrudnia pan dziewczyny, które po pracy chcą sobie dorobić zabawianiem biznesmenów. Dobrze zrozumiałem?

– Niezupełnie. Te dziewczyny muszą coś umieć. Każda z nich włada perfektnie dwoma obcymi językami, niektóre nawet trzema i więcej. Są więc przede wszystkim tłumaczkami.

Inspektor słuchał z obojętną miną. – Liliana Horn także? – spytał zniechęcony.

Kerst w pierwszej chwili nie zareagował w sposób szczególny:

– Tak, Liliana też. Doskonale mówi po angielsku i francusku, a w razie potrzeby poprowadzi rozmowę również po hiszpańsku. – Nagle jakby sobie coś przypomniał: – Dlaczego pyta mnie pan o Lilianę Horn? Ma jakieś kłopoty? – Kerst usiadł.

Kramer podparł ręką brodę. – Można by tak to nazwać. Kiedy ostatni raz widział pan Lilianę Horn?

– Rany boskie! Chyba nie chce pan powiedzieć, że ona nie żyje?

Inspektor udał, że nie słyszy. – Kiedy widział się pan z nią po raz ostatni? – powtórzył swoje pytanie.

– Przedwczoraj, to jest w piątek wieczorem. Podjechałem po nią pod budynek sekretarek, wie pan, ten wieżowiec, w którym mieszka...

– O której to było?

Kerst zastanawiał się głośno: – Spotkanie miało się rozpocząć o dziewiątej, Ruth Fiebig była już w samochodzie, więc po Lilianę podjechałem za dwadzieścia, może za dziesięć dziewiąta. Akurat nie spojrzałem na zegarek.

– Dokąd pan zawiózł dziewczyny?

– Do „Taverny”, to restauracja nad Renem, koło...

– Wiem, gdzie to jest – przerwał mu Kramer. – Na miejscu byliście zatem około dziewiątej.

– Tak, moi klienci już czekali. Przedstawiłem im hostessy i spotkanie potoczyło się w normalny sposób.

– Mógłby pan wyjaśnić, co to znaczy „w normalny sposób”? – inspektor pochylił się i zniżył głos.

– Na początek jakiś drink, potem coś do zjedzenia, rozmowy, trochę tańców. Wyszliśmy gdzieś koło drugiej. Jeśli pan chce, przyniosę potwierdzenie podpisane przez klienta. A potem...

– Chwileczkę! – inspektor podniósł rękę. – Czy mam rozumieć, że między dziewiątą a drugą w nocy był pan cały czas z Lilianą Horn?

– Zależy, co pan rozumie przez „cały czas”? Oczywiście dziewczyny wychodziły, panowie zresztą też.

– Ale Liliana raz wyszła na znacznie dłuższy czas... – zasugerował Kramer patrząc Kerstowi prosto w oczy.

– Musiał pan to zauważyć.

Kerst uderzył się otwartą dłonią w czoło. – Rzeczywiście! Zaraz na początku spotkania. Nie było jej przy stole, kiedy panowie zamawiali menu, a wróciła, gdy podano już przystawki.

– Jak długo – inspektor pytał prawie szeptem, jakby bał się, że głośniejsze słowo wybiję jego rozmówcę z konceptu – jak długo zatem nie było Liliany przy stole?

– Jakieś pół godziny. Tak, coś koło tego.

9

Kiedy Michael i Ewa wrócili późnym wieczorem z niedzielnej wycieczki nad jezioro Baldey, w domu nie było nikogo.

Nie wróćę przed dziesiątą. Kolacja jest w lodówce – napisała matka na karteczce wetkniętej za lustro w przedpokoju.

Młodzi skwapliwie skorzystali więc z okazji i szybko zniknęli w sypialni. Po godzinie Michael wszedł pod zimny prysznic, a Ewa zajęła się przygotowaniem kolacji. Zjedli i razem zabrali się do zmywania.

– To był cudowny weekend! – westchnęła Ewa, patrząc rozmarzonymi niebieskimi oczyma na narzeczonego.

Pocałował ją w koniuszek nosa i rzekł: – Moglibyśmy tak spędzać każdy dzień.

– Jak sobie to wyobrażasz?

– Wystarczy, że zdecydujesz się wyjść za mnie.

Ewa potrząsnęła energicznie bujnymi, ciemnymi lokami.

– Nie zdecyduję się, dopóki nie będziemy mieć samodzielnego mieszkania.

– A więc wracamy do punktu wyjścia! – westchnął Michael, wstawiając stos talerzy na półkę do kredensu.

– Dlaczego nie chcesz zrozumieć, Ewo, że nie mogę zostawić matki samej?

– Tak, tak, wiem! – zdenerwowała się. – Harowała dla ciebie, wyrzekła się wszystkiego, finansowała twoje studia i Bóg wie co jeszcze. Ale to wcale nie znaczy, że musisz być jej niewolnikiem do końca życia!

– Ona przecież tego ode mnie nie żąda, Ewo. Nie bądź niesprawiedliwa. Pozwoli mi odejść w każdej chwili, ale w jaki sposób ja będę w stanie utrzymać dwa domy, nie wiesz?

Dzwonek do drzwi przerwał im rozmowę. Michael poszedł otworzyć; przyszedł Jo Kulicke.

– Jesteś sam? – spytał. – Muszę ci coś ważnego opowiedzieć.

Ewa wyjrzała z kuchni i odpinając fartuch zawołała:

– Już wychodzę! Zaraz zaczniecie rozmawiać o swoich nieboszczykach, a wcale nie mam ochoty tego słuchać.

Michael nie próbował jej zatrzymywać.

– Wyobraź sobie – zaczął Kulicke, gdy zostali sami – przyszedł do

mnie facet i zaproponował, że wypłaci pięćdziesiąt tysięcy na rękę, jeżeli w czasie sekcji zwłok Ireny Kayser uda nam się znaleźć dowody uniewinniające...

Michael zmarszczył brwi. – Zwalniające od podejrzeń? A kogóż to?

– Niejaką Lilianę Horn.

– Liliana Horn... – powtórzył jak echo. – Kto to jest?

– Główna podejrzana inspektora Kramera. Właśnie przywieziono jej ubrania do Instytutu.

– I co? Są ślady?

– Nie mam pojęcia. Zajmują się tym chemicy. – Kulicke wzruszył ramionami.

– Zaczynam rozumieć – Sturm pokiwał głową.

– Ktoś proponuje pięćdziesiąt tysięcy marek za sfałszowanie protokołu, a więc bardzo musi mu zależeć na oczyszczeniu tej Liliany Horn.

– Spróbuj spojrzeć na tę sprawę z naszej pozycji: pięćdziesiąt tysięcy to ładna sumka! Nie proponuję podziału pół na pół, ale na przykład trzydzieści dla ciebie, a dwadzieścia dla mnie, też by ci się opłacało. – Ponieważ Michael milczał, Kulicke ciągnął dalej: – Ostatecznie zadowolilibym się nawet dziesięcioma tysiącami, bo w końcu to ty musiałbyś odwalić całą robotę.

Michael podszedł do lodówki, wyjął dwie butelki piwa, jedną podał koledze, a z drugiej pociągnął głęboki łyk. Był zły na samego siebie, że zaczyna się zastanawiać, czy nie skusić się na czterdzieści tysięcy marek, dzięki którym pozbyłby się wszystkich kłopotów. Mógłby przede wszystkim kupić samodzielne mieszkanie, na którym tak bardzo zależy Ewie. Matka mogłaby w swoim dużym mieszkaniu wynająć komuś pokój, a Ewa pracowałaby dalej, za resztę tych pieniędzy mogliby żyć we troje jeszcze

pewien czas, przynajmniej do momentu, gdy skończy z asystenturą i obejmie stanowisko szefa jednego z instytutów medycyny sądowej.

Jo Kulicke obserwował go kątem oka. – Trafiła nam się gratka, co? Przyszedłem z tym do ciebie nie tylko jako przyjaciel. Chętnie zgarnąłbym forszę dla siebie, ale póki co, to ty jesteś głównymmacherem w instytucie i nie można cię ominąć.

Michael odstawił butelkę na stół. – Dzięki za kij i marchewkę.

– Jaki kij? Możesz przecież wstawić do protokołu, co tylko zechcesz, a stary i tak podpisuje w ciemno.

– Bo dotychczas moje protokoły były rzetelne i czyste jak łza – rzekł Sturm zawiązując pasek płaszcza kąpielowego, w którym wyszedł spod prysznic. Nagle zrobiło mu się zimno, choć w pokoju było raczej gorąco.

– Nigdy nie zdarzyło ci się popełnić błędu? – prowokował Jo. – Nie uwierzę, po prostu nikt tego nie sprawdził. Co ci szkodzi przekreślić trochę prawdę także tym razem?

– Co ty pleciesz! – rzekł siadając na krześle kuchennym. – Zostaliśmy zaprzysiężeni, zapomniałeś?

– Wielka rzecz! Nie można przecież przysiąc, że nigdy się nie pomylisz.

Michael potrząsnął gwałtownie głową jak niedźwiedź opędzający się przed atakującymi go pszczołami. – Wykluczone, Jo. Ja tego zrobić nie mogę.

– Może wcale niczego nie ryzykujesz, bo facet jest święcie przekonany, że ta Horn jest niewinna.

– Po co więc usiłuje cię przekupić? – zaśmiał się Michael. – W rzeczywistości jest przekonany o jej winie, wie, że zebrany przez nas materiał może to potwierdzić, i dlatego chce, żebyśmy sfalszowali protokół.

– Ty, jak zawsze starasz się odwrócić kota ogonem! – zdenerwował się Kulicke, a jego krótko obcięte rude włosy sprawiały wrażenie jakby paliła mu się głowa.

– Przeciwnie, staram się stapać nogami po ziemi. Gdybyśmy rzeczywiście naciągnęli wyniki naszych badań, a to by się wydało, możemy na zawsze pożegnać się z zawodem.

– A więc to jest rzeczywisty powód twojej niezłomności! – zielone oczy Jo ciskały nienawistne spojrzenia. – Po prostu się boisz! Zrobiłbyś szwindel, gdybyś był absolutnie pewien, że się nie wyda.

– Na pewno nie, Jo. Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale nie namawiaj mnie do oszustwa.

Jo spuścił oczy, udając nagle skruszonego. – Ależ ze mnie niezdara! Chciałem podejść cię dyplomatycznie, bo wiem, jaki jesteś uparty, a tymczasem wszystko zepsułem.

– No, niezupełnie. Możesz mi na przykład zdradzić nazwisko osoby, która proponowała ci łapówkę.

– A po co ci to? Mam wkopać faceta dlatego, że przyszedł do mnie z interesującą propozycją?

– Być może rozmawiałeś ze współnikiem.

– Nonsens! To bardzo porządny człowiek, a jeśli nawet ma coś na sumieniu, w co zresztą wątpię, to niech policja sama na to wpadnie – rzekł Jo przechylając w tył głowę i wlewając zawartość butelki do gardła bez połykania.

– Kto to jest ten człowiek? – nie ustępował Michael.

Jo odłożył butelkę. – Powiem ci, jeżeli obiecasz, że będziesz łaskawy dla Liliany Horn, hm, w przypadku, powiedzmy, gdy znajdziesz coś obciążającego.

– Nie będę.

– Przykro mi, ja też nie będę – uśmiechnął się kwaśno Jo. – Przemyśl to wszystko jeszcze raz i zastanów się, czy możesz pozwolić sobie na zmarnowanie takiej życiowej okazji.

10

Aresztowanie było dla Liliany całkowitym zaskoczeniem. Wprowadzie wizyta inspektora policji i śmierć Ireny Kayser wzbudziły w niej niepokój, ale nigdy nie przypuszczała, że sprawy posuną się aż tak daleko.

Stało się to w niedzielę o dziewiątej wieczorem. Liliana słuchała muzyki stereo i nie usłyszała pierwszego dzwonka do drzwi. Otworzyła po drugim i stanęła jak wryta widząc policjantkę w mundurze i dwóch mężczyzn w cywilu, którzy przedstawili się jako członkowie komisji śledczej.

Liliana, śliczna jak zawsze, ubrana w ekstrawagancką podomkę ze złotego jedwabiu, cofnęła się o krok i zawołała:

– Nie wiem, o co wam jeszcze chodzi, panowie? Przecież już wszystko powiedziałam.

Niższy z funkcjonariuszy wręczył jej urzędowe pismo.

– Liliano Horn, jest pani aresztowana...

– Panowie, nie macie prawa! – protestowała. – Ja nic nie zrobiłam...
Musicie mi uwierzyć!

– ... w związku z podejrzeniem, że wieczorem w dniu 13 maja zamordowała pani Irenę Kayser w jej domu przy Rheinallee 127.

– Skąd panu to przyszło do głowy! – krzyczała Liliana. – To po prostu nieprawda!

– Proszę się uspokoić – włączyła się policjantka.

– Jeżeli rzeczywiście jest pani niewinna...

– Jestem niewinna, przysięgam pani!

– ... to z całą pewnością wszystko się wyjaśni. Tymczasem jednak musi pani iść z nami.

Liliana uczepliła się z całej siły oparcia skórzanego fotela.

– Niczego mi nie udowodnicie! Co za bezczelność nachodzić mnie w niedzielny wieczór... Nie macie prawa mnie...

– Mamy prawo – przerwała spokojnym tonem policjantka z bladą, nie uszmkowaną twarzą, zaczesanymi gładko do tyłu włosami, wyglądająca przy Lilianie jak przeciwieństwo kobiecego wdzięku. – Jeżeli nie pójdzie pani dobrowolnie, to mamy prawo użyć siły.

Liliana wlepiła w policjantkę swoje bursztynowożółte oczy.

– Pewnie pani trenowała dzudo?

– Między innymi – uśmiechnęła się tamta.

– No trudno, cóż mi pozostało – westchnęła Liliana, wzięła torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

– Powinna pani się ubrać – przypomniała policjantka.

– A po co? – spytała, odrzucając na plecy swoje długie blond włosy. – Boi się pani, że w tym stroju zdeprawuję panów inspektorów?

– Bynajmniej, ale w tym stroju wkrótce sama się pani będzie źle czuła – rzekła kobieta podchodząc do szafy.

– Proszę, to nada się w sam raz – powiedziała, kładąc na łóżku brązową spódnicę i beżowy sweterek.

– Chce pani zrobić ze mnie szarą gęś?

Policjantka roześmiała się szczerze: – Dobrze pani wie, że nigdy nie będzie pani wyglądała jak szara gęś. Proszę się szybko przebrać, a panów

poproszę o przejście do łazienki.

– Pani ma zamiar tu zostać?

– Bo jestem za panią odpowiedzialna.

Liliana zrzuciła z siebie podomkę nie upewniwszy się, czy obaj mężczyźni rzeczywiście wyszli.

– Chyba pani nie sądzi, że wyskoczę przez balkon? Nie zrobię wam tej przyjemności, zwłaszcza że mam czyste sumienie – wyprostowała się dumnie, prezentując nagie jędrne i kształtne piersi przed policjantką.

– Radziłabym wziąć walizkę z podręcznymi rzeczami. Gdzie pani ma piżamy lub koszule nocne?

– Sypiam nago.

– W areszcie nie wolno.

Liliana zrobiła wielkie oczy. – Sądzi pani, że będę musiała spędzić tam kilka dni?

– Nie wiem. Nie prowadzę tej sprawy, w każdym razie...

– Co?

– Proszę raczej nastawić się na miesiące niż dni.

– Ależ ja jestem niewinna! – krzyknęła Liliana.

– Tym lepiej dla pani.

11

Zabójstwo Ireny Kayser nastąpiło w szczególnie niekorzystnym dla prasy terminie, toteż wieść o nim rozeszła się dopiero późnym popołudniem w niedzielę. Najlepiej poinformowani reporterzy zebrali już sporo własnych informacji, bo przypadek zapowiadał się niezwykle sensacyjnie i wszystko wskazywało na to, że wzbudzi zainteresowanie większego niż zwykle grona

czytelników. Tym razem nie chodziło o morderstwo w środowisku przestępczym, ale w kręgu miejscowej finansjery. Dyrektor Kayser był przemysłowcem znanym w całych Niemczech, a wiadomość o zamordowaniu jego nieuleczalnie chorej żony na pewno przyciągnie co wrażliwszych czytelników, a zwłaszcza czytelniczki.

Kiedy w niedzielę wieczór po skromnej kolacji inspektor Kramer przyszedł do komisariatu, przed drzwiami jego gabinetu tłoczył się już tłumek dziennikarzy.

– Ma pan już podejrzanego, inspektorze?

– Kto to zrobił?

– Niech pan nam coś zdradzi, żebyśmy mieli o czym napisać w porannych wydaniach.

Inspektor Kramer nie należał do ludzi szukających rozgłosu, wręcz przeciwnie – nie spieszył się z ujawnianiem wyników swoich dochodzeń. Tym razem jednak czuł ogromną potrzebę pochwalenia się, że w niespełna czterdzieści osiem godzin po dokonaniu morderstwa ma już sprawcę.

– Powoli, panie, panowie! Nie wszyscy naraz. Pozwólcie mi przejść... Na razie powiem wam tylko, że śledztwo posunęło się i kazałem już aresztować podejrzanego.

– O cholera! Już?

– Kto to jest?

– Dlaczego zabił?

Ma pan dowody? – dziennikarze przekrzykiwali jeden drugiego.

Kramer wił się jak w ukropie, zwłaszcza że młodzi przeważnie reporterzy wszyscy przewyższali go wzrostem o głowę. Dysząc dobrnął wreszcie do drzwi. Stał na palcach i zawołał: – Cisza! Dajcie mi dojść do słowa, to wam powiem, że chodzi o kobietę, młodą kobietę.

– Jej nazwisko!

– Liliana Horn... była sekretarką dyrektora Kaysera!

– Czy miał z nią romans? – padło pytanie, a inspektor uniósł rękę: – Tego nie powiedziałem. W każdym razie podejrzana miała powód i dobrą okazję do sprzątnięcia żony swojego szefa, a ponadto alibi, którym się broniła okazało się fałszywe.

– Czy podejrzana się przyznaje?

– Skądże! To wyjątkowo opanowana osoba, ale mamy dosyć dowodów, by zmusić ją do wyznania prawdy.

Dziennikarze notowali skrzętnie każde słowo.

– Przywieziono ją! – padło hasło, a cały tłumek rzucił się do okien. Podjechał policyjny wóz. – W jednej sekundzie wszyscy odwrócili się od inspektora i niczym stado słońi pobiegli wzdłuż korytarza w stronę wejścia do budynku.

– Niech pan dopilnuje, żeby więcej mi nie przeszkadzano – rzekł Kramer do swojego asystenta, kiedy zostali sami.

Reporterzy włączyli kamery, gdy Liliana skuta kajdankami z policjantką szła pomiędzy dwoma funkcjonariuszami przez dziedziniec komisariatu.

– Niech pani szybko schyli głowę! – poleciła policjantka.

– Nie widzę powodu! Nie mam też nic do ukrycia – odparła Liliana, kierując swoje bursztynowe oczy, piękną twarz z dumnie zaciśniętymi ustami wprost w obiektywy fotoreporterów.

Błyskały flesze. – Proszę w tę stronę! Uśmiech proszę! Więcej życzliwości! Niech pani walczy o sympatię czytelników! – padały zewsząd okrzyki.

Liliana szła z kamienną twarzą. – Całujcie psa w nos! – burknęła w

stronę dziennikarzy.

Dziesięć minut później zdjęto jej kajdanki i pozwolono uporządkować nieco swój wygląd lekko nadwyreżony przez nachalnych reporterów. Siedziała na niewygodnym drewnianym krześle naprzeciwko inspektora Kramera.

– Przez chwilę poczułam smak sławy – uśmiechnęła się. – Te hieny omal nie zdarły ze mnie odzienia!

Kramer patrzył na nią znad swojego biurka bez cienia współczucia.

– Przepraszam, że nie zapewniłszy pani lepszej ochrony.

– Nie mógł pan, czy nie chciał? – natarła na niego.

– Miałam wrażenie, że pan specjalnie napuścił na mnie tę horde.

– Skoro już się pani uspokoiła, to może zaczniemy spisywać pani dane – zaproponował Kramer, nie odpowiedziawszy na zaczepkę Liliany. – Zapali pani? – spytał podsuwając jej zaczętą paczkę swoich papierosów.

– Dziękuję, nie palę. To szkodzi na cerę.

Inspektor zapalił. – Kiedy się pani urodziła?

– Siódmego maja.

– Roku?

– Muszę odpowiadać? – Liliana rozejrzała się po przestronnym pokoju, w którym oprócz inspektora siedział jeszcze młody człowiek skrzętnie protokołujący każde słowo. – Niechętnie przyznaję się do swojego wieku – dodała.

Kramer uśmiechnął się. – W tym przypadku będzie pani musiała. Mam nadzieję, że jest to jedyna rzecz, którą chce pani przede mną zataić.

Liliana wyprostowała się. – Skoro tak, to proszę: 1942, ale musi pan przyznać, że nie widać tego po mnie.

– Miejsce urodzenia? – inspektor zignorował jej prośbę o

komplement.

– Cottbus.

– No, niech pani opowie coś więcej. Potrzebuję zapisać pani krótki życiorys.

– O czym tu opowiadać? – westchnęła. – Urodziłam się w samym środku wojny. Ojciec wkrótce potem zginął, a matka uciekła przed frontem na Zachód. Pracowała trochę u Amerykanów, dopóki nie wyszła powtórnie za męża. Mnie posłała do gimnazjum. Uciekłam stamtąd, kiedy skończyłam piętnaście lat, ale ojczym natychmiast zareagował i umieścił mnie w szkole handlowej z internatem. Dzięki temu ją ukończyłam i usamodzielniałam się.

– Przygody z mężczyznami?

– Zna pan dziewczynę, która by ich nie miała?

– Rozumiem, że dla pani jedna z nich skończyła się małżeństwem.

Liliana nagle spoważniała. – Naprawdę musimy o tym mówić?

Kramer zaś wyjął kartkę i patrząc w nią rzekł: – W roku 1962 wyszła pani za inżyniera Thomasa Kerna. Byliście małżeństwem przez siedem lat, potem z pani winy doszło do rozwodu. Co to była za wina?

– Też pytanie! Zdradziłam męża, a pan myślał, że co?

– Wróciła pani do panieńskiego nazwiska, wielokrotnie zmieniała pracę i miejsce zamieszkania do czasu, gdy rok temu zaangażował panią Kurt Kayser. Po okresie adaptacji zajęła pani stanowisko jego sekretarki, na miejsce podstarzałej już panny Föllner.

Liliana słuchając, założyła nogę na nogę.

– Jak to dobrze, że pan już wszystko wie. Przynajmniej nie muszę sobie strześcić języka.

Spięta twarz inspektora Kramera nawet nie drgnęła.

– Dlaczego zamordowałaś Irenę Kayser? – spytał niespodziewanie.

– Ja? Dlaczego ja? – Liliana była tak zaskoczona pytaniem, że przez moment zaniemówiła. – Skąd przyszło to panu do głowy? A w ogóle, to dlaczego zwraca się pan do mnie przez ty?!

– Bo tak mi się akurat podoba. Koniec przedstawienia. Mamy w rękę dowody przeciwko tobie, więc mów szybko całą prawdę.

Liliana zacisnęła mocno usta.

– Milczenie nic ci nie pomoże, bo wiemy już wszystko. Dzwoniłaś do pani Kayser między ósmą a wpół do dziewiątej.

– Pan blefuje! Niczego nie może mi pan udowodnić.

– A zatem przyznajesz się?

– Ani myślę! Między ósmą a ósmą trzydzieści byłam sama w mieszkaniu, więc nie może pan... – urwała w połowie zdania.

– No, mów dalej! Co chciałaś powiedzieć?

– Że nie może pan mieć świadka.

– A jednak mam! Wszystko sobie zaplanowałaś, dziewczyno, a mimo to popełniłaś jeden błąd. Gdybyś po zabójstwie nie straciła głowy i rozejrzała się spokojnie, musiałabyś zauważyć, że w szafce nocnej zmarłej leżał jej notatnik.

– Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi – Liliana odważnie patrzyła Kramerowi prosto w oczy. Wiedziała że wytrzyma jego spojrzenie, ale nie mogła nic zrobić, kiedy czuła, że blednie na twarzy.

– Otóż w tej książeczce – wyjaśnił kładąc na biurku zielony notes – wszystko jest zapisane. Chce pani, to zaraz przeczytam? – zaczął wertować kartki. – Co my tu mamy pod datą trzynastego czerwca? Ostatnia notatka spisana ręką Ireny Kayser... – udawał, że czyta: – Dzwoniła

Liliana Horn. Chce mnie odwiedzić. Dziwne, myślałam, że poleciała na Sylt. Zapowiada się interesująca rozmowa – podniósł głowę i spytał: – I

co ty na to?

Liliana chciała coś powiedzieć, ale z gardła wyrwał jej się tylko chrapliwy głos: – Mogłabym prosić o szklanę wody?

Inspektor nagle zmienił ton.

– W żadnym wypadku, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie!

– Jeżeli ona rzeczywiście tak napisała, to po to, żeby mnie zrobić.

Popełniła samobójstwo, a podejrzenie chciała skierować na mnie.

– To akurat urządzałoby cię najbardziej, co? – inspektor wrzucił notes do szuflady i zamknął ją ze złością. – Irena Kayser została zamordowana, co jednoznacznie potwierdza protokół instytutu medycyny sądowej.

– Przecież oni też mogą się mylić.

– Oni nie! Müller, proszę przynieść zatrzymanej szklanę wody.

Młody protokolant zerwał się i wyszedł z gabinetu, a Kramer pochylił się i rzekł półgłosem:

– Jesteśmy zupełnie sami, będzie ci lżej, dziecko, jeżeli wyznasz mi całą prawdę, bo ja i tak mam w ręku dowody świadczące przeciwko tobie.

– Nie dzwoniłam do Ireny Kayser ani tym bardziej jej nie zamordowałam.

Asystent wrócił z plastikowym kubkiem w ręku. Woda była ciepła i niesmaczna, ale Liliana wypła ją jednym haustem. Żałowała później, że nie piła powoli, przynajmniej miałaby trochę czasu na uporządkowanie myśli.

– Przyznajesz jednak, że odwiedziłaś Irenę Kayser w piątek wieczorem? Są zresztą świadkowie, którzy cię widzieli.

– Nieprawda! Pan dobrze wie, że cały wieczór spędziłam ze znajomymi...

Inspektor westchnął zniecierpliwiony. – Nie zaczynaj od początku. Mogłabyś przynajmniej wymyślić coś nowego.

– Ależ ja byłam...

– Byłaś w „Tavernie”, w restauracji przy grobli nad Renem, skąd do domu przy Rheinallee 127 można dojść piechotą w ciągu dziesięciu minut, a więc mogłaś złożyć wizytę pani Kayser – tu zrobił znaczącą przerwę – ponieważ odeszłaś od stolika na dobre pół godziny.

– To nieprawda!

Kramer kręcił z politowaniem głową:

– Oj, dziecko, dziecko! Spodziewałem się po tobie więcej rozsądku. Próbujesz kłamać, a w rzeczywistości dostarczasz mi tylko nowe dowody. Ci twoi świadkowie, jakże im tam? – sięgnął po swoje notatki. – Pan Kerst i panna Fiebig zeznali przeciwko tobie i zgodnie potwierdzili, że wyszłaś z „Taverny” na co najmniej pół godziny.

– Nie!

– A szatniarka widziała, że zamiast do ogrodu wyszłaś prosto na ulicę. I co teraz powiesz?

– Ja... zrobiło mi się niedobrze. Za szybko wypijałam drinka... i chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie miałam pojęcia, że upłynęło aż pół godziny.

– Tak? Nie miałaś pojęcia... – inspektor roześmiał się, jakby nagle chciał być sympatyczny. – A dlaczegoż to wczoraj zaraz po moim wyjściu zatelefonowałaś do pana Toglera w Monachium? Czemu go prosiłaś, aby nie wspominał o twojej nieobecności? No, czemu?

Śliczna twarz Liliany Horn przybrała wygląd tragicznej maski.

– Już nie powiem ani słowa!

– Jak sobie życzysz. Prześpij się, a jutro wrócimy do tej rozmowy – rzekł Kramer uprzejmym tonem, a kiedy wyprowadzono podejrzaną, jeszcze raz przeczytał protokół lekarza sądowego.

W nocy z niedzieli na poniedziałek pogoda załamała się. Spadł rześisty deszcz i wyraźnie się ochłodziło. Jo Kulicke wszedł do laboratorium, gdzie zastał nad mikroskopem pracującego już doktora Sturma, i położył na stole brokatową suknię i buty Liliany Horn – ubranie, które miała na sobie, gdy dokonano zabójstwa Ireny Kayser.

– Ta Horn musi być zgrabną osobką – rzekł wyjmując z kieszeni fartucha jedwabne majteczki – zobacz, nie są urocze?

– Chyba nie skumałeś się z fetyszystami?

– Ale miałbyś się z czego naśmiewać! Nie, przechodziłem przez wydział chemii i przyniosłem te szmatki dla ciebie. Roppke nie znalazł na nich śladów krwi, co ty na to?

– Połóż to na stole, zaraz się nimi zajmę.

– Nie wierzysz w to, co powiedziałem? Rób, jak uważasz, ale zapewniam cię, że stary poczciwy Roppke wykonał starannie, co do milimetra, wszystko, co do niego należało.

Sekretarka otworzyła drzwi i nie wchodząc rzekła:

– Panie doktorze Sturm, mógłby pan zejść na dół? Przyprawiono aresztantkę, tę Lilianę Horn, o której piszą wszystkie gazety.

– Idę z tobą – zawołał Kulicke – muszę ją zobaczyć!

– A gdy szli już korytarzem, spytał nagle: – Ty, nie wiesz, po co ją przyprawiono do nas?

– Gdybyś uważnie przeczytał protokół profesora Fabera, nie musiałbyś teraz pytać. Sprawczyni powinna mieć na palcach skaleczenia po żyletce, o ile nie założyła rękawiczek. Nie mogła wykonać tak głębokiego cięcia żyletką i nie skaleczyć się przy tym.

– No to jesteście w domu! – zawołał Kulicke i przytrzymał Michaela za ramię. – Nie powinieneś się zastanowić, czy nie skorzystać z mojej propozycji?

Sturm zatrzymał się i popatrzył na kolegę.

– A więc jednak uważasz, że Liliana Horn to zrobiła?

– Nie pleć głupstw! Wiem tyle co ty, a pewnie jeszcze mniej.

– Nie rozumiem zatem, dlaczego...

– Przecież to proste – Jo rozglądnął się przezornie. Sekretarka szła daleko przed nimi, wszystkie drzwi były pozamykane, byli więc sami na korytarzu. Musi być jakiś dowód przeciwko niej, który tylko my możemy poświadczyć. Nie są to ubrania, bo te są czyste... A propos, nie sądzisz, że gdyby to zrobiła, byłyby na nich jakieś ślady krwi?

– Zapomniałeś o kaszmirowym szalu, który stłumił pierwszy strumień krwi. Jeżeli sprawca zdążył uskoczyć na czas, na jego ubraniu nie znalazła się ani kropelka.

– W takim razie może chodzić tylko o ręce – Jo trzymał Michaela pod rękę. – Słuchaj, jeżeli nawet ma jakieś skaleczenia, to możesz ich nie zauważyć! Szansa, że ktoś to sprawdzi jest niewielka, a do procesu rany się zagoją bez śladu, A pieniądze zainkasujemy!

– Nie możesz żądać, abym paktował z morderczynią!

– Przesadzasz, stary! Być może ona wcale tego nie zrobiła.

– Ale to nie my wydajemy wyroki – rzekł Sturm, obszedł kolegę i niemal biegiem ruszył do hallu.

Liliana stała przy oknie w poczekalni i spokojnie patrzyła na obu młodych lekarzy, którzy wtargnęli jak burza. Była skuta kajdankami z towarzyszącym jej policjantem, ale nie wyglądała na przygnębioną ani zmieszaną, wręcz przeciwnie – patrzyła z dumą, świadoma swojej

olśniewającej urody.

Ubrana była w brązową spódnicę i beżowy sweter, który wybrała policjantka w czasie zatrzymania, na gołych, ładnie opalonych nogach miała czółenka na wysokim obcasie, na długich rozpuszczonych blond włosach błyszczało kilka kropel deszczu. Choć była ubrana raczej skromnie, z wielką starannością wykonała makijaż, jedynie głębokie cienie pod oczyma zdradzały, że nie spała przez całą noc.

Michael patrzył na nią jak zauroczony i musiał mocno wziąć się w garść, żeby tego nie okazać. Patrzył na nią bez mrugnięcia okiem. Obojętne, czy zabiła Irenę Kayser, czy nie – próba przekupstwa skłaniała Michaela raczej ku tej pierwszej hipotezie – była kobietą niebezpieczną, groźną, ale też godną podziwu. I Michael bał się najbardziej, że w swojej ocenie nie będzie obiektywny.

Policjant stuknął obcasami, stając na baczność i wyciągając rękę w stronę doktora Sturma. Podał mu zalakowaną kopertę.

Michael otwierając ją rzekł jakby od niechcenia:

– Proszę zdjąć te kajdanki. – Policjant natychmiast spełnił jego polecenie. Liliana rozcierając nadgarstki odezwała się:

– Dziękuję, doktorze. Naprawdę nie wiem, dlaczego policja traktuje mnie jak najgorszego przestępcę.

– Pewnie się pani boją! – zażartował Kulicke.

– Tak pan sądzi? – posłała mu uroczy uśmiech.

– Proszę za mną – rzekł chłodno dr Sturm, otwierając drzwi do gabinetu profesora Fabera. – Ty też, Jo. Potrzebuję świadka.

– Czy mam się rozebrać? – spytała Liliana, patrząc na obu młodych lekarzy.

– Dziękuję, nie trzeba – rzekł Sturm.

– Myślałam, że panowie chcecie mnie zbadać.

– Proszę podejść do okna i pokazać mi prawą dłoń.

Liliana zrobiła wielkie oczy. – Po co? – spytała.

– Proszę nie stawiać zbędnych pytań i wykonywać moje polecenia.

– Ależ z pana formalista! W pierwszej chwili myślałam, że wreszcie mam do czynienia z kimś sympatycznym! – dodała pokazując mu dłoń.

Wziął ją i odwrócił wewnętrzną częścią do góry.

– Ach, rozumiem! – zawołała Liliana. – Będzie pan odczytywał z linii papilarnych, czy zabiłam tę kobietę, czy nie! Sądzi pan, że w ten sposób uda się udowodnić mi morderstwo?

– Podejdź tu, Jo – rzekł Sturm. – I weź lupę, proszę.

– Wziął od niego szkło powiększające i trzymał go nad kciukiem i palcem wskazującym podejrzanej. – Co widzisz?

– Cholera, to, co myślałem!

– Dwa gładkie, ostre cięcia.

– Są aż takie ważne? – zaśmiała się Liliana. – Zaraz panom wytłumaczę, skąd się wzięły. Chciałam otworzyć butelkę wódki i aluminiowa zakrętka...

– O tym proszę powiedzieć sędziemu śledczemu – przerwał jej Michael. – Dziękuję, może pani odejść.

– Czy to znaczy że jestem wolna?

Sturm otworzył drzwi i skinął na policjanta. – Proszę odprowadzić podejrzaną, do aresztu, oczywiście.

– Panowie, teraz to ja już nic nie rozumiem!

Policjant zapiął kajdanki i wyprowadził Lilianę z gabinetu.

– Masz rację, nie wygląda to wesoło – odezwał się Kulicke, siadając na krawędzi stołu. – Ale nie sądzisz, że te cięcia rzeczywiście mogły

powstać przy odkręcaniu butelki z wódką? Nie wiem, czy tobie nigdy się to nie zdarzyło, ale mnie...

– Nie wysilaj się, Jo. Przecież ona sobie tę historię z nakrętką wymyśliła na poczekaniu.

– Może tak, a może nie. Michael, proszę cię, nie musisz kłamać ani niczego ukrywać! Napisz po prostu prawdę: „nie można wykluczyć, że rana powstała podczas odkręcania butelki z wódką, jak utrzymuje podejrzana”. Nie widzę w tym nic złego, a poza tym taka ewentualność przecież nie jest wykluczona!

– My zaś zgarniemy za to niezłą sumkę, co? – zaśmiał się Sturm wyjmując z biurka formularz.

– Widzisz w tym coś złego?

– Nie ma o czym mówić. Nie napiszę niczego, co nie odpowiada moim przekonaniom. Zobacz, proszę, czy ten policjant już poszedł, mógłby od razu zabrać protokół.

Doktor Michael Sturm zaczął pisać:... *na kciuku i palcu wskazującym prawej ręki dwa gładkie, prostopadle cięcia zadane nie wcześniej niż przed trzema dniami i nie później niż przed dwoma, które z pewnością niemal nie podlegającą wątpliwości powstały wskutek posługiwania się żyletką.*

Sądził, że jest obiektywny lecz nie zdawał sobie sprawy, że w tym momencie już posunął się za daleko i zasugerował się własną opinią.

Protokół doktora Sturma posłużył inspektorowi Kramerowi do zamknięcia sprawy zabójstwa Ireny Kayser i przekazania podejrzanej sędziemu śledczemu.

Dla prasy i osób postronnych był to tylko przypadek Liliany Horn, nikt nie zajmował się zamordowaną, nie współczuł jej, wszyscy za to ekscytowali się osobą bezdusznej morderczyni, jaką natychmiast okrzyknięto podejrzaną.

Jej fotografia przedstawiająca kobietę w trudnym do określenia wieku, z jasnymi włosami i wyzywającym spojrzeniem, ukazała się we wszystkich gazetach i zrobiła ogromne wrażenie. Budziła wręcz makabryczną fascynację. Ludzie kręcili z podziwem głowami, że ta śliczna kobieta potrafiła z zimną krwią podciąć gardło swojej rywalce. Łapczywie rzucano się na każdą nową informację.

Bursztynowooka morderczyni– krzyczały tytuły w gazetach. ***Morderstwo bez cienia litości, Liliana Horn nie chciała z niczego rezygnować.*** Została już skazana, zanim jeszcze jej sprawa trafiła do sądu.

Dziennikarze dotarli do panny Föllner, a ta nie przebierała w słowach, by zdyskredytować swoją młodszą i atrakcyjniejszą rywalkę do posady sekretarki. Chętnie i kwieciście przedstawiała kolejne wersje rozmowy między Lilianą Horn a jej szefem, którą w ów krytyczny piątek niechcący podsłuchiwała przez interfon. Na własne uszy słyszała, że Liliana zmuszała dyrektora Kaysera do małżeństwa, czemu on się sprzeciwiał, ponieważ nie chciał porzucać ciężko chorej żony.

– Pan dyrektor na pewno nie chciał, aby jego żona umarła – zapewniała panna Föllner. – To taki dobry i uczciwy człowiek. Pracuję u

niego piętnaście lat i dobrze go poznałam. Dopiero ta Horn zawróciła mu w głowie, ale to kobieta zdolna do wszystkiego, a on zaufał jej bezgranicznie.

Ukazał się też wywiad z siostrą Elizą, bardzo wyważony w ocenach. Zdażyła już otrząsnąć się z szoku i powróciła do pracy w szpitalu rejonowym, gdzie odnaleźli ją dziennikarze.

– Pani pierwsza była przy zamordowanej. Proszę nam opowiedzieć...

– zaczął jeden z dziennikarzy, ale pielęgniarka przerwała mu zdecydowanie:

– Dla mnie to było straszne przeżycie i wolałabym o nim czym prędzej zapomnieć.

– Ale to pani podała policji ślad morderczyni. Skąd pani od razu wiedziała, że zrobiła to Liliana Horn?

– Nic takiego nie powiedziałam. Zostawcie mnie w spokoju.

Reporterzy nie ustępowali. Pstrykały aparaty fotograficzne.

– A jednak powiedziała pani inspektorowi Kramerowi...

– Tylko tyle, że moja pacjentka była o nią zazdrosna, i tak było w istocie. Nic więcej nie wiem, nic więcej też nie powiedziałam.

Rozmowa ta, choć bardzo krótka, zacytowana w całości i tak utwierdziła publiczność w jej przekonaniach.

Wszędobylskim dziennikarzom nie udało się dotrzeć do dyrektora Kaysera. Poprzez swoich adwokatów uprzedził on redaktorów naczelnych gazet, które interesowały się sprawą Liliany Horn, że każe prywatnie i sędownie ścigać każdego reportera, jeżeli napisze nieprawdę lub rzuci podejrzenie na niego i na stosunki łączące go z Lilianą Horn. Wszyscy byli pewni, że Kurt Kayser miał i środki, i możliwości, aby wygrać najlepiej przygotowany proces, więc na jego temat prasa pisała nadzwyczaj powściągliwie.

Skąpe informacje udało się wyciągnąć od Ruth Fiebig, za to sąsiadki z

tak zwanego „bunkra sekretarek” używały sobie do woli, chcąc przy okazji sprawy Liliany Horn same znaleźć się w czołówkach gazet.

– Liliana właściwie nie miała przyjaciółek – oświadczyła sąsiadka z piętra. – Ją interesowali tylko mężczyźni. Wychodziła codziennie wieczorem i rzadko kiedy wracała sama.

– Ta nie przepuści nikomu! – twierdziła inna. – Z życia trzeba korzystać – to była jej dewiza, a my ją uprzedzałyśmy, że to się źle skończy!

– Nieraz dziwiłyśmy się, skąd Liliana bierze na to wszystko pieniądze? A to futro, a to etola, własny samochód, biżuteria... Przecież nie kupi się tego za pensję zwykłej sekretarki!

Prasa bulwarowa od razu podchwyciła ten ton. ***Liliana Horn dziewczyną na sprzedaż?*** Jeden z tygodników zaś zamieścił długi artykuł pod tytułem: ***Czy morderstwo Ireny Kayser nie było zemstą odtrąconej przez społeczeństwo kobiety?***

Apartament Liliany Horn został natychmiast opieczętowany przez policję, ale i tak raz po raz ukazywały się relacje sąsiadek potwierdzające rewelacje, jakie tam rzekomo miały się znajdować. Wszystkich szokowała łazienka wyłożona czarnymi i czerwonymi kafelkami sprowadzonymi na specjalne zamówienie.

– Od razu sobie pomyślałem – komentował dozorca – że osoba, która ma takie zachcianki, wysoko mierzy... i źle skończy. Dla Liliany tak to się skończyło. Nie posądziłbym jej o morderstwo, ale jak komuś się w głowie przewraca, to nigdy nie wiadomo, co jeszcze wymyśli.

A większość czytelników była tego samego zdania co dozorca.

Od rana panował nieznośny upał.

Michael Sturm czekał po pracy na swoją narzeczoną pod bramą biblioteki miejskiej, gdzie Ewa pracowała w wypożyczalni dla dzieci od czasu zakończenia studiów. Zauważył ją z daleka. Ubrana w białą–czerwoną letnią sukienkę, w sandałach na bosych nogach, wyglądała naprawdę uroczo.

Po drodze kupiła w kiosku jakiś kolorowy magazyn i wsiadając do samochodu pokazała go Michaelowi.

– Patrz, ta Liliana Horn zaczyna robić karierę! – rzekła.

– Wyobraź sobie...

– Daj spokój, Ewo! – odkręcił boczną szybkę i wychylił się, by wyjechać z parkingu i włączyć się bezpiecznie w strumień samochodów na zatłoczonej ulicy.

– Dlaczego? Całe miasto aż huczy, a ty każesz mi nie interesować się tą sprawą?

Odezwał się dopiero, gdy udało mu się wjechać na właściwy pas jezdni. – Moim zdaniem, to zainteresowanie niczego dobrego nie wróży.

– Teraz to już zupełnie cię nie rozumiem! – patrzyła na niego swoimi naiwnymi niebieskimi oczyma.

– Mam po prostu dosyć gadania o przestępcach i zamordowanych. Być może dlatego, że mam z nimi do czynienia na co dzień.

– Pamiętasz, że nie raz zarzucałeś mi brak zainteresowania twoimi sprawami zawodowymi? – zrobiła śmieszoną minę.

– Tym razem też ci zarzucam, zwłaszcza że nie interesujesz się Lilianą Horn, a jedynie plotkami rozsiewanymi przez dziennikarzy. Nie zadajesz sobie nawet trudu, by zastanowić się, czy piszą prawdę.

– Czyżbyś ty uważał, że ona jest niewinna? – zrobiła wielkie oczy.

– Tego nie powiedziałem.

– Jak może być niewinna, skoro wszystkie dowody świadczą przeciwko niej?

Michael nagle ostro zahamował, gdy jadący przed nim samochód bez żadnego uprzedzenia skręcił w lewo. Prawdę mówiąc, tak ostre hamowanie wcale nie było potrzebne, a poirytowany Michael krzyknął:

– Dajże wreszcie spokój! Nie mam zamiaru dyskutować z tobą na temat winy Liliany Horn!

Złożyła gazetę i włożyła pod klapę torebki.

– W takim razie nie mówmy nic. Sam musisz przyznać, że czasami trudno z tobą wytrzymać.

– Przepraszam, ale tak wyszło.

Przez chwilę jechali przez zatłoczone miasto w milczeniu.

O tej porze, gdy biura kończyły pracę, jazda samochodem nie należała do przyjemności. Utknęli w długiej kolejce przed skrzyżowaniem.

– Po co właściwie przyszedł do ciebie w niedzielę Jo Kulicke? – spytała Ewa.

Rzucił na nią podejrzliwe spojrzenie. – Co znowu wymyśliłaś?

– O, mój Boże! Czy każde moje odezwanie się musisz od razu traktować jak żądanie wyjaśnień?

– Nie, nie miałem takiego zamiaru. Zdziwiłem się tylko, że nagle sobie przypomniałaś o wizycie Jo.

– Już dawno chciałam cię spytać, a teraz akurat mi się przypomniało.

W unieruchomionym samochodzie zrobiło się piekielnie gorąco. Michael czuł, jak pot spływa mu po plecach. Szybko zaczął zdejmować marynarkę.

– A więc po co przyszedł?

– Sprawa służbowa.

– Tak też myślałam, bo prywatnie nie utrzymujesz z nim żadnych kontaktów, chociaż, moim zdaniem, to całkiem sympatyczny chłopiec.

– Tak myślisz?

– Rany boskie! Znowu powiedziałam coś nie tak? Zwariuję, jeśli zaczniesz odgrywać zazdrośnika.

– Nie jestem zazdrosny – rzekł z naciskiem Michael.

– Martwi mnie tylko twoja kiepska znajomość ludzi.

– No, nie!

– No, tak! Jo Kulicke jest inteligentny, uprzejmy, dowcipny, ale niesumienny i, ogólnie mówiąc, brakuje mu zalet, którymi powinien odznaczać się człowiek honoru.

– O Boże, co za książkowa definicja!

Bo jest! Wyobraź sobie, że przyszedł do niego jakiś człowiek, mężczyzna, o ile dobrze zrozumiałem, i zaproponował mu pięćdziesiąt tysięcy marek za sfalszowanie protokołu medycznego na korzyść Liliany Horn.

– Pięćdziesiąt tysięcy! – westchnęła Ewa. – I on się zgodził?

– Beze mnie nie mógł niczego zrobić.

– Przyszedł więc prosić, żebyś...

– Tak.

Ewa nagle odsunęła się, popatrzyła na Michaela z dziwnym błyskiem w oczach. – Słuchaj, to wspaniała propozycja! Ile z tego dostaniesz? Przynajmniej połowę, co? Jo powinien się zgodzić, to przecież oczywiste. Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś? Mamy z głowy wszystkie kłopoty, Michael! Możemy się pobrać! – cieszyła się jak dziecko skacząc z

radości w fotelu.

– Ty chyba zwariowałaś! – krzyknął Michael zdenerwowany. – Zastanów się choć przez chwilę. Znasz mnie i wiesz, że nigdy nie zgodzę się na żadne fałszerstwo.

– Nie zgodziłeś się? – z jej twarzy zniknął radosny uśmiech.

– Oczywiście! Jak mógłbym złamać przysięgę, sprzeniewierzyć się własnym zasadom i tak dalej? Poza tym, jak bym się wytłumaczył, że na podstawie naszego protokołu morderczynię wypuszczono na wolność?

– Bzdura! Dosłownie przed chwilą przekonywałeś mnie, że jeszcze nie wiadomo, czy Liliana Horn to zrobiła.

– Bo tak właśnie jest, przynajmniej do czasu, aż sąd orzeknie o winie i wyda wyrok. Żeby jednak był to wyrok sprawiedliwy, każdy świadek, każdy ekspert musi powiedzieć prawdę, rozumiesz? – prawdę! Sąd musi poznać prawdę, a, moim zadaniem jest mu to ułatwić!

– Ja zaś nie liczę się zupełnie, tak? – mówiła podniesionym głosem. – Jeżeli Liliana Horn jest morderczynią, to spotka ją zasłużona kara i bez twojego bzdurnego protokołu, a jeśli jest niewinna, tym lepiej, bo nie miałbyś wyrzutów sumienia, że działałeś przeciwko niej.

– Głupstwa pleciesz i sama o tym dobrze wiesz – rzekł cierpko.

– A ty myślisz tylko o sobie! Jesteś egoistą i przekonuję się o tym nie po raz pierwszy – rozłościła się. – Zatrzymaj się, chcę wysiąść. Mam już ciebie szczerze dość! – krzyknęła i otworzyła drzwi.

Zahamował i chciał ją zatrzymać, ale ona zdążyła wyskoczyć na chodnik. Pozostało mu tylko zamknięcie za nią drzwi. Jechał powoli wzdłuż krawężnika. Chciał się zatrzymać, przeprosić ją, ale coś go powstrzymywało. Obawiał się, że znowu wyzwie go od głupców.

Liliana Horn czuła się zdruzgotana. Nagle wyrwano ją z normalnego życia, zamknięto w areszcie, odcięto od pracy, mieszkania, rozrywek. Co gorsza, nie miała nikogo, kto przyniósłby jej z domu ubrania, buty, jakieś drobiazgi.

Teraz była wręcz wdzięczna policjantce, że podczas aresztowania spakowała jej drobne rzeczy do podręcznej walizeczki, bieliznę na zmianę i przybory toaletowe.

Nie mogła pogodzić się ze swoją sytuacją ani też przyzwyczać do twardego materaca, szorstkich koców i straszliwej monotonii wlokących się jak nieskończoność dni i nocy. Ze wszystkich sił walczyła, by nie wpaść w depresję i nie przestać dbać o swój wygląd. Myła się przy każdej nadarzającej się okazji, wieczorem nakręcała włosy i starannie nacierała kremem skórę. Nie pozwalano jej używać lusterka z obawy, że stłucze je i okaleczy się odłamkami, a ona nie widząc swojej twarzy, miała wrażenie, że staje się sama sobie coraz bardziej obca.

Niemalże z przyjemnością wychodziła na przesłuchania, bo pytania – najpierw zadawane przez inspektora Kramera, potem sędziego śledczego Rehbeina – często zaskakujące i bezsensowne, dawały jej pewność, że wciąż jest sobą, tą Lilianą Horn, którą kochała, nienawidziła, do której była przyzwyczajona. Przesłuchania przywoływały także wspomnienia, nie zawsze może najlepsze, ale dzięki nim samotność w celi nie była tak dokuczliwa.

Nie dostawała gazet, czytała więc tylko podniszczone powieści z więziennej biblioteki. Przerzucała strony jak ciąg nic nie mówiących zdań.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ją zamknięto, i za wszelką cenę

starala się nie załamywać. Przecież wiedziała, że nie zrobiła nic złego i jest to tylko kwestia czasu, a pomyłka musi się wyjaśnić. Nie czuła więc strachu, bo była przekonana, że lada dzień wyjdzie na wolność. Nie wierzyła nawet, że dojdzie do jakiegoś procesu.

Tydzień po zatrzymaniu, gdy Liliana próbowała zabić nudę rozwiązywaniem krzyżówek, poproszono ją do sali widzeń. Ktoś przyszedł do niej z wizytą.

– Mogę się pokazać ludziom na oczy? – spytała policjantkę.

– Bez żadnej obawy! Tym akurat może się pani nie przejmować, bo pan mecenas dobrze wie, że więzienie to nie salon kosmetyczny.

– Pan mecenas? – ucieszyła się Liliana. – Nareszcie jakiś prawnik! Chociażby dlatego muszę się trochę ogarnąć.

– Och, i bez tego wygląda pani ślicznie – mruknęła strażniczka. – Dla pani byłoby lepiej, gdyby nawet w połowie nie była tak ładna.

– Co to znowu za insynuacje?! – zachnęła się Liliana.

Adwokat, barczyste chłopisko, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z bujną czupryną i ciemnymi, zrosniętymi brwiami nie zrobił na Lilianie najlepszego wrażenia, niemniej jednak przywitała się z nim jak prawdziwa dama przed wytwornym przyjęciem.

– Bardzo się cieszę, że zechciał pan się mną zająć. Jest pan moim obrońcą z urzędu, mecenasie van Borg?

– Nie, proszę pani. Otrzymałem zlecenie od pani męża i będę panią bronił, o ile zostanę do tego upoważniony.

– Od mojego... męża? Przecież jesteśmy po rozwodzie! – wyjąkała Liliana wyraźnie się czerwieniąc.

– Owszem, ale on bardzo zmartwił się pani sytuacją, a poza tym zależy mu, żeby jego nazwisko nie było wymieniane w związku z procesem.

– Nie rozumiem, po co miałyby być wymieniane?

– Racja, i przy odrobinie szczęścia uda nam się do tego nie dopuścić, głównie dla dobra jego żony i dzieci. Myślę, że tu się rozumiemy. Proszę też przyjąć do wiadomości, że w pierwszej kolejności będę bronić pani interesów, mimo że honorarium otrzymuję od pani męża.

– Bardzo panu dziękuję.

– Może usiądziemy? – zaproponował, częstując Lilianę papierosem.

– Nie palę, dzięki.

– W czekających panią ciężkich chwilach niepalenie to bardzo przydatna zaleta.

Liliana założyła nogę na nogę. – Ja myślę, że najcięższe chwile mam już za sobą. Pan mi pomoże stąd się wydostać, prawda, mecenasie?

Van Borg próbował uniknąć natarczywego spojrzenia Liliany. Położył na krześle swoją aktówkę i wyjął formularz pełnomocnictwa, który podsunął jej do podpisania.

– Radziłbym pani patrzeć realnie na swoją sytuację – rzekł.

Liliana zrobiła wielkie oczy. – Ależ ja patrzę realnie!

– Nie wydaje mi się – powiedział pokazując jej miejsca, gdzie ma złożyć swój podpis. – W każdym razie niech pani nie oczekuje, że dokonam cudów.

– Wcale na to nie liczę – odłożyła długopis. – Wystarczy, że pan udowodni, że jestem niewinna.

– Dziękuję – rzekł adwokat, chowając podpisany dokument do aktówki. – To zaczynamy. Chciałbym, żeby pani opowiedziała mi własnymi słowami, co się zdarzyło na miejscu czynu.

– Czynu?

Mecenas van Borg uniósł obie ręce i bezsilnie opuścił je na blat stołu.

– Przepraszam, rzeczywiście źle się wyraziłem. Chciałem usłyszeć, co pani robiła owego krytycznego wieczoru. Myślę o piątku, trzynastego czerwca...

– Mówiłam już inspektorowi i sędziemu śledczemu ze sto razy, ale jeśli pan chce usłyszeć to ode mnie, to byłam...

– Nie, nie, pani Horn! – przerwał jej. – Ja chcę usłyszeć prawdę. Zapewniam, że wszystko, co pani mi powie, zostaje tylko między nami. Mój zawód wymaga dyskrecji i gdybym zdradził cokolwiek z naszej rozmowy, szybko straciłbym pracę. Rozumie pani?

Pierwszy raz nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jąkała się:

– Ależ nie... ja...

– Ja muszę znać prawdę! – powtórzył. – A później razem zastanowimy się, jaką przyjąć linię obrony.

– Przecież ja cały czas mówię tylko prawdę – Liliana załamała się i zaczęła krzyczeć – nie kłamałam! Od pierwszej chwili nie powiedziałam niczego, co nie byłoby prawdą! – waliła pięścią w stół. Van Borg czekał, aż trochę się uspokoi.

– To nie ma sensu, pani Horn – rzekł spokojnym tonem. – W ten sposób nikogo pani nie przekona.

– Przepraszam, to nie w moim stylu – westchnęła.

– Ale spodziewałam się, że przynajmniej pan...

– Pomogę pani, ale musimy szczegółowo omówić każdy detal.

– No, dobrze, spróbuję być z panem szczerą – uśmiechnęła się.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale naprawdę nie mam do pani żalu, że w czasie przesłuchań nie powiedziała całej prawdy. Być może nie należało mówić niczego do czasu skontaktowania się z adwokatem.

Uśmiechnęła się cierpko. – To widać nie zna pan inspektora Kramera. Już widzę, co by się działo, gdyby ktoś przy nim próbował uciec się do

milczenia! On ma takie sposoby, że wyciągnie z człowieka najskrytsze myśli.

– Powiedzmy – mecenas van Borg odsunął się nieco od stołu i założył nogę na nogę. Odezwał się miłym, przyjacielskim tonem: – Niepotrzebnie popełniła pani kilka drobnych błędów, a wśród nich ten, że nie powiedziała pani o swoim wyjściu z „Taverny” na dłuższy czas.

– Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam, zwłaszcza że wyszłam na samym początku przyjęcia. Nie przywiązywałam do tego wyjścia żadnego znaczenia i dlatego nie utkwilo mi w pamięci.

– Szybko pani o tym przypomniano. Po diabła zadzwoniła pani zaraz po wyjściu inspektora do tego pana... jak mu tam? – sięgnął po notes – Huberta Toglera i próbowała namówić go do fałszywego zeznania?

Zacisnęła mocno usta. – Strasznie się bałam – wyszeptała po chwili i zaraz dodała: – tylko niech mi pan nie mówi, że nie powinnam się bać, jeżeli nic nie zrobiłam. Jestem niewinna i sam pan widzi, co ze mną zrobili.

– Rozumiem pani reakcję – rzekł spokojnie. – Ale niepotrzebnie postawiła się pani w złym świetle. Policja i sędziowie śledczy doskonale znają podobne przypadki ludzkiego zachowania, ale prokurator nie omieszka wykorzystać tego, by udowodnić swoją rację. Podważy pani wiarygodność, wykaże kłamstwo, a sędziowie przysięgli zapewne przychylią się do jego opinii.

Liliana nerwowo zaciskała palce. – Muszę przyznać, że palnęłam głupstwo. Od razu mogłam przypuszczać, że Togler nie utrzyma tego w tajemnicy. Teraz już za późno i czasu nie da się cofnąć.

– Niestety! – mecenas van Borg pochylił się i dodał:

– Właśnie to próbuję pani uświadomić. Kłamstwem i zaprzeczaniem nie wybrnie pani z tej sytuacji, wręcz przeciwnie – pogłębi się pani jeszcze

bardziej. Miałem okazję przejrzeć akta i proszę mi wierzyć – zebrane dowody przeciwko pani są przekonujące.

Liliana zbladła, aż koniec jej nosa zrobił się biały jak sopel lodu. – Ale przecież sąd nie może mnie skazać na podstawie samych dowodów!

– Może, a nawet musi. Zrobi to, o ile nie zmieni pani swojej postawy o sto osiemdziesiąt stopni.

– Naprawdę nie wiem, jak mam to zrobić.

Van Borg zapalił papierosa i wypuścił nosem kłęby dymu. – Po pierwsze musi pani się przełamać i powiedzieć mi całą prawdę, a potem zgodzić się z wersją, którą ja zaproponuję, choć nie będzie ona całkowicie zgodna z rzeczywistością. Proszę posłuchać uważnie:

– W tamten piątek była pani sama w domu i przygotowywała się do wyjścia. Powiedzmy, że około siódmej przypomniała pani sobie, że wypadałoby zadzwonić do żony szefa. Współczuła jej pani z powodu nieuleczalnej choroby i wiedząc, że jest sama, postanowiła pani spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Wcale przecież nie musiała pani wiedzieć, że jest ona aż tak zazdrosna...

– Przecież to nieprawda, mecenasie! – protestowała Liliana. – Ja jej w ogóle...

– Pozwoli pani, że najpierw skończę?... Pani Kayser poprosiła, żeby do niej przyjść, ale pani nie mogła jej niczego obiecać, nie znając planów na wieczór.

Uniósł zdecydowanym ruchem rękę widząc, że Liliana próbuje mu przerwać. – Przecież pani nie wiedziała, że spotkanie odbędzie się akurat w "Tavernie". A może panią wcześniej uprzedzono?

– Nie, nie. O tym powiedział nam pan Kerst dopiero w samochodzie. Ale to...

– Bardzo dobrze. No widzi pani, wszystko na razie się zgadza. W „Tavernie” przypomniała pani sobie o chorej i postanowiła wpaść do niej choćby na chwilę. Nie mogła pani powiedzieć o tym nikomu, bo agencja płaci za czas spędzony w towarzystwie gości, a więc wymknęła się pani niepostrzeżenie sądząc, że nikt nie zauważy chwili nieobecności...

– Ale panie mecenasie...

– Jeszcze nie skończyłem! – nie dał sobie przerwać van Borg. – Pobiegnęła pani zatem do willi przy Rheinallee, zadzwoniła do bramy, ale przypomniawszy sobie, że pani Kayser jest sama i nie może podejść do drzwi, weszła pani przez ogród na taras i przez otwarte okno balkonowe – do pokoju chorej. Przyszła pani w dobrej wierze, gdy tymczasem ona zaczęła od wyzwisk i przekleństw. Nie dało się jej uciszyć, więc w złości chwyciła pani leżącą obok łóżka żyletkę i na oślep rzuciła się na Irenę Kayser. Dopiero na widok krwi zrozumiała pani, co się stało. Żyletka wypadła z rąk, a pani odruchowo sprawdziła, czy na sukni nie ma śladów krwi. Nie było, więc czym prędzej uciekła pani z miejsca zbrodni. Po drodze udało się odzyskać równowagę i wróciła pani do stolika, jakby nic się nie stało – wreszcie skończył. – No, jak podoba się pani moja wersja?

Liliana patrzyła na niego zdumiona.

– A więc jest pan przekonany, że tak właśnie było?

Strząsnął popiół z papierosa. – Nieważne, czy ja jestem przekonany. Najważniejsze, aby przekonać sędziów,. Mógłbym obstawać przy zabójstwie w afekcie i wywalczyć dla pani wyrok w postaci kilku lat więzienia.

Liliana wstała. – Niech mi pan da na chwilę formularz, który podpisałam – rzekła bezbarwnym tonem.

– Po co?

– Proszę mi go dać!

Zgasił papierosa, sięgnął do aktówki i wyjął dokument. Wyrwała mu go z ręki i przedarła w kilku miejscach na krzyż, rozrzucając strzępy po podłodze. – Rezygnuję z obrońcy, który uważa mnie za zbrodniarkę!

– Jak pani sobie życzy – rzekł wstając również. – Ale w całych Niemczech nie znajdzie pani nikogo, kto wierzy w pani niewinność. Do widzenia!

Podszedł do drzwi, już miał zadzwonić po strażnika, gdy za plecami usłyszał cichy głos Liliany: – Mecenasiu! Błagam, niech pan nie odchodzi! Niech pan powie, co robić?

– Niech pani przemyśli sobie wszystko jeszcze raz. Przyjdę później – dodał i nacisnął klawisz dzwonka.

Opadła bezsilnie na krzesło i ukryła w dłoniach twarz.

16

Michael jadał z matką kolację na balkonie. Widok stamtąd nie był zbyt ciekawy: tylne ściany sztabowych budynków, a gdyby się wychylić – boksy z koszami na śmiecie, rozpięte sznury do suszenia prania i zaniedbany plac zabaw, ale powietrze było tu mniej nagrzane niż w dusznym mieszkaniu.

Pani Sturm przygotowała pełną miskę ulubionej sałatki jarzynowej, a teraz dziwiła się, gdy Michael z wyraźną niechęcią przełykał drobne porcje.

– Nie smakuje ci? – spytała.

– Co? Ależ skąd, sałatka jest dobra, tylko że ja wcale nie jestem głodny. – Nie zauważył, że uśmiechnęła się.

– Nie masz przypadkiem piwa? – dodał po chwili.

– Po co pytasz? Wiesz przecież, że jest w lodówce. Stoi tam co najmniej pięć butelek. – Próbował wstać, ale matka rzekła: – Poczekaj, mam bliżej do drzwi. – Podniosła się.

Szczupła, w eleganckich spodniach z różowego jedwabiu, starannie uczesana, nikt nie powiedziałby, że skończyła pięćdziesiąt dwa lata.

Wróciła po chwili z butelką piwa w rękę.

– Dziękuję, mamo. Co tam dziś ciekawego w telewizji?

– Coś ostatnio zrobiłeś się domatorem! – skomentowała, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

– Myślałem, że będziesz zadowolona.

– Byłabym, ale dobrze wiem, że zostajesz, bo pokłóciłeś się z Ewą.

Chciał szybko coś skłamać, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Zgadłaś. Znowu się posprzeczałyśmy.

– Nie pozostaje ci nic innego, jak szybko ją przeprosić, nawet jeżeli do sprzeczki doszło z jej winy. Nie dziw się, że nie wytrzymuje nerwowo tej dwuznacznej sytuacji.

– Nie. życzę sobie, żeby złe humory wyładowywała na mnie.

Pani Sturm sięgnęła po papierosa, zaś Michael pośpieszył z ogniem. – Wiesz co – rzekła po chwili – czasami tak się zastanawiam...

– Nad nami? Mamo, naprawdę szkoda twoich nerwów.

– ... i wydaje mi się, że znalazłam jakieś wyjście. Co byś powiedział, gdybym poszła do pracy? Pozwól, proszę, że skończę. Mogłabym opiekować się albo prowadzić dom jakiejś samotnej starszej kobiecie. Nie musiałbyś mnie utrzymywać, a mieszkanie wreszcie mielibyście tylko dla siebie.

– Co ty opowiadasz, mammo! – krzyknął oburzony.

– Też pomysł! Nigdy się nie zgodzę na coś podobnego!

– Nie bądź uparty, Michael – uśmiechnęła się. – Prędzej czy później zostanę sama, więc rozsądniej będzie, jeżeli zawczasu rozglądnę się za towarzystwem na starość.

– Rób, jak uważasz, ale nie pozwolę, abyś pracowała u obcych ludzi. Kiedy się wyprowadzę, możesz przyjąć do domu, kogo ci się żywnie podoba – przyjaciółkę albo sublokatora. To już twoja sprawa.

– Ale moja propozycja rozwiązałaby już teraz nasze problemy...

– Nie zgadzam się, żebyś ty pracowała, a Ewa odgrywała rolę wielkiej pani domu. Nie i koniec! Ani słowa więcej na ten temat – wstał. – Chodźmy raczej obejrzeć jakiś film w telewizji – dodał, a przechodząc obok matki, pocałował ją w policzek.

– Aj, ale twoja broda kłuje! – zaśmiała się. – Dzisiejsze dziewczęta naprawdę to lubią?

Michael zatrzymał się w drzwiach. – Proszę cię, mamó, nie poruszaj już tego tematu, a zwłaszcza nie rozmawiaj o tym z Ewą. Ona już i bez tego zadręcza mnie swoim gadaniem, a ty podsunęłabyś jej dodatkowy pretekst.

Jak każda matka, pani Sturm była przekonana, że żadna dziewczyna nie będzie odpowiednia dla jej syna, a już na pewno nie ta, którą on sam sobie wybierze. Za żadne skarby świata jednak nie chciała przyznać, że tak właśnie myśli.

– Mój biedaku! – zażartowała. – Gotowa jestem ci współczuć, ale nie zrobię tego, bo wiem, że ty też nie jesteś aniołkiem – rzekła i popatrzyła na syna pełnym miłości wzrokiem, zupełnie nie pasującym do wypowiedzianego zdania.

Michael ciężko znosił rozstanie z narzeczoną i był już niemal zdecydowany zadzwonić albo nawet podjechać pod bibliotekę, w której

pracowała. Ale jednak nie był pewien, czy chce tego naprawdę. Wciąż liczył, że to ona pierwsza wyciągnie rękę do zgody.

Minął już tydzień od ich ostatniego spotkania, gdy po pracy Michael zobaczył Ewę czekającą przed bramą Instytutu Medycyny Sądowej. Nie wytrzymała.

Teraz jednak, na chwilę przed spotkaniem, ogarnęły ją wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Nie wiedziała, co powiedzieć, a w dodatku nie była pewna, czy krótka spódnica w kolorowe kwiaty, którą specjalnie ubrała, akurat mu się spodoba.

Patrząc w zamknięte, ciężkie dębowe drzwi Instytutu, wciąż nie była pewna, czy zaczekać, czy też odejść.

Pierwszą znajomą osobą wychodzącą z Instytutu był Jo Kulicke, ubrany w niebiesko–zielony sportowy garnitur, od którego wyraźnie odbijała się jasnoruda czupryna. Był tak opalony na twarzy, że prawie nie było widać na niej piegów, a jego zielonkawe oczy wprost tryskały energią.

Ewa chciała się ukryć, ale zauważył ją i zdecydowanym krokiem zmierzał w jej stronę.

– Cześć, Ewa! Pięknie dziś wyglądasz – przywitał ją ściskając obie jej ręce. – Komplement z ust lekarza kryminologa niewiele jest wart, bo w porównaniu z naszymi nieboszczykami każda żywa istota jest piękna – dodał.

– A ty jak zawsze przeszedłeś samego siebie – odparła, próbując oswobodzić się z uścisku jego rąk.

– Czekasz na mnie, prawda? – spytał nie puszczając jej.

– Na ciebie?

– A na kogóżby? Z Michaelem na szczęście zerwałaś, czego ci szczerze gratuluję. Wreszcie uwolniłaś się od tego starego nudziarza.

– Prawdę mówiąc, w porównaniu z tobą nie jest jeszcze taki zły.

– Hm, chyba pośpieszyłaś się z oceną. Nie możesz się wypowiadać, dopóki nie wypróbujemy siebie nawzajem.

– Bezczelny! – zaczerwieniła się.

– Nie miałabyś ochoty? Skorzystaj z okazji. Jeżeli cię rozczaruję, możesz spokojnie wrócić do swojego starego nudziarza.

– Trafiłeś ze swoją ofertą pod niewłaściwy adres – warknęła i z całej siły kopnęła go w łydkę.

– Au! – syknął i skacząc na jednej nodze szedł do swojego samochodu. Ewa śmiała się, a gdy odwrócił się, pokazała mu język i zawołała: – Masz na pamiętkę! Zasłużyłeś sobie, pajacu!

W tym momencie zobaczyła schodzącego po schodach Michaela.

– Michi! Och, Michael!

Jej jasnoniebieskie oczy zapaliły się radośnie i rzuciła się mu naprzeciw. Bez słowa wzięli się pod ramiona i przytuleni szli w stronę parkingu. Jo Kulicke już zdążył odjechać.

– Cieszę się, że przyszedłeś – rzekł Michael. – Dłużej bez ciebie już bym nie wytrzymał.

– Tego właśnie nie byłam pewna! – roześmiała się.

– Wiem, jaki jesteś uparty, i obawiałam się, że każesz mi czekać jeszcze pół roku.

– Och, tyle bym nie wytrzymał.

– Wcale nie jestem przekonana!

Szli trzymając się za ręce. – Przyznaj, pozwoliłbyś mi pojechać samej na urlop? Chyba nie zapomniałeś, że zaplanowaliśmy go przed rokiem?

Zmierzwił jej ciemnoblonde loki. – Jakże mógłbym zapomnieć?! W najgorszym razie spotkalibyśmy się w samolocie odlatującym na Majorkę.

– Jak to "w najgorszym razie"? Co ty znowu wymyślasz? Jeśli chcesz wiedzieć, to... – urwała nagle w pół zdania.

– To co?

– Już nic. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał ani żebyśmy się znów pokłócili. Nie będziemy się kłócić nigdy, a na pewno nie przed urlopem. Tak bardzo się cieszę na ten wyjazd.

Wziął ją za rękę i pocałował. Miał wrażenie, że jeszcze nigdy jej tak nie kochał jak teraz.

17

Liliana Horn spędziła lato w swojej pojedynczej celi, którą starała się jakoś zaopatrzyć w wygody, do jakich była przyzwyczajona. Kolorowy obrus i kilka fotografii artystycznych zmieniło nieco wystrój celi, ale gdzież jej tam było do pięknego apartamentu w „bunkrze sekretarek”. Liliana ciężko znosiła pozbawienie swobody, a już najbardziej denerwowało ją nachalne podglądanie przez judasza w drzwiach

Było to najtrudniejsze i najnieznośniejsze lato w jej życiu. Skończyło się śledztwo a wraz z nim przesłuchania, które, – co by nie powiedzieć – były jakimś urozmaiceniem nudnej codzienności.

Oprócz mecenasa van Borgia, którego bezskutecznie próbowała przekonać o swojej niewinności, nikt jej nie odwiedzał. Miała wprawdzie wielu znajomych, ale w ostatnich latach z nikim się bliżej nie przyjaźniła. Teraz bardzo tego żałowała.

Kiedy mecenas przyniósł wiadomość, że został wyznaczony termin rozprawy, Liliana odetchnęła z ulgą: – No, nareszcie! Najwyższy czas!

Rozejrzał się po czystej i przestronnej celi. – Chyba nie było tu pani najgorzej? – spytał zupełnie poważnie.

– Pan żartuje? Chciałabym widzieć pańską minę, gdyby nagle wyrwano pana z normalnego życia i wsadzono do takiej dziury jak ta!

– Niewykluczone – rzekł dotykając kolorowego obrusa – że jeszcze pani tu wróci.

– Ma pan wyjątkowy dar podtrzymywania na duchu, mecenasie! – zaśmiała się. Z czasem Liliana złagodniała. Jej skóra straciła piękny złotawy odcień, włosy, choć myte często, nie miały już takiego jak dawniej blasku, pojawiły się ciemne odrosty. Mimo to Liliana wciąż była bardzo piękną kobietą, a jej oczy jak dwa bursztyny błyszcząły wprost magnetyczną siłą.

– Proszę mi wierzyć, pani Horn, wcale nie jest mi łatwo wciąż przypominać pani, jaka jest prawda, ale ktoś musi to robić. W przeciwnym razie w obliczu realiów załamałaby się pani nerwowo.

– Nie ma obaw, mecenasie! – usiadła na pryczy i założyła nogę na nogę. – Ja tak łatwo się nie załamuję.

– Tonem uprzejmej gospodyni wskazała mu krzesło.

– Proszę, niech pan usiądzie i zapali sobie, mnie to nie przeszkadza.

– Dziękuję – rzekł, jak zawsze trochę skępowany w jej obecności.

Złożyła ręce na kolanach i odchyliła w tył głowę.

– Cieszę się, że wreszcie będę mogła głośno powiedzieć, co się naprawdę zdarzyło, i udowodnić, że niepotrzebnie zostałam wplątana w tę bzdurną aferę. Założę się z panem, że sędziowie mi uwierzą.

– Zobaczymy – westchnął. – Widzę, że w dalszym – ciągu wierzy pani w uniewinnienie.

– A jakże by inaczej! Inny wyrok nie wchodzi w rachubę, skoro jestem absolutnie niewinna.

Mecenas kręcił się nerwowo. – Najważniejsze, żeby udało się pani zrobić dobre wrażenie na sędziach, przysięgłych, no i dziennikarzach. Sąd co prawda stara się być niezawisły, ale zawsze sympatie i antypatie odgrywają pewną rolę. Z drugiej strony wszyscy czytają gazety – sędziowie i ławnicy też – więc prasa w jakiś sposób wywiera wpływ na ich decyzje.

– Jak na razie to zdaje się nie mam najlepszej prasy?

– Niestety, nie – odpowiedział, nie patrząc w jej stronę.

– Niechże pan nie robi tak strapionej miny, mecenasie! Nie będzie znowu tak źle. Ci faceci jeszcze mnie nie znają, ale może pan być pewny, że owinę ich sobie wokół małego palca.

– Radzę przed sądem nie używać takich wyrażeń. Rozumiem, że próbuje pani w ten sposób opanować zdenerwowanie...

– Ha, ha, ha!

– ... ale robi to niemiłe wrażenie i wcale nie jest śmieszne. Jako oskarżona powinna pani zachować powagę, zwłaszcza że sytuacja nie jest wesoła i nie dająca powodów do tryumfu. Co do niewinności, to najpierw musi jej pani dowieść.

Liliana zagryzła na chwilę dolną wargę. – A nie jest przypadkiem na odwrót, że to ci panowie muszą mi udowodnić, że to zrobiłam?

– Racja, ale „ci panowie”, jak pani elegancko nazywa wysoki sąd, zgromadzili mnóstwo dowodów i dlatego...

– Wiem dobrze, co pan znowu chce powiedzieć, ale dla mnie ważniejsze jest w tej chwili, w co się ubrać na rozprawę. Przydałby mi się mój biały jedwabny kostium, białe czółenka i nie pocerowane rajstopy, a także fryzjer... Bardzo pana proszę, mecenasie, niech pan załatwi, abym mogła pójść do fryzjera! Muszę podciąć włosy, rozjaśnić i jakoś porządnie ułożyć. Tak nie mogę pokazać się ludziom na oczy! – dodała, roztrzepując

ręką ułożone w nieładzie loki.

– Zobaczą, co da się zrobić. Jeżeli pani pozwoli, to odradzałbym wystąpienie przed sądem w białym kostiumie. Z pewnością ma pani coś mniej wyzywającego, w czym będzie pani również do twarzy.

– Drogi mecenasie! Choć jest pan znakomitym prawnikiem, w co zresztą głęboko wierzę, to na modzie nie zna się pan zupełnie! Nie, nie. Wiem, w co się ubrać, i nie posłucham niczyjej rady.

18

Profesor Faber czytał wezwanie do sądu z niezadowoloną miną. Popatrzył na doktora Sturma i rzekł: – Proces o zabójstwo Ireny Kayser będzie się toczyć przed tutejszym sądem czwartego i piątego października; zupełnie mi nie pasuje ten termin! Muszę podpytać sędziego, kiedy przewiduje moje wystąpienie, ale tak czy inaczej jedno przedpołudnie mam z głowy, akurat teraz, gdy kończę pracę nad podręcznikiem z psychologii przestępstw.

Michael przyszedł do gabinetu szefa, by jak co rano odebrać od niego materiały do rutynowych protokołów, które sporządzał w jego zastępstwie. Po wypowiedzi profesora zebrał całą odwagę i rzekł:

– Panie profesorze, a może ja mógłbym pana wyręczyć? – spytał zdecydowanym tonem, patrząc przełożonemu prosto w oczy. – Sądzę, że przynajmniej w tym przypadku mógłbym osobiście wystąpić przed sądem.

Faber zmarszczył brwi i spytał ze zdziwieniem, które w jego przypadku zawsze oznaczało najwyższy stopień irytacji: – Ależ, mój drogi, jak pan to sobie wyobraża?

Pytanie to miało charakter retoryczny, ale Michael Sturm postanowił

na nie odpowiedzieć:

– Po prostu poszedłbym w pana zastępstwie. Wiem, że wezwanie jest imienne, ale mógłby mi pan wystawić upoważnienie... Zwłaszcza, że to ja sporządziłem protokół!

Doskonale wiedział, że ta ostatnia uwaga ostatecznie przekreślała szansę wystąpienia w sądzie, ale zdecydował się wreszcie wygarnąć szefowi, co sądzi o podziale pracy w Instytucie.

Profesor był zbyt sprytny, by dać się zaskoczyć.

– Hm, wymyślił pan sobie ciekawą ideę, naprawdę ciekawą! Na jej podstawie moja sekretarka powinna żądać wpisania na listę największych światowych autorytetów naukowych dlatego, że pisze listy, które ja jej dyktuję! – zaśmiał się z udanego, jego zdaniem, dowcipu.

Ponieważ Sturm stał z kamienną twarzą, natychmiast spoważniał i rzekł ojcowskim tonem: – No, wiem, że pan nie rozumuje w ten sposób. Jest pan na to zbyt inteligentny – i szybko zmienił temat: – Wiadomo już coś o tym młodym człowieku, którego dziś rano wyłowiono z Renu?

– Panie profesorze – nie ustępował Sturm – pan wie, że zabójstwem Ireny Kayser zajmowałem się od początku. Byłem na miejscu zbrodni i ustaliłem, że nie było to samobójstwo. Uczestniczyłem w sekcji, badałem podejrzaną i stwierdziłem u niej... – nagle przerwał w pół zdania, by zaczerpnąć powietrza.

– Komu pan to mówi, drogi kolego! – profesor uśmiechnął się serdecznie i wstał zza biurka. – Tym razem, jak zawsze zresztą, wykonał pan kawał porządnej roboty, za co jestem panu bardzo wdzięczny i chciałbym, żeby tak było w przyszłości. Pan gromadzi fakty, a ja wyciągam wnioski, nie tak?

– Zrobiłem znacznie więcej niż zebranie faktów i pan o tym dobrze

wie, profesorze. Dlaczego nie daje mi pan szansy doprowadzenia choćby jednego przypadku do końca?

Faber obszedł biurko, położył Michaelowi rękę na ramieniu i rzekł spokojnie: – Chce pan brać na siebie odpowiedzialność, i to się chwali, ale kiedy za jakiś czas znajdzie się pan na moim miejscu, szybko się pan zorientuje, że wcale nie jest łatwo ponosić odpowiedzialność. Wręcz przeciwnie – jest to ciężkie brzemię.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedział Michael.

– Tu chodzi o morderstwo, mój drogi, nie o moją sławę ani karierę, ale o los człowieka – profesor popychał go w stronę drzwi.

– Wiem profesorze, ale ja chciałem tylko...

– Pański protokół – przerwał mu Faber – niech pan dobrze posłucha: mówię wyraźnie: „pański” protokół jest druzgocący dla oskarżonej. Na pana miejscu cieszyłbym się, że ktoś inny bierze zań odpowiedzialność.

– Właśnie dlatego chciałem pana wyręczyć, panie profesorze!

– W przyszłości pan zrozumie, że to niemożliwe. Dziękuję, drogi kolego. Poproszę pana do siebie, jeżeli będzie taka potrzeba – dodał i zatrzasnął mu przed nosem drzwi.

Doktor Sturm stał sam na długim, pustym korytarzu i nie wiedział, czy złościć się na profesora, czy na samego siebie. Zdobył się wreszcie na odwagę, by sprzeciwić się praktykom stosowanym w Instytucie, a w rezultacie nic nie wskórał.

Profesor go po prostu zignorował. Nagle Michael uświadomił sobie, że nie popełnił żadnego błędu, bo niezależnie od tego, czy wściekłby się jeszcze bardziej, czy też spróbował bardziej dyplomatycznego sposobu, profesor dysponował wszystkimi środkami, by bronić swojej pozycji.

Innymi słowy, doktor Kulicke miał rację: asystenci są do roboty, a

profesorowie do zbierania zaszczytów i pieniędzy. Od tej zasady jak widać, nie ma wyjątków.

Dla Sturma konkluzja ta oznaczała jedno – musi starać się o posadę szefa jednego z instytutów medycyny sądowej. Był przekonany, że prędzej czy później mu się uda.

Tylko czy Ewa zechce czekać? Prawdę mówiąc, Michaelowi nie tyle zależało na dyrektorskim stanowisku, co na spełnieniu warunków postawionych przez Ewę.

Dobrze, że nie powiedział jej o swoich planach. Nie czuje się zawiedziona, a co ważniejsze – nie wszczyna awantur, których Michael tak bardzo nie lubi.

Co to za miłość, jeżeli człowiek żyje w ciągłym strachu, że z byle błahostki zaraz wybuchnie bezsensowna i zacięta sprzeczka? Czy rzeczywiście kłóć się tylko z powodu braku perspektyw na samodzielne mieszkanie? Michael sam nie wiedział, ale nie wyobrażał sobie życia bez Ewy.

Westchnął głęboko i wrócił do prosektorium, gdzie czekały na niego zwłoki młodego mężczyzny, którego w samych kąpielówkach wyłowiono dziś z Renu.

Było niemal pewne, że nie zostało popełnione morderstwo, ale trzeba było sprawdzić, czy utonięcie nie nastąpiło wskutek nadużycia alkoholu, zawału serca czy też zatrucia organizmu.

Przypadek rutynowy, ale jak każdy trafiający do instytutu medycyny sądowej, wymagający skrupulatnego i żmudnego badania.

Proces Liliany Horn rozpoczął się w poniedziałek szóstego października. Ponieważ towarzyszyło mu wielkie zainteresowanie publiczności, administracja sądowa wydała numerowane karty wstępu dla przedstawicieli prasy, policji, władz lokalnych i zwykłych obywateli.

Michael Sturm chciał być obecny przynajmniej jako widz na procesie, w którym jego wyniki badań odegrają znaczącą rolę, choć to nie on będzie je przedstawiać. Udało mu się dostać wejściówkę także dla Ewy, która – o dziwo – bardzo zainteresowała się sprawą Liliany H. i gotowa była wziąć kilka dni urlopu, byleby tylko dostać się na salę sądową.

Kiedy o ósmej rano, na godzinę przed rozpoczęciem rozprawy, wysiedli przed budynkiem sądu, na schodach tłoczył się tłum, a kolejka chętnych po wejściówki ustawiała się już na ulicy. Policja z trudem utrzymywała porządek. Wpuszczano najpierw posiadaczy kart oficjalnych, a wkrótce okazało się, że na sali brakuje już miejsc, mimo że proces odbywał się w największym pomieszczeniu w całym budynku. Co najmniej połowa chętnych została za drzwiami.

Ewa była dumna, że zaliczała się do szczęśliwców, których wpuszczono. Rozglądała się po sali, jej niebieskie oczy radośnie błyszczały. Ubrana w ciemnobrązowy kostiumik wyglądała niezwykle uroczo.

Kilka minut przed dziewiątą, gdy prokurator i adwokat byli już na sali, weszła Liliana Horn w asyście policjanta i urzędniczki sądowej. Szła wyprostowana, w eleganckim białym kostiumie, i wyglądała bardziej na gwiazdę filmową odtwarzającą rolę oskarżonej, niż na człowieka, o którego losie będzie rozstrzygać rzeczywisty sąd.

Piękne blond włosy miała starannie uczesane, rzęsy mocno

umalowane, a pod wyrazistym makijażem wcale nie było widać zmęczenia kilkumiesięcznym pobytem w areszcie i nużącymi przesłuchaniami.

Michael Sturm aż oniemiał z wrażenia i wprost nie mógł uwierzyć, że jest to ta sama osoba, którą przyprowadzono mu do Instytutu w skromnej więziennej sukience.

Stała i uśmiechała się lekko, kiedy reporterzy rzucili się w jej stronę z kamerami i aparatami fotograficznymi. Błyskały flesze, widzowie na galerii wstali z miejsc.

– Ależ ona fantastycznie wygląda, nie sądzisz, Michael? Znacznie lepiej niż na fotografiach, a przecież spędziła kilka miesięcy w więzieniu. Naprawdę, tylko jej pozazdrościć.

Michael był podobnego zdania, ale rzekł z poważną miną: – Ktoś musiał jej źle poradzić.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo sąd woli skruszonych winowajców.

– Przecież jeszcze się nawet nie odezwała!

Michael nie zdążył wyjaśnić, co miał na myśli, bo poproszono reporterów o opuszczenie sali, a bocznymi drzwiami weszli trzej zawodowi sędziowie w togach i sześciu sędziów przysięgłych, ławników.

Przewodniczący, starszy, mocno grubawy pan, wygłosił formułę otwarcia i przystąpił do zaprzysiężenia świadków podchodzących po kolei do stołu sędziowskiego. Pouczył ich, że za złożenie fałszywych zeznań nawet przed przysięgą grozi kara więzienia.

Świadków wyprowadzono z sali i zaczęło się przesłuchanie oskarżonej. Odpowiadała krótko i rzeczowo na każde postawione jej pytanie. Nie starała się wzbudzić litości, ani też pokazać siebie w szczególnie korzystnym świetle.

Sturm musiał przyznać, że wypadła bardzo dobrze, ale nie wiedział, ile wysiłku ją kosztowało podporządkowanie się wskazówkom adwokata i powstrzymanie się od opryskliwych wypowiedzi.

Postawa oskarżonej widocznie wzbudziła też sympatię sędziego prowadzącego, gdyż zmienił ton na znacznie cieplejszy.

– A teraz proszę opowiedzieć nam o swoim małżeństwie – rzekł.

Liliana jakby się zawahała: – Cóż... właściwie nie ma o czym mówić.

– Nie ma? – przewodniczący uniósł brwi. – Z akt wynika, że była pani mężatką przez całych siedem lat.

– Nie widzę w tym nic szczególnego. Niektórzy pozostają w małżeństwie znacznie dłużej.

Na sali słuchającej w napięciu rozległ się śmiech, jednak sędzia nie ustępował: – Pani małżeństwo jednak od początku nie należało do udanych.

– Nigdy tego bym nie powiedziała, ale to chyba nie ma związku z toczącą się tu dzisiaj sprawą.

– Jestem innego zdania. Jako mężatce nie wypadałoby pani otwarcie flirtować z szefem.

– Otwarcie?! – zdziwiła się Liliana. – Ja miałabym flirtować z dyrektorem Kayserem? Śmiechu warte!

– Nie widzę w tym nic komicznego. Jako rozwódka musiała pani ciężko pracować na swoje utrzymanie, a pan Kayser jest człowiekiem zamożnym, na wysokim stanowisku. Żonaty, ale właściwie nie miał żony, gdyż ta od lat była przykuta do łóżka.

– Nigdy, ale to nigdy nie interesowałam się dyrektorem Kayserem jako mężczyzną! – zawołała z przekonaniem.

– Ale wyjeżdżaliście czasami razem?

– Wyłącznie służbowo.

– Ale odwiedzał panią wieczorami w pani mieszkaniu?

– To nieprawda!

– Chce pani także zaprzeczyć, że pan Kayser interesował się panią?

Liliana wzruszyła obojętnie ramionami. – Powiedział czasami jakiś komplement i tyle.

Przewodniczący przerzucił kilka stron akt i rzekł: – Odbiegliśmy nieco od tematu, wróćmy więc do pani małżeństwa...

– Wolałabym o tym nie mówić – przerwała mu Liliana.

– Wiem, ale czy to prawda, że do rozwodu doszło z pani winy? Albo też zawarliście z mężem umowę, bo – jak tu czytam – dwa miesiące później on ożenił się powtórnie.

– Nie. Ja... – urwała nagle, gdyż sobie przypomniała przestrogi mecenasa van Borga i o mało co nie przyznałaby się do zdrady męża – ja byłam winna, że doszło do rozwodu – rzekła wymijająco.

Szczerliwie udało się odwieść sędziego od stawiania dalszych pytań na temat małżeństwa, a Liliana opowiedziała szczegółowo, jak próbowała stanąć o własnych siłach i w jaki sposób trafiła do zakładów Schöllera, do sekretariatu dyrektora Kaysera. Wspomniała też o swojej pracy w agencji towarzyskiej, którą podjęła, żeby dorobić i urozmaicić sobie czas.

Prokurator, starszy, siwowłosy i niezwykle chudy pan, przerwał jej w tym momencie: – Rozumiem, że przez agencję poznała pani wielu interesujących mężczyzn?

– Interesujących? – powtórzyła. – Nie powiedziałabym.

– Może źle się wyraziłem. Czy spotkała zatem pani mężczyznę na tyle interesującego, żeby się z nim związać prywatnie?

– Nie,, nawet nie starałam się szukać.

– Ale dochodziło do prywatnych spotkań, mimo że pani się nie starała?

– Liliana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Milczała, a prokurator dokończył swoją myśl w formie stwierdzenia: – I do intymnych zbliżeń też!

Liliana popatrzyła na adwokata. – Muszę odpowiedzieć? – spytała, a sędzia natychmiast zareagował:

– Bylibyśmy pani bardzo wdzięczni. Sąd pragnie wyrobić sobie zdanie o pani charakterze, sposobie bycia, wiarygodności.

– Tak – odpowiedziała Liliana po chwili wahania.

Prokurator wstał i wskazując na nią palcem spytał, a raczej znowu stwierdził: – A zatem przyznaje pani, że utrzymywała intymne stosunki z wieloma mężczyznami?

– Tak sformułowane zdanie jest oczywiście nieprawdziwe.

– Nie zaprzecza jednak faktom. Ciekawe, że tylko z szefem nie chciała pani wiązać się bliżej!

– Powiedziałam, że miałam kochanków – rozzłościła się – ale to wcale nie znaczy, że szłam do łóżka z każdym.

– Na sali wybuchła salwa śmiechu i Liliana musiała podnieść głos: – Mogę pana zapewnić, że znam wielu mężczyzn, a tylko z nielicznymi łączyło mnie cośkolwiek.

– Dziękuję, to mi wystarczy! – rzekł prokurator z miną, jakby dokonał wielkiego odkrycia.

Przesłuchanie ciągnęło się aż do południa, po czym sędzia ogłosił godzinną przerwę. Wyprowadzono oskarżoną, a zaraz potem wyszli ławnicy, sędziowie, prokurator i adwokat.

Michael i Ewa pozostali na sali, jak zresztą większość widowni, gdyż nikt nie miał zamiaru toczyć od nowa walki o wolne miejsca. Każdy przyniósł coś tam do jedzenia, przeważnie po jabłku.

– To wyjątkowo opanowana i wyrachowana osoba! – otrząsnęła się

Ewa. – Po takiej można wszystkiego się spodziewać.

– Walczy przyparta do muru.

– Czyżbyś darzył ją sympatią? – popatrzyła na niego z ukosa.

– Sympatią?... Nie! – kręcił głową – Tego bym nie powiedział.

Nie przyznał się, że skłamał, a Ewa przynajmniej nie wracała już do tematu.

Po przerwie jako pierwszego świadka poproszono pannę Föllner, która na tę okazję wystroiła się wyjątkowo elegancko. Miała na sobie czarne karakułowe futro, na nogach zgrabne półbuty, a na głowie czarny kapelusz przypominający pudełko na pigułki. Nawet najbardziej życzliwa osoba musiała przyznać, że w roli sekretarki wolałaby jednak widzieć oskarżoną.

Z ochotą i kwieciście panna Föllner opowiedziała treść rozmowy między dyrektorem Kayserem a panną Horn, tak jak ją usłyszała przez interfon, którego ktoś przypadkowo nie wyłączył, akurat owego feralnego dnia trzynastego czerwca. Twierdziła, że Liliana nalegała, żeby szef rozwiódł się z żoną i ożenił się z nią.

Liliana zerwała się i krzyknęła: – To zwyczajna bzdura!

– Proszę usiąść i czekać, aż sąd zażąda wyjaśnień – upomniał sędzia. Mecenas van Borg pociągnął ją za rękaw, a gdy usiadła coś szeptał jej do ucha.

– Wiedziałam, że zaprzeczy, bo prawda w oczy kole! Ale i tak jej to nic nie pomoże – panna Föllner patrzyła to na sędziego, to na ławników. – Powiedziałam to, co wiem i co słyszałam na własne uszy.

Adwokat poprosił o głos. – Panno Föllner – zaczął od pochlebstw – wszyscy wiemy, że zależy pani na ustaleniu prawdy i nikt nie ośmieliłby się w to wątpić, ale rozmowa, o której pani mówiła, odbyła się przed czterema miesiącami.

– Mam dobrą pamięć i mogę na niej całkowicie polegać.

– Naprawdę? – van Borg udał zdziwionego. – A ja tu mam pismo odwołujące panią ze stanowiska sekretarki dyrektora Kaysera, w którym on uzasadnia, że musi przyjąć młodszą osobę. I na pani miejsce przyjął właśnie obecną tu oskarżoną!

– To oszczerstwo! – zaświszczała panna Föllner.

– Panie sędzio, czy ja muszę tego słuchać?

– Jestem pewien, że pan mecenas nie chciał pani urazić – próbował ją udobruchać przewodniczący, a van Borg ciągnął dalej:

– Ja, na przykład, mam bardzo dobrą pamięć, ale nie Podjąłbym się powtórzyć rozmowy, którą przypadkowo usłyszałem cztery miesiące temu, i to zdanie po zdaniu.

– Tu nie chodzi o kolejność zdań, ale o ich sens, a ten na pewno dobrze zapamiętałam. Opowiedziałam o tym tego samego dnia przyjaciółce, z którą razem wynajmujemy pokój. Jak pan mnie nie wierzy, niech pan spyta ją!

– Oskarżona ma głos – przerwał sędzia. – Chcielibyśmy usłyszeć, co pani ma do powiedzenia.

– Panna Föllner kłamie – zaczęła Liliana. – Być może nawet nie robi tego z premedytacją, a po prostu swoje wyobrażenia przedstawia jako prawdę. Od samego początku nie ukrywała, że jest zazdrosna.

– Co ja słyszę? – zerwał się prokurator. – Była zazdrosna? A dlaczegóż to, skoro z szefem zupełnie nic panią nie łączyło?

– O bezpodstawnej zazdrości nigdy pan nie słyszał? – odpaliła Liliana, a część publiczności skwitowała to śmiechem.

Chwilowy sukces został natychmiast zapomniany, gdyż wezwano na świadka dyrektora Kaysera.

Był wyraźnie zdenerwowany, raz po raz wycierał chusteczką spoconą łysinę, a na pytania odpowiadał pojedynczymi słowami.

– A zatem podtrzymuje pan zeznanie, że nie utrzymywał z oskarżoną intymnych stosunków? – upewniał się sędzia.

– Podtrzymuję.

– Jednak wyjeżdżaliście wspólnie kilka razy?

– W sprawach służbowych.

– Oskarżona jest atrakcyjną kobietą, więc chyba się panu podobała?

– Nie wiem... no, dobrze: tak, podobała mi się.

– Proponował jej pan małżeństwo?

– Jak mógłbym jej proponować, skoro byłem żonaty i nie mogłem zostawić mojej chorej żony na pastwę losu? Rozmawiałem o tym z Lilianą wiele razy.

Po sali przeszedł pomruk zadowolenia.

– Zatem rozmawialiście o możliwości zawarcia małżeństwa?

Chusteczka Kurta Kaysera była już cała mokra, gdy z wyraźnym oporem wyrzekł głośno: – Tak!

– A do fizycznego zbliżenia z oskarżoną nie doszło?

– Nie! Ile razy jeszcze mam powtarzać?!

– Jednak dochodziło do... jakby to powiedzieć?... wymiany czułości, pocałunków, pieszczot?

Kayser długo się zastanawiał, wreszcie ledwo słyszalnym głosem rzekł wyraźnie „tak”.

– Dziękuję – sędzia oparł się wygodnie. – Są pytania do świadka?

Wstał prokurator, ale nie zadał pytania, tylko stwierdził:

– Z pewnością był pan w mieszkaniu oskarżonej.

– Owszem, ale nie w celu odbycia stosunku intymnego. Szukałem po

prostu miejsca, gdzie mógłbym odprężyć się, odpocząć, porozmawiać...

– Doskonale pana rozumiem, panie świadku, ale bądźmy poważni, jak na dojrzałych mężczyzn przystało – ciągnął prokurator. – Miał pan ochotę odbyć stosunek z oskarżoną, namawiał ją pan?

Kurt Kayser milczał.

– Problem w tym, że oskarżona się sprzeciwiała, czy tak? – podpowiadał mu prokurator.

Kayser powiedział tak cicho, że widzowie raczej się domyślili, niż usłyszeli.

– Oskarżona zeznała, że w stosunku do innych mężczyzn nie była tak powściągliwa. Dlaczego zatem panu odmówiła? Nie sądzi pan, że postępowała tak, bo miała wobec pana inne zamiary? Bo chciała pana zmusić do małżeństwa?

– Wszystko możliwe – rzekł Kayser przeciągnąwszy ręką po twarzy.

Mecenas van Borg dwoił się i troił, ale nie był w stanie obalić obciążającego zeznania Kaysera, wyraźnie wskazującego motyw zbrodni.

Kayser zeznawał pod przysięgą.

Podczas przesłuchiwania następnego świadka adwokat rozmawiał szeptem ze swoją klientką. Michael Sturm od razu domyślił się, o co mu chodzi – niepotrzebnie zaprzeczyła, że Kayser bywał u niej w domu. Słuchała z kamienną twarzą, od czasu do czasu wzruszała ramionami.

Zdaniem Michaela to kłamstwo nie miało żadnego sensu. Czy Liliana nie zdawała sobie sprawy, że pod przysięgą Kayser powie prawdę? Może nie jest aż tak cyniczna i wyrachowana, za jaką ją wszyscy uważają?

Chyba po raz pierwszy Michael zwątpił w jej winę. Wszystko wskazywało, że doszło do zabójstwa rywalki, ale niekoniecznie musiało to być morderstwo z premedytacją. Być może ta Horn nie była aż tak sprytna,

jak myślał? Niczego to nie zmienia, tylko dlaczego on czuje się jakoś osobiście związany z losem tej kobiety?

Po kolei zeznawali pan Kerst, panna Fiebig, kelner z restauracji „Taverna” oraz szatniarka. Wszyscy zgodnie potwierdzili, że w tamten piątek, trzynastego czerwca Liliana Horn opuściła lokal na dobre pół godziny. Nikt jednak nie zauważył, dokąd poszła, widziano natomiast, że wstąpiła do damskiej toalety by się odświeżyć, zanim wróciła do stołu.

Wezwano także Huberta Toglera. Wszedł z niewyraźną miną i ani razu nie spojrzął w stronę oskarżonej. Potwierdził zeznania poprzednich świadków, nie zaprzeczył też, że Liliana dzwoniła do niego w sobotę około jedenastej rano i prosiła, żeby zeznał, że wyszła z restauracji tylko na dziesięć minut.

Przewodniczący podziękował i Hubert już szykował się do wyjścia.

– Chwileczkę – włączył się mecenas van Borg – mam do pana pytanie: jakie wrażenie zrobiła na panu oskarżona, kiedy wróciła do stołu?

– Wyglądała i zachowywała się zupełnie normalnie.

– To wiemy, ale nie zauważył pan u niej zdenerwowania, podniecenia, strachu?

– Nie.

– Nie wyglądała więc na osobę, która przed chwilą popełniła odrażające morderstwo?

– Z całą pewnością nie – nagle Togler zaczął mówić głośno. – Dziękuję, że zadał mi pan to pytanie, bo moim zdaniem, Liliana Horn nie zamordowała tej kobiety. To wykluczone

Twarz Liliany poweselała na moment, dopóki nie wstał prokurator.

– Proszę świadka, pan przed chwilą zapewnił obrońcę, że oskarżona nie wyglądała jak ktoś, kto popełnił morderstwo? – zaczął.

Togler uniósł wysoko głowę. – Tak powiedziałem i nie zmienię zdania. Prokurator złożył swoje kościste palce jak do modlitwy.

– Bardzo dobrze. Czy w życiu zdarzyło się panu widzieć, jak zachowuje się człowiek po dokonaniu zbrodni?

– No... nie – musiał przyznać Hubert.

– Na jakiej podstawie więc opiera pan swoje zdanie, jeśli chodzi o zachowanie oskarżonej?

– Panie prokuratorze, przecież to każdy wie...

– Przepraszam, nie każdy! Proszę mi uwierzyć. Mógłbym panu przedstawić setki przypadków, kiedy przestępca po dokonaniu zbrodni czuje się zadowolony i odprężony. Jedni idą do kina, inni na tańce. Niektórzy kładą się spokojnie do łóżka, a są tacy, co zamawiają sobie golonkę z kiszoną kapustą i zasiadają do ucztowania.

– Pan, jak widzę, zna przestępców tylko z kina, telewizji i powieści kryminalnych. Dlatego też przed sformułowaniem tak zdecydowanej opinii radzę się dobrze zastanowić, bo zeznaje pan pod przysięgą.

Hubert Togler zrobił ruch, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale opuścił bezradnie ręce i nie odezwał się.

Sędzia zwrócił się do Liliany. – Słyszała pani, co mówił świadek? Czy to prawda, że dzwoniła pani do niego i namawiała do zeznania nieprawdy?

Liliana nie dała się zbić z tropu: – Przecież zeznałam to już w śledztwie.

– Mimo to, mam powód, żeby pani postawić to pytanie jeszcze raz. Dlaczego właściwie pani dzwoniła?

– Teraz wiem, że palnęłam głupstwo, ale wtedy spanikowałam. Po wizycie inspektora uświadomiłam sobie, że moja przypadkowa nieobecność przy stole może spowodować fatalne następstwa.

– Mimo że nic złego pani nie zrobiła?

– A co to ma do rzeczy? – spytała ostrym tonem.

– Niewinność wcale nie zapewnia człowiekowi bezpieczeństwa, co widać na moim przykładzie. Jestem niewinna, a stoję przed sądem jak oskarżona!

Przesłuchania trwały bez większych sensacji do późnego wieczoru. Michael Sturm opuszczał salę sądową w milczeniu i zamyślony. Nie zwracał uwagi na gwar wychodzących ludzi, ani nawet na to, co Ewa z ożywieniem do niego mówiła. Dopiero teraz uświadomił sobie, że pomijając zbrodnię, którą przypisywano, tej kobiecie, to tak naprawdę był świadkiem nagonki na nią, a ona – co było jasne – nie ma najmniejszej szansy ująć z niej cało. Miał wrażenie, że wszyscy bawią się na tej publicznej egzekucji jak w teatrze, i to przygnębiało go najbardziej.

– Dziwne – rzekła Ewa, gdy wyszli na ulicę – ta Horn zasługuje na potępienie, a człowiek cały czas ma wrażenie, że z nią sympatyzuje.

Pogrążony w myślach sądził, że się przesłyszał i dlatego spytał:

– Co powiedziałaś?

– Że niemal współczuję tej Horn – powtórzyła wyraźnie.

Michaelowi serce zabiło radośnie. Nie zważając na otaczających ich zewsząd ludzi, przytulił Ewę i pocałował ją.

– A tobie co nagle przyszło do głowy? – spytała zmieszana, ale jednocześnie szczęśliwa.

– Nic szczególnego – uśmiechnął się. – Po prostu znowu sobie przypomniałem, jak bardzo cię kocham! Trzymając się za ręce szli powoli przed siebie.

Następnego dnia Michael długo się zastanawiał, czy powinien iść do sądu, czy też zrezygnować, ale wytłumaczył sobie, że chociażby ze względów sentymentalnych – miał na myśli wystąpienie profesora Fabera – wypadałoby pójść.

Przed sądem toczyła się jeszcze bardziej zażarta bitwa o wejściówki niż wczoraj, gdyż już z góry było wiadomo, że nie wszyscy je dostaną.

Liliana Horn zjawiała się w tym samym białym kostiumie

– świeżo odprasowanym – tak samo była umalowana i tak samo pewna siebie. Tylko pod oczyma widać było oznaki nieprzespanej nocy, mimo starannie nałożonego makijażu. Pozowała fotoreporterom z wysoko podniesioną głową i lekkim, nieco smutnym, uśmiechem.

Kilka minut po dziewiątej poproszono profesora Fabera, który jako jedyny miał wystąpić dzisiaj w charakterze biegłego.

Michael uśmiechnął się w duchu: szef jednak dogadał się z sędzią i nie straci na ten proces więcej niż godzinę swojego drogiego czasu. Musiał jednak przyznać także, że profesor radził sobie znakomicie: mówił płynnie, rzeczowo i przekonywająco. On pewnie w tej roli wypadłby znacznie gorzej.

Profesor wystąpił w eleganckim szarym garniturze, w płaszczu zarzuconym luźno na ramiona. Siwe, gładko zaczesane włosy dodawały mu powagi, wysokie czoło i szczupłe wypiełgnowane ręce świadczyły o inteligencji, a donośny głos brzmiał czysto i z taką swobodą, jakby profesor prowadził seminarium dla swoich asystentów, a nie przemawiał do grona sędziów przysięgłych.

Położył płaszcz na stole i otworzył swoją aktówkę. Wyjmując dokumenty przypominał, że jest zaprzysiężonym biegłym sądowym.

– Wysoki sędzie! – zaczął, nie patrząc w notatki, które trzymał w rękę na wszelki wypadek. – Swój protokół sporządziłem w oparciu o wyniki: a. – wizji lokalnej w miejscu przestępstwa, b. – obdukcji zwłok i c. – badań laboratoryjnych. Stwierdzam, że gwałtowna śmierć Ireny Kayser nastąpiła bez żadnych wątpliwości między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Świadczy o tym rozmieszczenie plam pośmiertnych i stopień stężenia zwłok stwierdzony na miejscu, a wyniki obdukcji w prosektorium potwierdzają tę diagnozę. Między innymi poświadcza to stopień przetrawienia treści żołądka, gdyż jak wiadomo, proces ten ustaje w momencie śmierci.

– Samobójstwo pan wyklucza, profesorze? – spytał przewodniczący.

– Oczywiście! – rzekł zdecydowanie Faber. – Brakuje tak zwanych cięć próbnych, które zawsze zadaje sobie delikwent, zanim zdecyduje się na cięcie ostateczne. W tym przypadku jest tylko jedno głębokie cięcie naruszające tętnicę i krtań po prawej stronie szyi. Służę dokumentacją fotograficzną – profesor wyjął z aktówki powiększone zdjęcie i podał go do stołu sędziowskiego.

Przewodniczący obejrzał je pierwszy, potem podał pozostałym.

– Poza tym – ciągnął Faber wyjmując kolejne zdjęcia niczym prestidigitator króliki z cylindra – denatka miała na szyi kaszmirowy szal. Jak widać, został on również przecięty, a to dowodzi, że samobójstwo jest wykluczone. Samobójca nigdy nie zadaje sobie ciosu przez ubranie.

– Czy to jest reguła? – spytał adwokat.

– Tak – rzekł bez wahania Faber. – Gdyby Irena Kayser chciała popełnić samobójstwo, na pewno najpierw zdjęłaby szal.

– A to ciekawe! Przyzna pan jednak, że od każdej reguły są wyjątki.

– Medycyna sądowa dotychczas nie zna takiego przypadku.

– Nie możemy jednak wykluczyć, że ów słynny wyjątek zdarzył się

akurat teraz – upierał się mecenas van Borg.

– Zapomniał pan, że przedstawiłem już dwa dowody świadczące o zabójstwie – odpowiedział spokojnie Faber tonem, jakim zapewne sztorcował niezbyt pilnych studentów. – A jest jeszcze trzeci, który pańską hipotezę zupełnie wyklucza. Otóż, jak potwierdziła to sekcja zwłok, pani Kayser chorowała na daleko zaawansowane stwardnienie rozsiane. Z trudem potrafiła utrzymać w ręku ołówek, podnieść słuchawkę telefoniczną czy filiżankę z kawą i w żadnym wypadku nie miałyby dość siły, by przeciąć żyłką skórę, mięśnie, tkankę tłuszczową i chrząstkę.

Podał przewodniczącemu następny plik zdjęć. – Te z szalem na szyi zostały oczywiście wykonane wcześniej – wyjaśnił.

Adwokat van Borg zdawał sobie sprawę, że teraz musi zrobić wszystko, żeby podważyć wiarygodność protokołu instytutu medycyny sądowej, i dlatego spytał:

– Czy przeprowadzał pan sekcję osobiście, profesorze?

Faber uśmiechnął się triumfalnie. – Tak, od początku do końca.

– W takim razie przepraszam.

– Nie musi pan, mecenasie – ukłonił się sztucznie.

– Pan walczy o wolność swojej klientki i do pana obowiązków należy dopilnowanie, aby żadna pomyłka nie uszła uwadze sądu – rzekł, a zwracając się do sędziów, ciągnął dalej swój wywód: – Żyłkę, o której wspomniałem, znaleziono w kałuży krwi na piersiach denatki, o, tu są zdjęcia, jednak nie można było zdjąć z niej żadnych odcisków palców. A mimo to, panie i panowie sędziowie, jest ona ważnym dowodem w tej sprawie. Nie można bowiem gołą żyłką zadać tak głębokiej rany, nie kalecząc sobie przy tym palców. Z tego też powodu policja kryminalna przysłała podejrzaną, a obecnie oskarżoną, na badanie do naszego instytutu.

Sięgnął po kolejne zdjęcia do swojej aktówki.

– Jak wówczas stwierdziliśmy, a co widać na fotografiach, na kciuku i palcu wskazującym prawej ręki oskarżonej znajdowały się świeże blizny długości mniej więcej półtora centymetra.

– Czy pan oglądał te blizny osobiście? – spytał znowu van Borg.

Profesor zamiast odpowiedzieć podał mu fotografie.

– Niech pan sam obejrzy. To są fragmenty zdjęcia prawej ręki pańskiej klientki w dwukrotnym powiększeniu. Blizny po cięciach widać bardzo wyraźnie.

Adwokat przyglądał się z uwagą. – Nie sądzi pan, że mogły powstać na przykład przy odkręcaniu aluminiowej zakrętki?

– Rozstrzygnięcie tej kwestii nie należy do mnie. Ja tylko stwierdziłem, że takie blizny powinien mieć na palcach morderca używający nie osłoniętej żyletki. Ma je oskarżona, a czy powstały w tych czy innych okolicznościach, to już musi ustalić sąd.

Uklonił się elegancko, a przewodniczący podziękował mu za wystąpienie.

W tym momencie Michael Sturm wstał i pociągnął swoją narzeczoną w stronę wyjścia. – Chodź! – rzekł zdenerwowany.

– Już? – zdziwiła się – Dlaczego?

– Jest mi niedobrze – rzekł do strażnika pilnującego drzwi – Może mnie pan wypuścić?

Strażnik bez słowa spełnił jego prośbę, a gdy już znaleźli się na korytarzu, Ewa spytała: – Jesteś chory?

– Ależ nie! – zawahał się z trudem ukrywając zdenerwowanie. – Nie miałem ochoty dłużej w tym uczestniczyć.

– To skąd będziemy wiedzieli, jak to się skończy? – przytrzymała go

za rękaw.

– Adwokat z pewnością zastosuje zasadę *in dubio pro reo*¹ – rzekł i ukradkiem otarł pot z czoła – to znaczy, będzie starał się przekonać sędziów, że oskarżonej wprawdzie można przypisać popełnienie tego przestępstwa, ale niekoniecznie ona je popełniła.

– Nic z tego nie rozumiem!

– Czyli że nie można wykluczyć, że ktoś inny w tym czasie zakradł się do willi Kayserów i zamordował panią Irenę.

– I ty w to wierzysz? – popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie, i prokurator też nie uwierzy. Jemu wszystko się zgadza i świadczy przeciwko Lilianie Horn. Zostanie skazana, to nie ulega wątpliwości, i nie jest ważne, czy dostanie dwadzieścia lat, czy dożywocie. Jest skończona.

Był strasznie przygnębiony losem tej kobiety, ale nie chciał i nie mógł o tym rozmawiać ze swoją narzeczoną.

Przewidywania doktora Sturma spełniły się co do joty.

Gdy wychodzili wieczorem z Ewą z kina, sprzedawcy gazet przekrzykiwali jeden drugiego: „Dożywocie dla morderczyni o bursztynowych oczach”... „Wyrok w procesie Liliany Horn – dożywocie”

Michael kupił jedną z gazet i oboje z Ewą stanęli pod latarnią.

„Zapadł wyrok w procesie Liliany Horn: dożywotni pobyt w więzieniu. W niepodważalny sposób udowodniono najpiękniejszej oskarżonej naszego stulecia, że z zimną krwią zamordowała ciężko chorą i bezbronną kobietę, która stanęła jej na drodze do spełnienia marzeń o bogactwie i wysokiej pozycji społecznej...

Artykuł kończył się tak: –... ***nie przyznawała się do końca. Nawet gdy***

¹ *In dubio pro reo* (łac.) ~ w wypadku wątpliwym należy orzec na korzyść oskarżonego (przyp. red.)..

zapadł bezlitosny wyrok, nie załamała się, lecz wysłuchała go z kamienną twarzą. Surowa wobec ofiary, ale też wobec siebie.

– Nie dziwię się, że tak zareagowała – odezwała się Ewa. – Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że to zrobiła. Być może od samego początku zdawała sobie sprawę, że kłamstwami daleko nie zajedzie.

– Niesamowita kobieta! – rzekł Michael pogrążony w myślach. Zdał sobie sprawę, że w znaczący sposób przyczynił się do skazania Liliany Horn. Był dumny, że kierował się prawdą i nie dał ponieść emocjom, a mimo to miał poczucie, że poniósł szkodę, której już nigdy nie da się naprawić.

Ewa, która z ożywieniem coś do niego mówiła, nagle wydała mu się kimś zupełnie obcym, osobą którą widzi po raz pierwszy.

Mecenas van Borg odwiedził Lilianę w areszcie, zanim przewieziono ją do zakładu karnego. Była spokojna, jedynie powieki miała zaczerwienione i napuchnięte od łez.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłem nic dla pani zrobić – rzekł ściskając jej rękę.

– Nie może pan sobie robić żadnych wyrzutów – uśmiechnęła się gorzko. – Nawet gdyby wszyscy świadkowie zeznawali na moją korzyść, ten przeklęty protokół lekarski odebrał mi wszelkie szanse.

– Szkoda, że nie posłuchała pani mojej rady. Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego rąk. – Miałam się przyznać? Myślałam, że przynajmniej pan mi wierzy. Dlaczego miałabym okłamywać pana, gdy jest już po wszystkim?

– Jeżeli rzeczywiście jest pani niewinna...

– Jestem niewinna! – Liliana wybuchnęła płaczem. – Ile razy jeszcze mam pana przekonywać?!

– ... to skazanie pani jest straszliwą pomyłką – dokończył poprzednie zdanie wyraźnie poruszony.

Walczyła przez chwilę z nerwami, westchnęła głęboko i spytała drżącym głosem: – Może złożylibyśmy odwołanie?

– Od wyroku sądu przysięgłych nie przewiduje się apelacji.

Skuliła się. – No, to wszystko przepadło.

Van Borg nagle odniósł wrażenie, jakby to on popełnił przestępstwo, a Liliana była jego ofiarą.

– Będę starał się doprowadzić do wznowienia procesu, ale będzie to możliwe, jeżeli zdobędę nowe, ważne dowody związane z morderstwem, nie przedstawione sądowi w czasie pierwszej rozprawy.

Uśmiechnęła się gorzko. – Nowe dowody? Niby skąd je wziąć? Nie, niech pan już niczego nie szuka. Chce mnie pan pocieszyć, ale co mi to da? Pozostaje pogodzenie się z rzeczywistością – usiadła na pryczy i rozglądnęła się po celi, jakby nagle zdała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiała opuścić to jasne i czyste pomieszczenie, które miała tylko dla siebie i mogła je urządzić tak, by czuć się w nim jak najlepiej.

Mecenas usiadł obok niej. – Nigdy nie należy tracić nadziei – powiedział, ale sam czuł, że zabrzmiało to jak pusty slogan.

Liliana nie zareagowała, natomiast po chwili spytała niespodziewanie: – Ile jestem panu winna?

– Przecież pani mówiłem, że były mąż...

– Nie, chcę sama uregulować tę sprawę. Wpłaciłam wkład budowlany za moje mieszkanie, równe pięć tysięcy marek, do tego dwa tysiące za specjalne wyposażenie łazienki. Jeżeli uda się panu sprzedać mieszkanie wraz z meblami, powinno wyjść około dziesięciu tysięcy... Czy to wystarczy?

– Och, w zupełności! Jeszcze zostanie.

– To dobrze. W takim razie poproszę pana, żeby zwrócić mojemu byłemu mężowi za czynsz, który za mnie w ostatnich miesiącach zapłacił.

Van Borg zanotował to sobie w notesie, wyraźnie zadowolony, że może coś dla Liliany zrobić, bo zaczynały go dręczyć wyrzuty sumienia.

– Obiecuję, że wszystko załatwię.

– Moje suknie, buty i cały ten damski kram, którego nie uda się sprzedać, niech pan przekaże jakiejś organizacji charytatywnej, może do domu opieki dla dziewcząt?

– Powinna pani przemyśleć tę decyzję. A nuż zostanie pani zwolniona przed czasem?

Zaśmiała się, ale śmiech ten bardziej przypominał szloch.

– O, mój Boże! Niech pan nie mówi takich rzeczy, mecenasie! Kto dzisiaj jeszcze wierzy w cuda?!

21

Dwa dni później Liliana Horn zniknęła za grubymi murami starego więzienia na przedmieściu, zaś jej nazwisko zniknęło z pierwszych stron gazet. O sprawie pamiętało jeszcze kilku znajomych, ale uważano ją za ostatecznie zamkniętą i traktowano jako epizod z przeszłości. Nikt prawie nie wątpił, że wyrok sądu był sprawiedliwy, pozostał jednak drobny niesmak, jaki zawsze towarzyszy prawnikom, gdy muszą orzec winę na podstawie poszlak, a oskarżony nie przyznaje się. Takie przypadki skłonni są traktować jak drobną niedogodność ich zawodu i wolą rozstrzygać na korzyść organów ścigania, niż uniewinnić oskarżonego.

Liliane Horn, która do ostatniej chwili nie dopuszczała myśli, że

zostanie skazana, w chwili ogłoszenia wyroku zawalił się świat. Nie przyjmowała do wiadomości, że spędzi w więzieniu resztę życia, i pocieszała się, że w końcu po jakichś dwudziestu latach wyjdzie na wolność, tylko że wtedy będzie miała już ponad pięćdziesiąt lat!

Nie miała złudzeń, że zmarnowano jej życie, i zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej od razu skończyć z sobą. Samobójstwo nie wchodziło jednak w rachubę, bo po pierwsze na początku obserwowano ją niemal bez przerwy, a po drugie jakaś wewnętrzna siła zdecydowanie się temu sprzeciwiała.

Przed laty, gdy sąd orzekł, że rozwód nastąpił z jej winy, a przyjaciele, na których bardzo liczyła, odsunęli się, Liliana przeżyła równie ciężkie chwile, ale wtedy też nauczyła się żyć nie zważając na to, co ludzie o niej myślą i mówią.

Tym razem jakby odstąpiła od tej zasady. Mogła popełnić samobójstwo, ale wtedy ci, którzy ją oskarżali, mówiliby, że mieli rację, a takiej satysfakcji Liliana dać im nie chciała.

Za swój drobny sukces uważała fakt, że o swojej niewinności udało jej się przekonać adwokata, szkoda tylko, że tak późno. Odwiedzał ją często sam albo przysyłał kogoś ze swojej kancelarii, by dowiedzieć się, czy czegoś nie potrzebuje. W najtrudniejszych momentach Liliana podtrzymywała się na duchu nadzieją, że w jakiś sposób uda się van Borgowi doprowadzić do wznowienia procesu.

Na co dzień jednak próbowała się pogodzić z myślą, że spędzi co najmniej dwadzieścia lat, czyli 175 200 monotonnych godzin za murami więzienia, do którego wtrącił ją los.

Nie buntowała się przeciwko niemu i oszczędzała siły potrzebne do przeżycia. Od początku wiedziała, że protesty, kłótnie i dokuczanie

strażniczkom na nic się nie przydadzą. Wolała unikać zadrażnień i nie utrudniać sobie sytuacji, zwłaszcza że pod każdym względem wyróżniała się spośród współwięźniarek, z których większość pochodziła ze środowisk przestępczych. Różnica ta uwidoczniła się przede wszystkim w zamiłowaniu do czystości i porządku.

Cela, w której dominował zapach muszli klozetowej, nawet gdy była pusta, była dla Liliany prawdziwym koszmarem, dlatego też od pierwszej chwili robiła wszystko, aby ją jakoś przystosować do swoich wymagań. Na pobielonych wapnem ścianach powiesiła kolorowe plakaty, dziury i rysy w stole przykryła obrusem. Po trzech miesiącach nienagannego sprawowania pozwolono jej używać w celi radia.

Współwięźniarki, które na początku spotykała tylko w czasie spacerów, tak zwanych wieczorów kulturalnych i w niedziele w kaplicy, próbowały się do niej zbliżyć, ale zrezygnowały, zniechęcone jej uszczypliwym humorem i nie– przystępnością.

Liliana nie widziała potrzeby przekonywania kogokolwiek z obecnego środowiska, że jest niewinna. I tak by ją wyśmiano.

– Ale z ciebie frajerka! – wypaliła kiedyś czarnulka skazana za kradzieże z włamaniem. – Czemu nie rozbeczałaś się przed tymi facetami – miała na myśli sędziów – na pewno nie byliby tak surowi.

– A ty płakałaś?

– No, nie! Takiej frajdy to im nigdy nie zrobię!

– Widzisz! Ja tym bardziej nie.

– Ale ty nie zadźgałaś tej starej...

– Teraz to już nie ma znaczenia. Miałam pecha, jak ty, jak wy wszystkie. Winne czy niewinne, nie możemy się upokarzać.

– Ale z ciebie numer! – rzekła tamta nie ukrywając zachwytu.

Liliana przypomniała sobie słowa mecenasa van Borga, że niepalenie papierosów okaże się dla niej błogosławieństwem. Brała teraz należny jej przydział i rozdzielala pomiędzy te palaczki, które najbardziej cierpiały z powodu racjonowania. Trudno powiedzieć, że chciała zyskać sobie w ten sposób ich sympatię, ale na pewno zyskała spokój, bo przynajmniej unikały wszczynania z nią awantur.

Wiedziała, że nie znajdzie z nimi wspólnego języka, ale też nie mogła stracić z nimi kontaktu i zdać się na całkowitą izolację.

Przez pierwsze miesiące, gdy podejrzewano, że targnie się na swoje życie, Liliana prawie nie wychodziła z celi. Dla zabicia czasu dawano jej drobne prace, nie wymagające użycia ostrych narzędzi, jak na przykład zaciskanie zatrząsków w tekturowych teczkach. Zajęcie piekielnie nudne, ale po opanowaniu zapewniające ucieczkę od dręczących myśli.

Na zewnątrz okazywała spokój, ale w duchu długo nie potrafiła pogodzić się z niesprawiedliwością, jaka ją spotkała. Jak do tego doszło? Myśl ta powracała uparcie w dzień i w nocy.

Po dokładnym przemyśleniu całego przebiegu śledztwa Liliana doszła do wniosku, że wyrok zapadł już w chwili jej pierwszego spotkania z tym młodym lekarzem w Instytucie Medycyny Sądowej. To on podpisał wyrok, a wszystko, co działo się potem, było już tylko tragiczną farsą, polowaniem na mysz, która dała się złapać w pułapkę.

Dlaczego on jej wtedy nie uwierzył? Liliana odtwarzała sobie w pamięci każdy szczegół tamtego spotkania, każdy gest, każde słowo.

Ten młody człowiek z brodą i niebieskimi oczami na pewno był nią oczarowany. Znała mężczyzn i nie ulegało wątpliwości, że na młodym lekarzu zrobiła wrażenie, dlaczego więc nie przyznał jej racji?

Nienawidziła go za to i miała wielką ochotę udowodnić mu, że się

pomylił, nawet gdyby miała czekać na tę chwilę dwadzieścia lat, aż wyjdzie na wolność. Myśl ta dodawała jej sił i pozwalała przetrwać najgorsze.

Po świętach Bożego Narodzenia, które Liliana spędziła bez większych emocji – od lat zresztą nie miały one dla niej szczególnego znaczenia – dyrekcja więzienia postanowiła uchylić zaostrzony nadzór i pozwolić jej na pracę w szwalni.

Otrzymała zajęcie równie nudne – przyszywanie guzików do spodni – ale przynajmniej mogła opuścić celę i wyjść między ludzi. Nie narzekała już ani na marne jedzenie, ani na kloaczny fetor i doszła do przekonania, że człowiek potrafi przyzwyczać się do sytuacji wprost nie do wyobrażenia w normalnym życiu.

Nowy Rok powitała nie pogodzona z losem, ale też i nie załamana.

22

Po ogłoszeniu wyroku w procesie Liliany Horn dla wszystkich pozostałych osób weń zamieszanych życie wróciło do normalnego trybu.

Między Ewą i Michaeliem doszło jednak do pewnego ochłodzenia stosunków. Ona coraz gorzej znosiła oczekiwanie na małżeństwo, a on z wyraźnym zniecierpliwieniem reagował na jej wybuchy złego humoru, ale na zerwanie jeszcze nie mógł się zdecydować.

Tymczasem dowiedział się, że dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej w Kassel wybiera się na emeryturę i został rozpisany konkurs na to stanowisko. Michael zgłosił swoją kandydaturę bez większego przekonania, ale nadzieja, że wreszcie pojawi się jakaś perspektywa, dodała mu sił i ochoty do pracy.

W Instytucie jej nie brakowało, a młody lekarz rzucił się w wir, gdyż zależało mu na zdobyciu jak największego doświadczenia.

Wiosną, zaraz po Wielkanocy, dzieci bawiące się w parku miejskim znalazły zwłoki nieznanego mężczyzny. Policja powiadomiła doktora Sturm i włączyła go do komisji śledczej, której przewodniczył inspektor Kramer. Obaj spotkali się pierwszy raz od czasu zakończenia sprawy Liliany Horn.

– Wykonaliśmy już fotografie i zabezpieczyli ślady, starając się w miarę możliwości nie zmieniać pozycji denata – wyjaśnił Kramer. – Teraz kolej na pana, doktorze.

Ciało było zupełnie sztywne, rysy twarzy poważnie zmienione.

– Nie ulega wątpliwości, że leży tu od kilku dni – rzekł Sturm kłękając na miękkiej, wilgotnej ziemi obok nieboszczyka. – Co najmniej pięć, ale nie więcej niż siedem.

– Odślonił kołnierzyk na szyi. – Nie ma śladów uduszenia – a uniósłszy nieco głowę dodał: – ani żadnych ran na głowie. Pomóżcie mi go odwrócić, panowie.

Dwóch policjantów podeszło natychmiast. Nie znaleziono śladów po pchnięciu nożem ani po kuli z broni palnej.

– Żadnych zewnętrznych oznak wskazujących na nienaturalną śmierć – stwierdził dr Sturm. – Wiecie już, kim jest ten człowiek?

– Nie ma przy sobie dokumentów, ale nie wygląda na włóczęgę; porządne buty, elegancki płaszcz. Będziemy musieli przejrzeć kartotekę osób zaginionych. Niech pan zdejmie możliwie najwyraźniejszy odcisk palca, Helmer – rzekł inspektor Kramer zwracając się do jednego ze swoich asystentów.

– Kiedy już panom denat nie będzie potrzebny, przyslijcie nam go do

Instytutu. Sprawdzimy tam dokładnie, dlaczego wybrał się na tamten świat.

Michael rozglądnął się dookoła, choć wiedział, że policja obejrzała już polankę otoczoną gęstymi krzakami, odległą od drogi przebiegającej przez park o jakieś dziesięć metrów.

Samochodem wjechać się tu nie dało, na rozmięklej ziemi nie było zresztą śladów opon, wszystko więc wskazywało na to, że człowiek przyszedł tu piechotą i przypadkowo spotkała go śmierć albo też wybrał to miejsce, by popełnić samobójstwo.

Dr Sturm skłaniał się ku tej drugiej hipotezie, ale wolał nie stawiać diagnozy, zanim nie zbierze dowodów na jej potwierdzenie.

Sekcję zwłok profesor Faber zostawił asystentom, Sturmowi i Kulickemu, gdyż stwierdził od razu, że morderstwo nie wchodzi w grę. Młodzi lekarze zbadali serce – było zdrowe, mózg – nie uszkodzony, na ciele nie znaleźli sińców ani zadrapań.

– Zatem niczego nie macie? – spytał rozczarowany inspektor Kramer, kiedy zatelefonował do Instytutu.

– Nie jest aż tak źle! – zaśmiał się Sturm. – Z dużą dozą prawdopodobieństwa jest to zatrucie. Chemicy właśnie analizują treść żołądka i jelit, daliśmy im także próbkę krwi. Udało się już panu ustalić tożsamość naszego denata?

– Tak, to tutejszy. Nazywa się Oskar Mitterer.

– Właściciel firmy?

– To pan go zna? Jego firma szyje damską konfekcję, sprowadza też gotowe stroje z Londynu i Paryża.

– Zgadza się. Moja narzeczona często kupuje kreacje od Mitterera. Zastanawiam się, co taki człowiek robił w podmiejskim parku i dlaczego akurat tam znalazł śmierć?

– Sam chciałbym to wiedzieć! W każdym razie żona rozpoznała ubranie. A tak przy okazji, to pozszywajcie go ładnie, bo możemy sobie narobić niepotrzebnych kłopotów.

– Panie inspektorze, czy kiedykolwiek oddaliśmy panu delikwenta w złym stanie? Tym razem też nie musi się pan niczego obawiać – rzekł Sturm, a zastanowiwszy się, dodał:

– Prawdę mówiąc, nie zazdroszczę widoku tej biednej kobiecie.

Wyniki badań chemicznych były gotowe dopiero po trzech dniach. Dr Sturm kazał je przynieść do swojej pracowni, którą dzielił pospołu z kolegą, gdzie oprócz dwu biurek, obrotowych krzeseł i szafy z dokumentacją, nie było niczego, co warte byłoby zainteresowania, no, nie licząc od biedy kolorowego kalendarza miejskiej kasy oszczędnościowej.

– Jest tak, jak myślałem – to było samobójstwo.

Jo Kulicke podniósł głowę znad swojego biurka. – Mówisz o tym znalezionym w parku?

– Tak jest.

– Ale kiedy go kroiliśmy, ani słowem nie zdradziłeś, że podejrzewasz samobójstwo.

– Chciałem być absolutnie pewny.

– Po fakcie każdy jest mądry.

Michael nie traktował poważnie słownej utarczki z młodszym kolegą. – Chcesz mi dokuczyć, a powinieneś się już dawno nauczyć, że twoje docinki spływają po mnie jak woda po kaczce – rzekł, a równocześnie zastanawiał się, czy od razu zadzwonić do inspektora Kramera, czy też najpierw napisać protokół.

Sprawa nie wydała mu się pilna, więc wyjął maszynę do pisania i zabrał się za spisanie protokołu. Musiał to zrobić osobiście, bo jedynie

profesor Faber miał prawo zlecić tę pracę sekretarce.

Nie usłyszał cichego pukania do drzwi. Odwrócił się dopiero, gdy Kulicke głośno krzyknął: – Proszę!

– Nie wiem, czy dobrze trafiłam? – odezwał się kobiecy głos. – Szukam doktora Sturma.

– Czym mogę pani służyć? – odwrócił się.

Kobieta nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia cztery lata. W czarnym eleganckim kostiumiku sprawiała wrażenie przeraźliwie chudej. Błada twarz nieprzyjemnie kontrastowała z kasztanoworudymi włosami i jaskrawo umalowanymi wąskimi ustami. – Pan jest doktorem Sturmem? – spytała nieśmiało.

– Tak, słucham panią.

– Mój Boże, nareszcie mi się udało! – na jej białych policzkach pojawił się rumieniec. – Strasznie trudno pana znaleźć.

– Tutaj nie przyjmuje się interesantów – wyjaśnił Michael.

Kulicke wstał i podsunął nieznanym krzesło. – Proszę bardzo, niech pani usiądzie i opowie, co ją do nas sprowadza.

– Dziękuję – szepnęła młoda dama i obdarzyła Jo wdzięcznym spojrzeniem swoich brązowych oczu. – Proszę się nie gniewać, ale... Ja chciałabym porozmawiać z doktorem Sturmem w cztery oczy.

– Dobrze, właśnie miałem wyjść – zająknął się Jo i już stał u drzwi.

– Stój! – krzyknął Michael. – Nigdzie nie pójdziesz. Przecież nie możesz wyjść, dopóki nie dowiemy się przynajmniej, kim pani jest.

Kobieta wyraźnie wahała się, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Jestem żoną Oskara Mitterera – rzekła cicho, bawiąc się nerwowo suwakiem zamka błyskawicznego przy torebce.

Obaj popatrzyli na siebie zdumieni, a ona po chwili dodała:

– Inspektor Kramer poradził mi... właśnie dlatego tu jestem... że pan może... Proszę, niech pan mi powie, na co umarł mój mąż? – skończyła szybko i w napięciu czekała na odpowiedź.

– No, nic tu po mnie! Opowiesz mi, Michael, jak to się skończyło – zerwał się Kulicke. – Cześć!

– Proszę cię, zostań.

– Nie ma mowy. Muszę wracać do laboratorium – skłamał i zniknął za drzwiami.

– Naprawdę się pani nie domyśla? – spytał Michael, kiedy został sam z panią Mitterer:

– Nie wiem. Mój mąż... czasami był bardzo lekkomyślny i nosił przy sobie dużo pieniędzy... Kiedy zniknął, od razu pomyślałam, że został napadnięty.

– Nie. Nie został zamordowany.

– Ach, tak! To mogę sobie wyobrazić, co się stało – mówiła z pośpiechem. – On zażywał strasznie dużo tabletek, wszelakich – to na apetyt, to na zgagę, to znowu na sen. Ciągłe go uprzedzałam, że kiedyś przedawkuje któreś i... – nagle urwał jej się głos.

Od pierwszej chwili Sturm wiedział, że o coś jej chodzi, ale nie zamierzał pytać wprost. – To nie było przedawkowanie – rzekł chłodno.

– Chce pan powiedzieć, że otruł się świadomie? – krzyczała głośno, choć najwyraźniej nie była tak zaskoczona, jak udawała. – Nie, to niemożliwe!

Michael nie spuszczał jej z oka, zmuszając tym samym, by się opanowała. Wytarła czarną chusteczką kąciaki oczu i rzekła po cichu:

– Mój mąż był głęboko religijnym człowiekiem i nigdy nie targnąłby się na swoje życie – szybko zaś dodała: – pan musiał się pomylić w swojej

diagnozie!

– Pani mąż połknął co najmniej trzydzieści tabletek nasennych. Sama pani przyzna, że nie mógł tego zrobić przez pomyłkę. Wykluczam też przestępstwo, bo jak można zmusić drugiego człowieka do zjedzenia takiej ilości tabletek wbrew jego woli?

Pani Mitterer nerwowo przebierała palcami w czarnych rękawiczkach.

– Skąd pan wie, że tych tabletek było aż trzydzieści? Przecież po fakcie tego nie można stwierdzić?

– Och, można! Tabletki nigdy nie rozpuszczają się całkowicie w żołądku i na podstawie resztek nasi chemicy określili, że musiało ich być minimum trzydzieści. Zrobili zresztą dokładną analizę i pomyłka jest wykluczona. Musi się pani pogodzić z faktami.

– Ale to straszne, co pan mówi! Mąż zostanie pochowany bez księdza, co na to powie rodzina? Nie mogę do tego dopuścić!

Dr Sturm wstał i odsunął krzesło.

– Radzę porozmawiać o tym z proboszczem. Przypuszczam, że okaże zrozumienie, czego pani z całego serca życzę.

Pani Mitterer nie miała jednak zamiaru jeszcze wychodzić.

– Nie, proszę mnie nie wypędzać! Jest pan jedynym człowiekiem, który jeszcze może mi pomóc!

Wiedział, o co jej chodzi, ale nie przyznawał się.

– Doprawdy, nie wiem w czym.

– Wystarczy, że zmieni pan protokół! – uśmiechnęła się, choć jej oczy pełne były łez. – Przecież to się zdarza, że ktoś przedawkuje tabletki nasenne i umrze. Czyta się o tym w gazetach i zawsze mówi się, że był to wypadek, a nie samobójstwo. Bardzo pana proszę, niech pan napisze, że w przypadku męża nie było to samobójstwo.

– Przykro mi, ale nie mogę napisać nieprawdy.

– Chodzi o moją przyszłość! – wołała, teraz płacząc już naprawdę – a także dzieci, dwojga moich i dwójki z pierwszego małżeństwa. Ja nawet jutro mogę wrócić do zawodu modelki, ale co stanie się z dziećmi?

– Zostaje przecież firma – przypomniał jej.

– Firma! – jęknęła głośniej. – Nie zastanawiał się pan, dlaczego mąż odebrał sobie życie? Otóż ta firma zbankrutowała! Właściwie nie było zimy, w sklepach leżą nie sprzedane nasze płaszcze i nikt nie chce płacić, zaś banki żądają spłaty odsetek i kredytów. Nie mamy ani grosza, a pan mówi o firmie!

– Proszę pani – rzekł biorąc ją delikatnie pod ramię – to rzeczywiście smutna historia, ale nie rozumiem, dlaczego przyszła pani z tym do mnie.

– Pan musi mi pomóc! – krzyknęła i zanim się spostrzegł, rzuciła się przed nim na kolana.

– Co pani robi? Proszę natychmiast wstać, to bez sensu!

– Ubezpieczenie na życie... – wyjąkała –... to jedno, co nam pozostało. Mąż opłacił polisę dopiero w tym roku i jeśli zostanie stwierdzone, że popełnił samobójstwo, ubezpieczalnia nie wypłaci nam ani feniga.

Michael patrzył bezradnie na zalaną łzami kobietę, leżącą już teraz u jego stóp i błagającą o pomoc. Próbował przemówić jej do rozsądku, ale to nic nie pomagało. Patrzyła na niego rozpalonymi oczyma i powtarzała:

– Proponuję panu połowę odszkodowania. Mówię zupełnie szczerze – sto tysięcy dla pana, sto tysięcy dla nas. Pan musi się zgodzić! Przecież to nie ma sensu darować ubezpieczalni tyle pieniędzy!

– Nie ma mowy o darowaniu czegokolwiek – oświadczył kategorycznym tonem. – Pani mąż odebrał sobie życie i żadne odszkodowanie nie przysługuje. Takie jest prawo, a pani próbuje je złamać i

na dodatek namawia mnie do popełnienia przestępstwa. Jeżeli natychmiast pani stąd nie odejdzie, będę musiał złożyć doniesienie.

Młoda wdowa tak energicznie podniosła się z ziemi, że aż spadł jej z głowy czarny kapelusz. – Teraz dopiero pan jest z siebie dumny, co? – krzyczała. – A ja panu powiem, że jest pan mizernym i zarozumiałym kabotynem! Nie ma pan za grosz serca, nie mówiąc już o współczuciu i zrozumieniu cudzych cierpień. Co pana obchodzi moje nieszczęście i krzywda niewinnych dzieci, byle tylko pańska duma i tak zwany honor nie ucierpiały!

– Wynocha mi stąd! – zezłościł się i bezceremonialnie wypchnął ją za drzwi.

Dziwne, że tak naprawdę wcale nie był zły na tę kobietę. Doskonale ją rozumiał i chętnie by jej pomógł, ale nie mógł. Przeżywał jeden z tych momentów, gdy z całego serca żałował, że wybrał sobie ten, a nie inny zawód.

23

Michael stał przy oknie i zapatrzył się na liście skąpane czystym wiosennym deszczem. Był zbyt roztrzęsiony i nie mógł usiąść do maszyny i skończyć protokołu z obdukcji zwłok Oskara Mitterera. Zerwał się jak ze snu, gdy nagle zadzwonił telefon na jego biurku.

Pewnie inspektor Kramer niecierpliwił się o wyniki i Michael wahał się, czy podnieść słuchawkę. Czekala go jednak miła niespodzianka, bo po drugiej stronie odezwał się doktor Pütz lekarz opiekujący się miejskim więzieniem.

– Drogi kolego, znowu potrzebna mi pilnie pańska konsultacja.

Chodzi o niejaką Lilianę Horn.

Michael nie słyszał tego nazwiska od wielu miesięcy, a jednak przypomniał sobie natychmiast, o kogo chodziło, mało – wspomnienia szybko ożywały z chwili na chwilę, jakby proces Liliany Horn odbył się dosłownie wczoraj.

– Czy coś sobie zrobiła? – spytał.

– Ona? Co też pan mówi! Ta to przeżyje nawet w piekle.

– Źle się sprawuje?

– Skądże, wręcz przeciwnie – dopasowała się. Nie narzeka i nie rozrabia, przez co zdobyła sobie sympatię wśród strażniczek, i współwięźniarek. Ma poza tym niewyparzony język, a to w tym środowisku zawsze budzi respekt.

– Dlaczego więc dzwoni pan do mnie?

– Skarży się na bóle brzucha i rzeczywiście wygląda niewesoło. Przypuszczam, że może to być zapalenie wyrostka robaczkowego, i przeniosłem ją na izbę chorych.

– I co dalej?

– Jeżeli symptomy nie są symulowane, wyrostek trzeba wyciąć. Ja osobiście uważam, że ona nie udaje, ale – jak udowodnił sąd – jest to osoba zdolna do wszystkiego i notoryczna kłamczucha. Dlatego też chciałbym, żeby pan rzucił na to okiem, drogi kolego, bo ze skazanymi na dożywocie zawsze lepiej zachować ostrożność przed wysłaniem ich poza mury, w tym wypadku do szpitala. Po co ja to panu tłumaczę, przecież wiadomo, o co chodzi.

– Oczywiście, doktorze Pütz. Przyjadę, tylko niech pan powie kiedy.

– Nawet od razu. Jeżeli sprawa jest poważna, to nie ma co zwlekać z operacją.

– W porządku. Już się zbieram.

Michael sięgnął po prochowiec, gdy wszedł Kulicke.

– Już się pozbyłeś młodej wdówki? – uśmiechnął się dwuznacznie.

– I to z wielkim hukiem!

– Wyobrażam sobie, że miałeś ciężki orzech do zgryzienia.

– Domyślam się, że dlatego wolałeś zostawić mnie samego.

– Nie żartuj sobie! Nie chciałem pozbawiać cię szans. Twój talent do pocieszania wdów jest powszechnie znany.

– Ale dowcip! Zaraz zacznę tarzać się ze śmiechu

– odpowiedział Michael i podszedł do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? Przecież jeszcze nie pora na obiad.

– Idę do więzienia. Dzwonił doktor Pütz, że Liliana Horn zachorowała.

– Stary! To muszę iść z tobą! – zawołał Kulicke i już zdejmował z wieszaka płaszcz.

– Nic z tego, chłopcze! Nic tam po tobie, a poza tym ktoś musi pozostać na posterunku. Padło na ciebie!

– To skandal! Trafi się coś ciekawszego, to zawsze ty musisz być pierwszy. Obiecuj, że przynajmniej opowiesz mi, czy ona dalej jest taka śliczna.

Michael nie odpowiedział, bo był już na korytarzu.

Dr Sturm nie należał do ludzi sentymentalnych, ale wizyta w miejskim więzieniu zawsze wprawiała go w niewesoły nastrój.

Ponure gmaszysko, choć zbudowane pod koniec ubiegłego stulecia, wciąż jeszcze uchodziło za jedno z nowocześniejszych. Niczym twierdza dominowało nad płaską okolicą jakieś piętnaście kilometrów od granic miasta, otoczone zewsząd wiosenną zielenią.

Rolnicy uprawiający tu warzywa żyli w ciągłym strachu, że jakiś uciekinier zapuka do ich domów i zażąda ubrań albo pieniędzy, ale z drugiej strony bardzo sobie cenili bliskość więzienia, bo w każdej chwili mogli liczyć na tanią siłę roboczą, gdyż więźniom kończącym odsiadywanie wyroku i dobrze sprawującym się pozwalano na pracę poza murami.

Więźniowie traktowali takie wyjście jak wielkie wyróżnienie, gdyż na terenie zakładu karnego mogli pracować w szwalni, pralni, kuchni, piekarni lub warsztacie szewskim. Wszędzie praca była nudną i dawała zajęcie co najwyżej palcom, a głowa i tak miała czas na niekończące się rozmyślenia, wpędzające często w depresję.

O szkoleniu i uzupełnianiu wykształcenia jakoś nie było mowy. Wprawdzie radni miejscy poruszali ten problem wielokrotnie, ale kończyło się na wnioskach, bo każde przedsięwzięcie wymagało nakładów, a tych w budżecie miasta nie przewidziano, tłumacząc się pilniejszymi wydatkami. Poza pieniędzmi brakowało też specjalistów chętnych do pracy z więźniami.

Michael rozmyślał o tym wszystkim przechodząc przez kilka posterunków kontrolnych, zanim doszedł do znanych już mu pomieszczeń więziennej przychodni mieszczącej się na trzecim piętrze głównego budynku przy trakcie A. Można było do niej trafić po nasilającym się zapachu lizolu, pasty do podłóg i szarego mydła.

Doktor Pütz, starszy pan, na którego szarej, pooranej zmarszczkami twarzy złota oprawa okularów stanowiła jedyny jaśniejszy element, przywitał Sturma z radością.

– To bardzo miło, że zechciał pan przyjść natychmiast, drogi kolego – rzekł podając mu chudą, pokrytą niebieskimi żyłami rękę, z palcami poplamionymi jodyną i nikotyną od papierosów.

Choć ubrany w nieskazitelnie biały fartuch – zapewne wyjęty prosto z

magazynu – doktor Pütz wyglądał niezbyt schludnie. Michael gotów był to zrozumieć – życie wśród wyrzutków społeczeństwa nie zmuszało do dbałości o wygląd zewnętrzny.

– W tej sytuacji to oczywiste, doktorze – odpowiedział Michael i podziękował za papierosa którym częstował go lekarz. Doktor Pütz wyciągnął jednego i uśmiechnął się:

– To już dwudziesty dzisiaj. Wiem, że palę za dużo, ale co robić? Coś człowiekowi od życia się należy.

– Gdybym to ja był pańskim lekarzem, przepisałbym panu raczej młodą dziewczynę. Już ona by panu pokazała, czego naprawdę człowiekowi w życiu potrzeba.

– Tylko niech mi pan znajdzie taką dziewczynę, czy choćby już trochę leciwą matronę, która chciałaby takiego wraka jak ja! Nie, nie, drogi kolego, niech pan nie żartuje. Dwa pudełka papierosów w ciągu dnia i kilku piw wieczorem, to wszystko, na co mnie stać.

Doktor wrzucił spaloną zapalną do spluwaczki i spytał:

– Zechce pan od razu zobaczyć pacjentkę?

– Oczywiście, jeśli pan jest gotów.

Liliana Horn leżała w przestronnej izbie chorych zupełnie sama. Michael nigdy by się nie domyślił, że to ona – tak bardzo się zmieniła. Nie nosiła już długich blond włosów, swoje naturalne, ciemnobrązowe miała krótko obcięte. Twarz miała bladą, wokół bursztynowych ślicznych oczu potworzyły się zmarszczki, śmiejące się niegdyś kąciki ust zdradzały rozgoryczenie.

Mimo to wydała mu się piękniejsza niż wtedy. Nie była umalowana i pewnie dlatego wyglądała młodziej. Na sobie miała zwykłą więzienną koszulę nocną, zapiętą pod szyję i mocno spraną.

– Cześć, doktoru! Co pan ma tak struchlałą minę? Nie cieszy się pan z ponownego spotkania? – przywitała Sturma.

– Dziób na kłódkę! – warknął Pütz. – Przez to kłapanie jeszcze sobie pani kiedyś napyta biedy.

Uśmiechnęła się gorzko: – A co mnie jeszcze może spotkać gorszego?

Michael zauważył, że na jej czole wystąpiły kropelki potu. Zmierzył puls – był znacznie przyspieszony. Odrzucił kołdrę i zobaczył, że Liliana leży z podkurczonymi nogami – w sposób charakterystyczny dla cierpiących na zapalenie wyrostka robaczkowego.

Podniósł koszulę, zdjął zimny kompres i dotknął brzucha. Krzyknęła. – Boli panią? – spytał.

– Jeszcze jak!

Dolna część brzucha była twarda, skóra napreżona.

– Musi być pan bardzo dumny z siebie, że udało się panu wsadzić mnie za kratki – odezwała się.

– Nie mam zamiaru dyskutować z panią o tamtej sprawie – rzekł siląc się na surowość, ale i tak nie mógł powstrzymać drżenia głosu – Przeszedłem panią zbadać i tyle.

– Zatem nie chce pan słyszeć, co mam do powiedzenia?

Musiała mieć ostre bóle, więc Michael dziwił się, że ma ochotę na rozmowę i potrafi tak nad sobą panować.

– Nie chcę – odpowiedział krótko.

Doktor Pütz zamierzał wtrącić się, ale zobaczywszy błagalne spojrzenie Liliany, odwrócił się i udawał, że nie słucha.

– Nawet, gdybym panu wyznała, że jednak popełniłam to morderstwo? – spytała, a jej oczy zwęziły się jak dwie szparki.

– Wiem to i bez pani wyznania – burknął.

– Nic pan nie wie! – wrzasnęła, a jej zgięte ciało wyprostowało się jak sprężyna. – Nic! Dlaczego mi pan wreszcie nie uwierzy? Nie zabiłam Ireny Kayser, nawet nie byłam tamtej nocy w jej domu!

– Niech pani przestanie, proszę – rzekł łagodnym tonem. – Niepotrzebnie się pani męczy.

– Ja jednak muszę to panu powiedzieć. Muszę! Dlaczego jest pan dla mnie taki surowy? Przecież panu nic nie zrobiłam... Czemu pan mi nie wierzy?

– Sąd wydał wyrok i dla mnie...

– Nie! – przerwała mu. – To nie sąd wydał wyrok, to pan mnie skazał! Pański protokół wtrącił mnie do więzienia. Złapała go za nadgarstek: – Proszę, niech pan nie odchodzi i wysłucha mnie do końca. Ja nie mam do pana żalu i wiem, że nie zrobił pan tego specjalnie, ale w protokole napisał pan nieprawdę.

– To mi się nie zdarza.

– A jednak! Przecież ja najlepiej wiem, co robiłam tamtej nocy. Byłam może pijana, ale nie na tyle, żeby popełnić morderstwo i zupełnie o tym nie pamiętać!

– Pani ma gorączkę – rzekł Sturm wyraźnie zakłopotany.

– Oczywiście, że mam, nie musi mi pan tego przypominać. Ale nie bredzę i wiem, co mówię. Powtarzam: nie zabiłam Ireny Kayser i chcę, żeby mi pan uwierzył. Teraz naprawdę nie mam już powodu, żeby kłamać!

Michael delikatnie uwolnił się z uścisku jej rąk. – Pańska diagnoza była słuszna, doktorze Pütz, to *apendicitis*. Konieczna natychmiastowa operacja.

Na korytarzu usłyszał, że Liliana Horn szlocha. Ta kobieta, którą wszyscy uważali za pozbawioną serca, potrafi tak wzruszająco płakać nad

sobą? Michael czuł się tym bardziej poruszony niż jej słowami.

24

Wieczorem Michael, wybrał się z Ewą do kina na starą komedię Charlie Chaplina; po seansie wstąpili do piwiarni, zamówili „Pilsnera” i tacę serów, a usiadłszy w zacisznej wnęce, mogli spokojnie porozmawiać.

Opowiedział o swoim spotkaniu z Lilianą Horn.

– Pewnie pomyślisz, że zwariowałem – rzekł – ale gdybym dokładnie nie znał faktów, pewnie bym jej uwierzył.

Ewa słuchała z zainteresowaniem. – Wcale się nie dziwię

– oświadczyła niespodziewanie – cała jej postawa przed sądem wydała mi się... jakby to powiedzieć?... bardzo nieprawdziwa.

– Moim zdaniem tą właśnie postawą przekonała wszystkich, że kłamie – nie zgadzał się.

– Wcale nie. Oczywiście, że sprawiała takie wrażenie, ale mnie przypominała aktorkę... Tak, to jest to słowo, którego szukałam: zachowywała się jak aktorka nie wyczuwająca swojej roli.

– No i co z tego? – spytał łamiąc krakersa.

– Może i jest dobrą aktorką, ale ktoś źle nią pokierował. Pamiętasz, że sam to wtedy powiedziałeś? Dziś w rozmowie z tobą odnalazła właściwy sposób na odegranie swojej roli.

– Sam nie wiem – dopił kufel do dna. – Szkoda, że jej nie słyszałeś; była naprawdę przekonująca.

Ewa odgarnęła kosmyk włosów opadających na czoło.

– Jak to? Przecież jej nie uwierzyłeś!

– Chyba nie – w jego niebieskich oczach pojawiła się niepewność –

choć naprawdę już nie wiem, w co mam wierzyć.

– Nie rozumiem cię zupełnie – sięgnęła po swój kufel wypełniony jeszcze do połowy. – Twój protokół był w porządku, czy też masz co do tego wątpliwości?

– Najmniejszych, Ewo!

– No więc?

Położył jej rękę na ramieniu. – Spróbuj mnie zrozumieć, kochanie. Przedstawiono nam jakby dwie wersje zdarzeń wzajemnie się wykluczające: z jednej strony dowody – nie tylko mój protokół – jednoznacznie świadczące przeciwko Lilianie Horn, a z drugiej jej zeznania absolutnie wiarygodne z punktu widzenia psychologii. I gdzie leży prawda?

Ewa roześmiała się. – Ty, jako naukowiec, stawiasz takie pytanie? Prawda zawsze leży w faktach!

– Masz oczywiście rację – przyznał z zadowoleniem, że uwolniła go od wątpliwości.

– No, widzisz!

– Mimo to zawsze pozostaje cień niepewności i podejrzenie, że przestępstwa mógł dokonać ktoś inny. Gdy o tym pomyślę, robi mi się niedobrze.

Spojrzała na niego. Rzeczywiście był blady i pod oczyma miał wyraźne cienie. – Nie przesadzaj! – napomniała go.

– Nawet jeśli tego nie zrobiła, to sama sobie jest winna, że tak to się skończyło. Była bezczelna, zarozumiała, kłamała i kręciła. Tak czy inaczej, nie ma kogo żałować.

– Jak możesz, Ewo?! – oburzył się.

– Takie jest życie! Spójrz, ilu ludzi cierpi zupełnie niezasłużenie: ktoś wpadnie pod samochód, ktoś inny umiera na raka lub stwardnienie rozsiane,

rodzice maltretują dzieci... A ty rozczulasz się nad taką...

– Na Boga, przestań! – przerwał jej. – Tu przecież chodzi o zupełnie coś innego, a mianowicie relację między prawem a sprawiedliwością.

– W wymiarze ludzkim, oczywiście. Ludzie są omylni, a od jednej pomyłki świat się jeszcze nie zawalił. Liliana Horn z pewnością nie jest niewinna jak lilia i nie widzę powodu, żebyś za nią wylewał łzy.

– Daj spokój, Ewo! Wyobraź sobie, że coś podobnego mogło spotkać ciebie.

W jej oczach pojawił się dziki błysk. – Mnie porównujesz do takiej osoby jak Liliana Horn? Ja jestem porządną dziewczyną, a nie jakąś tam rozwódką. W moim życiu liczy się tylko jeden mężczyzna, mianowicie ty, a tamta przebierała jak w ulęgałkach. Nie, mój drogi mnie by się coś takiego nie mogło przytrafić, a gdyby nawet, to miałbyś rzeczywiście powód, by mnie żałować. Jestem twoją narzeczoną, więc osobą bliską, taką przynajmniej mam nadzieję, natomiast ta Horn kim jest dla ciebie?

Zamiast odpowiedzieć Michael skinął na kelnera.

– Rachunek proszę!

– Znowu powiedziałam coś nie tak? – spytała Ewa niezadowolona, że już wychodzą.

– Dobrze, że przynajmniej uświadamiasz to sobie po fakcie.

– Ach, Michael! – westchnęła. – Coś z nami jest nie w porządku; kłócimy się o tę kobietę, choć oboje dobrze wiemy, że jest zimną, wyrachowaną morderczynią. Tak samo uważał sąd, dziennikarze, opinia publiczna, a nawet ty... – nagle zmieniła się na twarzy – dopóki się z nią dziś nie spotkałeś! – dokończyła zaskoczona. – Michael, czy ty się w niej przypadkiem nie zakochałeś?

– Większej bzdury to już naprawdę nie mogłaś wymyślić.

Tej nocy Michael nie zmrużył oka, a z samego rana podjął nieodwołalną decyzję: musi zobaczyć się z Lilianą Horn.

– Leżała w szpitalu okręgowym, więc wizyta nie wzbudzi niczych podejrzeń, a łatwiej też będzie o załatwienie pozwolenia na widzenie. Długo się zastanawiał, czy zabrać kwiaty, ale ostatecznie zjawił się w szpitalu z szeleszczącym bukietem w ręku i z głupią miną patrzył na reakcję strażniczki siedzącej przed salą.

– Ale się ta Horn ucieszy! – rzekła funkcjonariuszka, biorąc od niego owinięty w celofan bukiet. Otworzyła natychmiast drzwi, wpuściła go, ale sama też weszła i usiadła w kącie na krześle. Michael miał nadzieję, że zostanie z Lilianą sam. Trudno!

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Ale heca! Pan, doktoru? To ci dopiero niespodzianka!

– Chciałem zobaczyć, jak pani się czuje – rzekł odwijając różowe goździki. – To dla pani.

– Jakie śliczne! – zawołała radośnie. – Pan wie, jak dawno już nie widziałam świeżych kwiatów?

Przysunął sobie krzesło do łóżka. – Mogę sobie wyobrazić.

– Jak tylko pan doktor pójdzie, zaraz przyniosę wazon – wtrąciła się strażniczka.

– Dziękuję, pani Schirmer.

Michael sięgnął po kartę informacyjną chorej. –Widzę, że wszystko odbyło się bez komplikacji.

– Był stan ropny, ale na szczęście nie doszło do perforacji. Chirurg twierdzi, że jestem wyjątkowo odporną pacjentką i chyba ma rację –

uśmiechnęła się. Wyglądała lepiej niż poprzednio, chociaż wciąż była bardzo blada.

– Cieszę się, że pani wraca do zdrowia.

– A ja, że pan przyszedł. Chciał pan ze mną porozmawiać?

– Owszem, pani Horn, ale nie o procesie.

– Pani Horn! Jak to dziwnie zabrzmiało. Tutaj wszyscy mówią " ta Horn", a ci, którzy mnie lubią, zwracają się do mnie po imieniu. Tak się zastanawiam, czy pozbawienie człowieka wolności od razu musi uprawniać wszystkich do traktowania go przez „ty”?

– Taki jest widać zwyczaj, Liliano. Nic na to nie poradzimy.

– Aż tak bardzo to mi znowu nie przeszkadza – poklepała go po rękę.

– No, doktorku, niech mi pan powie, czemu się pan tak na mnie uwziął?

– Wcale nie...

– Ale, ale! Pański protokół był miażdżący. Mój adwokat od razu to powiedział, a ja nie chciałam uwierzyć, bo zrobił pan na mnie takie miłe wrażenie.

– Jeśli chce pani rozmawiać na ten temat, to będę musiał wyjść.

Ona jednak nie dała zbić się z tropu. – Rany na moich palcach mogły powstać przy odkręcaniu aluminiowej zakrętki, prawda?

– Mogły – rzekł ociągając się z odpowiedzią.

– Dlaczego więc napisał pan, że są to ślady po żyletce?

– Napisałem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, a to oznacza dopuszczenie także innych możliwości.

– Czemu pan tego nie napisał wyraźnie?

– Tą sprawą powinien był zająć się pani adwokat.

– No tak. Tylko że jego przekonałam o swojej niewinności trochę za późno. On uważał, że powinnam była się przyznać.

- Prawdopodobnie miał rację.
- Pan zatem dalej uważa, że ja to zrobiłam?
- Liliano, dlaczego zadręcza pani siebie, a przy okazji także mnie?
- Po co więc pan przyszedł, skoro uważa mnie za zbrodniarkę?

Współczuje pan morderczyni?

- Jak podoba się pani w szpitalu? – zmienił radykalnie temat.
- Jest okropnie.
- Ale – rozejrzał się dookoła – tu jest przyjemnie.
- Jak może być przyjemnie, gdy wszyscy traktują mnie tu jak szumowinę? Dla tych wykrochmalonych siostrzyczek i zarozumiałych doktorków jestem po prostu śmieciem!

– Nie denerwuj się dziecko – wtrąciła się pani Schirmer. – Za parę dni wrócisz do siebie.

- Tam przynajmniej wszystkich traktuje się jednakowo.
- Jeżeli pani chce, odwiedzę panią także w więzieniu.
- A po co?
- Myślałem...
- Niech pan się nie krępuje, doktorku! Chce pan się ze mną przespać, ot, cały pański problem. Po co ta zakłopotana mina? Jesteśmy dorosłymi ludźmi i nazywajmy rzeczy po imieniu. Wcale nie czuję się urażona, niby czym. Tylko, że nic z tego nie będzie. Zamknął mnie pan w pudle, a kiedy wyjdę na wolność, będę już za stara na takie rzeczy.

– Głupstwa pani opowiada! – rzekł ostro, ale nie był pewien, czy ona przypadkiem nie odgadła jego myśli.

Jej bezpośredniość zaskoczyła go. Pożegnał się, gdy rozmowa zesłała na inny temat, ale w duchu obiecał sobie, że więcej już się z nią nie spotka.

Czy uda mu się o niej zapomnieć, tego akurat nie był pewny.

Kilka dni po odwiedzinach u Liliany Horn Michael wrócił do domu późno wieczorem. Obok talerza matka położyła kopertę z nadrukiem urzędowym i herbem miasta Kassel.

– Otwórz ją zaraz, proszę. Wprost umieram z ciekawości. Możesz sobie wyobrazić, ile kosztowało mnie wysiłku, żeby nie zajrzeć do środka.

– Spokojnie mogłaś to zrobić, mamó – rzekł siadając do stołu.

– Nie żartuj, przecież wiem, co wypada, a co nie. Michael wziął kopertę do ręki, obejrzał ze wszystkich stron i zrobił przesadnie niezadowoloną minę.

– Cóż tam zobaczyłeś? – spytała matka.

– No nie wiem, nie wiem – mruzczył pod nosem – ale ktoś chyba próbował otwierać ten list nad parą. Lepiej wezmę go jutro do Instytutu i dam do zbadania.

Uśmiechnęła się i rozczochrała mu włosy na głowie.

– Chciałeś mnie nabrać, co? Dobrze wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, a droczysz się, żeby zwiększyć moją ciekawość.

– Jasne – przyznał i sięgnął po nóż ze swojego nakrycia. – Zobaczymy, co tam wymyślili – dodał i rozciął kopertę.

Czytał, a matka zaglądała mu przez ramię. Odpowiedź była pozytywna i Rada Miasta Kassel powoływała doktora Michaela Sturma na stanowisko dyrektora tamtejszego instytutu medycyny sądowej.

– Wspaniale, synu! Wprost cudownie! – wołała pani Sturm. – Gratuluję ci z całego serca – i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, mamó – odpowiedział bez entuzjazmu.

– Jak to, nie cieszysz się? – spytała zdziwiona. – Dostaniesz

mieszkanie służbowe i wreszcie uporządkujesz swoje sprawy z Ewą.

– Być może.

– Tak długo czekałeś na awans, a teraz robisz skwaszoną minę.

Naprawdę cię nie rozumiem, Michael!

– Być może czekałem zbyt długo, mamó – rzekł zamyślony.

– Coś ty znowu wymyślił? – zmarszczyła czoło.

– To tak jak z jedzeniem, mamó: jak się na nie czeka zbyt długo, zupełnie traci się apetyt.

– Bzdura! Nie wiem, co cię nagle napadło – pani Sturm wyszła do kuchni i wróciła z miską sałatki. – Nigdy nie widziałam cię zniechęconego i przygnębionego, sam przyznasz.

– Mieszkamy ze sobą, mamó, już tyle lat i zawsze się rozumieliśmy. Nie sądzisz, że rozstanie z tobą może na mnie działać przygnębiająco?

– Nie spodziewałam się tego – rzekła pani Sturm i odwróciła twarz, żeby ukryć cisnące się jej do oczu łzy.

– Ty zaś nie spodziewaj się, że będę cię zatrzymywać. Nie mogę pozwolić, abyś zmarnował szansę, o której marzyłeś od lat.

– Poniekąd masz rację – odparł nabierając sałatkę na talerz. – Sam nie wiem, dlaczego tak zareagowałem. To prawda, że bardzo chciałem kierować samodzielnie instytutem... – popatrzył na matkę jak chłopiec, który nagle nie wie, co ma robić dalej, i chce schować się pod jej spódnicę

– ... ale teraz... właściwie już mi się odechciało.

Najchętniej matka by zawołała: – To zostań, Michael!

Przecież nie musisz wyjeżdżać! Zostań ze mną!

Ale szybko zdała sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Syn był przecież dorosłym człowiekiem i nie wolno jej go zatrzymywać przy sobie na zawsze. Chce, żeby był szczęśliwy, a nie będzie to możliwe, jeżeli się nie

usamodzielnii i zostanie pod jej opieką.

Chętnie zatrzymałaby go jeszcze na rok, dwa, bo wciąż nie była przekonana, że Ewa jest dla niego odpowiednią partnerką.

Michael patrzył na matkę poważnym wzrokiem. – Nic nie mówisz, mammo? – spytał.

– Zastanawiam się – rzekła nabierając energicznym ruchem sałatkę.

– I do jakich wniosków doszłaś?

– Że w tej sprawie musisz decydować zupełnie sam.

– Ależ mammo! – odłożył łyżkę niemal ze złością.

– Dobrze o tym wiem i wcale nie oczekiwałem, że zdecydujesz za mnie. Potrzebuję tylko kogoś, z kim mógłbym szczerze porozmawiać.

– Masz przecież Ewę.

– Ona nie jest obiektywna, mammo, i w tym przypadku też nie będzie, zwłaszcza że ma w tym swój interes.

Pani Sturm uśmiechnęła się ironicznie: – Tak, jakbym ja nie miała!

Chwycił przez stół jej rękę. – Nie stawiaj mnie w kłopotliwej sytuacji i powiedz zupełnie szczerze, o czym myślisz – poprosił.

Nie wytrzymała poważnego spojrzenia jego niebieskich oczu.

– Cóż, nie przypuszczam, że nagle przestało cię interesować kierowanie instytutem... – zrobiła znaczącą przerwę.

– Na pewno nie! – poświadczył.

– ... domyślam się więc, że chcesz uniknąć małżeństwa. Masz wątpliwości, czy Ewa naprawdę cię kocha?

– Skąd o tym wiesz? – spytał zaskoczony.

– Nie sądzisz, że zdolności detektywistyczne bywają dziedziczne? – uśmiechnęła się. – Ale nie pora na żarty. Po prostu domyśliłam się widząc, że coraz częściej się kłócicie. Dawniej nie brałeś tych sprzeczek poważnie.

– Masz rację. Sądziłem, że wynikają z naszej sytuacji, ale teraz coraz częściej się zastanawiam, czy rzeczywiście skończą się po ślubie, czy też nasilą się jeszcze bardziej.

– Tak, mój chłopcze, to są pytania, na które mimo najszczerzych chęci nikt ci nie odpowie.

– Niestety! – westchnął. – Sam nie wiem, co mnie napadło, żeby zawracać ci tym głowę?! – dodał i zajął się jedzeniem.

– Jeśli masz wątpliwości, czy w ogóle ożenić się z Ewą – zaczęła matka, nie patrząc na niego – to powinieneś, a nawet musisz z nią czym prędzej porozmawiać. Twój wyjazd do Kassel jest ku temu dobrą okazją. Zaręczyny przecież można zerwać i nic się nie stanie.

– Nie mógłbym jej tego zrobić! – krzyknął zdenerwowany.

– Do Kassel w każdym razie musisz jechać, bo jest to obowiązek wynikający z twojej kariery zawodowej, ale nie musisz się żenić z Ewą. Zaproponuj jej, że na początek wyjedziesz sam, a w tym czasie oboje zastanowicie się nad swoimi uczuciami i poddacie je próbie.

– To ty nie zamierzasz jechać ze mną?

– W żadnym wypadku! Nawet gdyby z Ewą nic nie wyszło, prędzej czy później stanęlibyśmy przed podobnym problemem. Taka jest kolej rzeczy. Ja zostaję tutaj. Jeśli chcesz zerwać z Ewą, to nie zwracaj uwagi na mnie.

– Nie rozumiesz, że ja nie chcę z nią zrywać, a jedynie nie jestem jeszcze gotów wiązać się z nią na całe życie?

Kręciła głową słuchając go. – Pomijając fakt, że byłoby to nie fair, moim zdaniem Ewa nigdy nie zgodzi się na taki układ. Ale jedźmy wreszcie, bo przez twoje kłopoty sercowe nie mam zamiaru kłaść się głodna spać.

Michael posłuchał rady, ale kiedy matka uprzątnęła ze stołu, za nic w

świecie nie mógł sobie przypomnieć, co zjadł na kolację. Cały czas był zajęty swoimi myślami.

– Wiesz – rzekł przypalając matce papierosa – chyba zadzwonię do Ewy i powiem jej, że mam tę posiadłość. Zapomnij o wszystkim, co o niej mówiłem. Sądzę, że takie refleksje nachodzą każdego, kto nagle staje przed perspektywą rychłego małżeństwa, nawet kiedy wcześniej bardzo o nim marzył.

Uśmiechnęła się z trudem ukrywając rozczarowanie.

– Być może masz rację, Michael.

Wstał i pocałował ją w policzek. – Dziękuję ci, mamo! Co bym zrobił, gdybym nie mógł z tobą porozmawiać o wszystkim?!

Patrzyła za nim, kiedy jak na skrzydłach wpadł do pokoju, i cieszyła się, że nie widzi, jak bardzo jej jest przykro.

Ewa, kiedy spotkali się jeszcze tego samego wieczoru, była wprost wniebowzięta, że wreszcie zniknęła ostatnia przeszkoda do ich małżeństwa, o którym marzyła. Będzie panią domu, zaopiekuje się Michaeliem, da mu dzieci – opowiadała o tym z takim przejęciem, że on aż poczuł się niegodziwcem na samą myśl, że zamierzał zaproponować jej rozstanie na okres próbny.

Nazajutrz, kiedy powiedział o swoim angażu profesorowi Faberowi, ten pogratulował mu nadzwyczaj serdecznie i rzekł:

– Nie będę ukrywał, że niechętnie wypuszczam stąd pana, drogi kolego; cóż, tracę pilnego i zaufanego pracownika – niemniej życzę panu szczęścia i samych sukcesów.

Widzisz – rzekł później Michael do doktora Kulickego – niesprawiedliwie oceniłeś wtedy starego. Nie on zablokował mój angaż w Kilonii, bo gdyby chciał mi przeszkodzić, zrobiłby to teraz także.

– Od kiedy wysiadło ci logiczne myślenie? – zachnął się Jo Kulicke. – To, że teraz poparł cię w Kassel, wcale nie świadczy, że wtedy w Kilonii nie podłożył ci świni.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– To pomyśl! – Jo przeczesał palcami swoją rudą czuprynę. – Po prostu stałeś się dla starego niewygodny, zbyt samodzielny, bierzesz na siebie odpowiedzialność. Dlatego woli się ciebie pozbyć.

Michael przypomniał sobie reakcję profesora, gdy zaproponował, że w jego zastępstwie zreferuje sprawę morderstwa Ireny Kayser, i musiał przyznać, że Jo Kulicke wyciągnął chyba słuszny wniosek.

– Nawet gdyby tak było, to co mi za różnica? Rezultat jest dla mnie korzystny – rzekł.

– Oczywiście, masz rację – przyznał Kulicke. – Będzie mi ciebie brakowało, stary. Bóg raczy wiedzieć, kogo mi tu dadzą. Pewnie jakiegoś żółtodzioba tuż po uniwerku, ale było nie było, dla mnie jest to zawsze szczebelek w górę.

– I krok do usamodzielnienia się – przypomniał mu Sturm.

Jo zrobił głupią minę – No, wiesz, wcale mi na tym nie zależy. Ja nie mam narzeczonej, która by mnie poganiała do robienia kariery, bo śpieszy się jej do ołtarza.

– Pijesz do Ewy? – zaśmiał się Michael. – Oceniasz ją niesprawiedliwie, ale poczekaj – na twoją kawalerską wolność też ktoś przygotuje zasadzkę!

Następne dni upłynęły Michaelowi na przygotowaniach do wesela i przeprowadzki. Ewa rzuciła się w wir zakupów i prawie codziennie zmuszała go do chodzenia po sklepach, kiedy on w wyborze mebli, zasłon, firanek, dywanów i lamp nie znajdował żadnej absolutnie przyjemności. Dla niego nie miało to znaczenia, czy fotel był nowoczesny czy antyczny, pokryty skórą, dermą lub tkaniną, czarny, brązowy czy biały, byleby tylko był wygodny do siedzenia. Ewa zaś przebierała, grymasiła i upierała się, że musi urządzić nowe mieszkanie wzorcowo.

W handlową sobotę obejrzeliby już z dziesięć kompletów wypoczynkowych, a ona wciąż nie mogła się zdecydować, który wybrać. Michael marzył, by wreszcie wyjść ze sklepu.

– Popatrz, ten biały komplet jest bardzo ładny – przekonywał. – Nowoczesny i całkiem niedrogi. Moim zdaniem powinniśmy go wziąć.

– Ale biały trudno utrzymać w czystości – wahała się Ewa.

– Nie ma najmniejszego problemu – zapewniał sprzedawca, starszy, wyjątkowo cierpliwy pan. – Plamy można zmyć bez problemu zwykłą wilgotną ścierką.

Ewa nie wyglądała na przekonaną. – Nie wydaje ci się, że biel sprawia wrażenie chłodu?

– To weź czerwień – burknął Michael.

– Czerwień podrażnia. Nadmiar tego koloru w mieszkaniu prowokuje do sprzeczek.

– Wydaje mi się, że w magazynie mamy taki sam zestaw w kolorze kukurydzy – zaproponował sprzedawca.

– Żółty? Och, to chyba byłby odpowiedni kolor. Musiałabym

zobaczyć. Możemy?

– Ewo, nie przesadzaj – przytrzymał ją Michael.

– Nie możesz przecież wymagać od pana, żeby biegał z tobą po magazynach, zwłaszcza że nie jesteś pewna, czy kupisz ten komplet.

Popatrzyła na niego z wyrzutem. – Jak to? Jeśli mam coś kupić, to chyba muszę najpierw zobaczyć! Ostatecznie mebli nie zmienia się tak często jak koszule, a skoro już się meblujemy, to urządzmy się jak najwygodniej!

– Masz rację, Ewo, nie czynię ci wyrzutów, ale po prostu na dzisiaj mam już dosyć. Możemy przecież przyjść tu pojutrze.

– Typowo męska reakcja! – odgarnęła kosmyk włosów opadających jej na czoło. – Za grosz cierpliwości! Ja w każdym razie pójdę do tego magazynu, a ty rób, jak chcesz. Naprzeciwko jest kawiarnia; możesz tam na mnie zaczekać.

Na pewno liczyła, że nie przyjmie jej propozycji, a mimo to szybko pożegnał się ze sprzedawcą i poszedł do kawiarni.

Był to lokal w starym stylu, z typowym długim bufetem, stołami z marmurowymi blatami i miłą obsługą. Miejsc prawie nie było, ale Michael zobaczył parę regulującą rachunek przy stoliku pod oknem i podszedł, by zająć miejsce.

Zamówił kawę i kieliszek koniaku. Patrzył cały czas przez okno, ale Ewy długo nie było widać. Z trudem udało mu się zatrzymać dla niej wolne krzesło.

Z nudów sięgnął po leżące obok ilustrowane czasopismo i zaczął wertować strony. Przeważały fotografie mniej lub bardziej roznegliżowanych piękności w przeróżnych pozach, było kilka niezbyt zabawnych anegdot, jakiś test dla kierowców.

Jedno ze zdjęć, które mignęło mu przed oczyma, wydało się Michaelowi dziwnie znajome. Znajdowało się w tekście artykułu zatytułowanego; „Morderstwo w dzisiejszych czasach – przypadek Liliany Horn”.

Tak, teraz wszystko było jasne – zdjęcie przedstawiało pokój, w którym Michael pierwszy raz oglądał zwłoki Ireny Kayser. Przez szeroko otwarte okno balkonowe wpadało światło wczesnego letniego poranka. Na nocnej szafce stał telefon, lampa, szklanka z wodą, obok leżała książka – dokładnie tak, jak zobaczył to tamtego dnia.

Sylwetka zmarłej była ledwie zarysowana – fotograf widocznie zrobił ujęcie klęcząc, bo na pierwszym planie najwyraźniej wyszedł dywan i leżąca przed łóżkiem owcza skóra.

Michael przyjrzał się dokładnie zdjęciu, bo nagle odniósł wrażenie, że coś się nie zgadza. Tak, kiedy przyszedł, owcza skóra leżała zwinięta na pół pod łóżkiem! Tutaj najwyraźniej leży przy łóżku, na dywanie, i widać na niej ciemne plamki, jakby krople, ułożone na kształt wianuszka.

Zamknął oczy i próbował wywołać w pamięci obraz sprzed kilku miesięcy. Wszędzie było pełno krwi, na piersiach zmarłej, na koszuli nocnej, na kołdrze – dosłownie wszystko tonęło w zakrzepłej krwi. Krew była też na podłodze, ale wtedy uznał, że były to odpryski. Na leżącą pod łóżkiem owczą skórę nie zwrócił w ogóle uwagi.

Michael zaczął nerwowo szukać po kieszeniach swojej podręcznej lupy, znalazł ją wreszcie i przyłożył do zdjęcia. Wszędzie te drobne plamki i co dziwniejsze – na skórze też!

Pociemniało mu przed oczyma. Zawołał kelnerkę i poprosił o jeszcze jeden kieliszek koniaku. Wypił go jednym haustem i od razu poczuł się lepiej.

Kawiarnia pustoszała powoli, a on siedział zamyślony i patrzył przed siebie. Nie zauważył nawet, kiedy weszła Ewa, a ocknął się dopiero, gdy się odezwała:

– Wybacz, kochanie, że kazałam ci tak długo czekać – rzekła zdejmując rękawiczki – ale jest w tym dużo twojej winy, bo zostawiłeś mnie samą. – Usiadła. – Ten sprzedawca okazał się strasznie namolny... Kelner, poproszę kawę... Ale ja nie pozwolę sobie wcisnąć byle czego, gdyż chodzi przecież o meble do naszego wymarzonego mieszkania. Ten kukurydziany komplet to był zupełnie inny model, okropny zresztą, mówię ci... – urwała nagle – Michael, co się z tobą dzieje? Ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

Spojrzał na nią, jakby wrócił z dalekiej podróży – Ewa! Odkryłem straszną rzecz!

– Co zrobiłeś? – zdumiała się.

– Przypominasz sobie przypadek Liliany Horn...

– Rany boskie! – przerwała mu. – Ja tu latam jak kot z pęcherzem, żeby kupić coś porządnego do naszego mieszkania, a ten myśli o swojej pracy, na dodatek o sprawie, która już dawno się skończyła!

Złapał ją za ręce tak mocno, że aż syknęła: – Au, co ty wyprawiasz?! – szarpnęła się.

Kelner przyniósł kawę i z rozbawieniem przyglądał się skłóconej parze. Kiedy odszedł, Michael rzekł:

– Posłuchaj mnie choć przez chwilę, Ewo – głos mu się trząsał – zobaczysz, że to dla mnie bardzo ważne.

Westchnęła i zniecierpliwiona spojrzała w sufit.

Michael położył przed nią rozłożone czasopismo.

– Spójrz tutaj. – podał jej do ręki lupę. – Co widzisz na obrzeżu tej

skóry?

– Wygląda jak krople krwi.

– No właśnie!

Upuściła lupę i popatrzyła na niego. – I co z tego? Na zdjęciu widać wszędzie pełno krwi, chyba że to czarne to coś innego?

– Nie, Ewo. To jest krew. Denatka dosłownie tonęła we własnej krwi, ale to – Michael pokazał palcem na krople na dywanie i skórze – to nie są ślady jej krwi! Gdyby były, miałyby kształt kałuż albo wielkich plam, a to są krople i znajdują się w odległości pół metra od łóżka!

Ewa podrapała się po nosie. – To by oznaczało, że zostawiła je Liliana Horn! – w jej oczach pojawił się błysk radości, że tak szybko odgadła, o co mu chodzi. – Znalazłeś przecież na jej palcach cięte rany, które musiały krwawić, prawda?

– Oczywiście – potwierdził zdenerwowany. – Tylko, że ja wtedy o tym nie pomyślałem. Powinienem był poszukać śladów krwi mordercy i to był mój błąd.

– Ach, drobiazg! – rzekła Ewa oddając mu lupę.

– Nie bierz tego znów aż tak poważnie. Może to wcale nie jest jej krew? Ja, gdy się skaleczę, zawsze odruchowo biorę palec do ust. Skąd wiesz, czy ona nie zrobiła tak samo?

– A to? – stukał palcem po fotografii.

– Być może są to plamy po jodynie albo czerwonych burakach, które zmarła jadła przed śmiercią.

– Jest to możliwe, ale niezupełnie. Prawdopodobnie są to ślady krwi mordercy.

– Nie przesadzaj, Michael! – cierpliwość Ewy została już wyczerpana.

– Czy z powodu jednego bzdurnego zdjęcia masz zamiar zawracać sobie

głowę?

Pochylił się nad stołem i rzekł półgłosem: – Nie rozumiesz, co to zdjęcie oznacza? Gdybym nie przegapił widocznych na nim kropel krwi, dał je do analizy i potwierdzono by, że zostawiła je Liliana Horn, byłby to jednoznaczny dowód, że to ona dokonała zabójstwa. Byłaby to przysłowiowa kropka nad i, której wciąż brakuje.

– Trudno! Została już skazana i sprawa jest zamknięta.

– Ale pomyśl logicznie: mogłoby się okazać, że nie jest to jej krew, ale kogoś innego, a wtedy byłby to dowód, że jest niewinna!

– Ach, więc o to ci chodzi! – jej oczy zwięzły się jak dwie szparki. – Że też od razu się nie domyśliłam?! Chcesz wydostać Lilianę Horn z paki, wykazać, że jest niewinna. Raz u niej byłeś i już cię omotała. Oto cała prawda, a reszta to tylko gra!

– Nie krzycz, Ewo! Nie jesteśmy tu sami.

– Wolno mi krzyczeć, kiedy tylko mam na to ochotę!

– Nie wolno ci, Ewo! – syknął, bezwiednie zgrzytając zębami. – Jeśli choć trochę zależy ci na mnie, mów ciszej. Chyba że chcesz mnie skompromitować przed całym miastem?

Jeszcze nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej i bał się, że rzeczywiście wywoła skandal. Nie wiedział jednak, w jaki sposób ją uspokoić, zamilkł więc na wszelki wypadek, by nie dać jej pretekstu do dalszych wybuchów złości.

Siedzieli bez słowa przy okrągłym kawiarnianym stoliku, oddaleni myślami na mile od siebie.

W końcu Ewa uspokoiła się trochę i spytała drżącym jeszcze z emocji głosem: – Co zamierzasz zrobić?

– Porozmawiam z profesorem Faberem.

– I powiesz mu, że w przypadku Liliany Horn popełniłeś błąd?

– Nie mam innego wyboru.

– Masz, masz! Wystarczy, że będziesz trzymał język za zębami, jak większość normalnych ludzi.

– Uważasz, że mógłbym żyć ze świadomością, iż posłałem za kratki niewinnego człowieka, i to na dożywocie?

– Patrzcie go! – naburmuszyła się znowu. – Jesteś już zupełnie pewny, że ona jest niewinna. Mogę wiedzieć, w jaki sposób cię przekonała? Bo dotychczas nie przedstawiłeś mi żadnego dowodu.

– Nigdy nie powiedziałem, że już jestem pewny. Dlaczego przekręcasz moje słowa, Ewo? Pojawiła się wątpliwość, a to wystarczy...

– ... aby mnie i siebie wpędzić w nieszczęście! – przerwała mu. – Czy o to ci chodzi, Michael? Uważasz, że nie możesz przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, więc się zastanów, co robisz akurat w momencie, gdy masz objąć kierownictwo instytutu w Kassel. Jeżeli przyznasz się do popełnienia błędu, zdyskwalifikujesz się na starcie.

– Muszę się przyznać – zacisnął zęby.

– I nie obchodzi cię, co będzie z nami?

– Do cholery! – uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły filiżanki. – Nawet jeśli jeszcze raz przełożymy termin naszego ślubu, świat się przecież nie zawali!

– Tobie nie – wstała i zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy – ale mnie na pewno! Mam po dziurki w nosie tego czekania i słuchania twoich wykrętów – rzuciła pierścioneł, aż zatańczył po marmurowym blacie. – Koniec z nami! Jak chcesz, możesz poświęcić się dla tej Horn, ty rycerzu od siedmiu boleści!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Patrzył za nią i wstydził się, że poczuł ogromną ulgę. Ale to przecież Ewa sama uwolniła go od narzeczęńskich zobowiązań. Był jednak na tyle sprawiedliwy, że musiał przyznać, iż jej zarzuty miały pewne uzasadnienie. Czy rzeczywiście zrezygnowałby z wszystkiego, gdyby Liliana Horn była mu zupełnie obojętna? Na to pytanie jeszcze nie potrafił sobie odpowiedzieć.

28

Pani Sturm zdziwiła się, że syn wrócił wcześniej do domu.

– Przepraszam, ale zupełnie się ciebie nie spodziewałam. Umówiłam się z przyjaciółką, będziesz więc musiał sam sobie przygotować kolację. Wszystko masz w lodówce.

– Poradzę sobie, mamó.

Zakładała kapelusz na głowę i patrzyła z uśmiechem na odbicie syna w lustrze. – Dziś wyjątkowo samoobsługa, ale zostało trochę twojego ulubionego piwa.

– Dziękuję, mamó.

Wiedziała, że coś musiało się zdarzyć, i aż ją korciło, żeby spytać, dlaczego nie został z Ewą. Zauważył to.

– Nie musisz być aż tak dyskretna, mamó, gdyż ja do tajemnic nie przywiązuję żadnej wagi. Ewa zerwała zaręczyny

Pani Sturm omal nie podskoczyła z radości. – Musiałeś jej porządnie dokuczyć – rzekła niby zatroskana.

– Nie powiem, że nie – przyznał.

Odwróciła się i pocałowała go w policzek. – Nie przejmuj się tym zbytnio, synu. Jak będziesz chciał, to na pewno wszystko naprawisz. –

Uśmiechnęła się i wyszła.

Michael był zadowolony, że może zostać sam, gdyż wcale nie miał ochoty opowiadać o swoich wątpliwościach, dopóki nie miał pewności co do ich podstawy. Przecież fotografia mogła być spreparowana przez reportera dla potrzeb jego artykułu.

Michael kupił to czasopismo i jeszcze raz dokładnie obejrzał zdjęcie pod lupą i przy silnym świetle. Nie, żadnych śladów fotomontażu nie było na nim widać.

Mimo to wolał nie podejmować decydujących kroków, dopóki się całkowicie nie upewni. Przeczytał dokładnie stopkę redakcyjną czasopisma: wychodziło w Monachium, a działem fotograficznym kierował niejaki Dagobert Kreutzer.

Nazwisko wydało się Michaelowi tak rzadkie, że nawet nie znając adresu domowego, powinien go bez trudu odnaleźć w monachijskiej książce telefonicznej. Zadzwoił na informację i udało się – po wykręceniu numeru pan Kreutzer zgłosił się przy aparacie.

Michael przeprosił, że dzwoni w sobotni wieczór, przedstawił się wymyślonym naprędce nazwiskiem i spytał, czy zdjęcie w artykule o Lilianie Horn jest oryginalne.

– Ależ oczywiście, drogi panie. Skąd panu przyszło do głowy, że mogliśmy zamieścić w gazecie fotomontaż?

– Przepraszam, ale sprawę Liliany Horn śledziłem bardzo dokładnie i jestem pewien, że to zdjęcie nigdy nie było w prasie publikowane.

– Gratuluję spostrzegawczości! Mogę też panu wyjaśnić, dlaczego pan tego zdjęcia jeszcze nie widział... Bo jest nieudane! Denatki prawie na nim nie widać, ale kupiliśmy je wtedy tylko dlatego, że zostało zrobione na miejscu przestępstwa jeszcze przed przybyciem policji.

– Tak, na to wygląda – przyznał Michael Sturm.

– Nie tylko wygląda, ale tak jest! Chce się pań założyć?

– Lepiej nie. Nie lubię hazardu – uśmiechnął się i podziękował redaktorowi. Zapomniał wprawdzie spytać o nazwisko i adres fotoreportera, ale i tak będzie mu to potrzebne dopiero, gdy rozpocznie odkręcanie tej sprawy.

Najważniejsze, że zdjęcie było prawdziwe i wykonane przed przybyciem policji na miejsce czynu.

Gdyby wtedy zastał pokój Ireny Kayser w takim stanie jak na zdjęciu, na pewno zauważyłby krople krwi na owczej skórze, ale jakiś ciapa widocznie kopnął ją pod łóżko i zmienił obraz sytuacji. Coś takiego mogło się zdarzyć, ale dla Michaela nie było to żadne usprawiedliwienie.

Był zdecydowany powiedzieć o wszystkim profesorowi Faberowi, choć zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwa rozmowa.

Niedziela minęła bez większych niespodzianek, więc wypoczęty Michael Sturm mógł odważnie podzielić się wątpliwościami i spostrzeżeniami ze swoim groźnym szefem.

Słuchał go z obojętną miną, z półprzymkniętymi oczyma; wsparty łokciami o biurko, coraz energiczniej skubał palcami dolną wargę.

Michael nie mógł usiedzieć spokojnie. Zrywał się co chwilę i chodząc wielkimi krokami po pokoju, gestykulował po każdej wypowiedzi, coraz bardziej zdenerwowany.

– Cóż, drogi kolego – odezwał się profesor – to rzeczywiście nieprzyjemna sytuacja i rozumiem doskonale, że chce pan coś zrobić, ale... – wyprostował się –... jest już raczej za późno. Dlatego też myślę...

– Przepraszam, dlaczego za późno? – przerwał mu Sturm. – Jest przecież ta skóra.

– Niech pan o niej zapomni.

Michael nie dawał za wygraną. – Kazałem ją wtedy zabezpieczyć, by w razie czego mogła być wykorzystana jako dowód rzeczowy. Jestem pewien, że wciąż jeszcze leży w depozycie głównego komisariatu policji!

– I będzie tam leżeć na zawsze, drogi kolego! – rzekł zniecierpliwiony Faber.

– Pan chyba nie mówi tego poważnie? – spytał z niedowierzaniem Sturm. – Wystarczy pobrać próbki krwi i stwierdzić, czy odpowiada grupie, którą ma Liliana Horn, i będzie jasność, czy to ona jest morderczynią.

– Sąd nie miał wątpliwości i wydał już wyrok.

– Ale tylko dlatego, że przegapiliśmy ważny szczegół z tą skórą! – niemal krzyczał Michael.

– Nie my, ale pan przegapił! – poprawił go profesor.

– Powinien pan sobie przypomnieć, kto podpisał protokół. Był pan wtedy tak z siebie dumny, że chciał nawet osobiście przedstawić sądowi wyniki swojego śledztwa!

– Pan zaś się temu kategorycznie sprzeciwił! Tym samym wziął pan na siebie współodpowiedzialność, profesorze.

– Nie będę zaprzeczać, drogi kolego – rzekł profesor, a wokół jego wąskich ust pojawił się ironiczny uśmiezek.

– A więc, żeby sprawa była jasna: nie będę też nadstawiać głowy dla pańskich głupich pomysłów! Wkrótce zostanie pan dyrektorem instytutu medycyny sądowej i wtedy może pan robić, co chce – wystawiać protokoły, potem je odwoływać, jak panu wygodniej. Boję się tylko, że w ten sposób długo się pan nie utrzyma na tym stanowisku.

– Niech pan się nie martwi o moją karierę, kiedy rozmawiamy o czymś zupełnie innym, a mianowicie o konkretnym przypadku, o losie

konkretnej osoby!

Profesor zdecydowanie kręcił głową. – Nie tylko! Chodzi o autorytet nauki, który pan usiłuje podważyć, na co ja, jako jej sługa, pozwolić nie mogę.

– Niech pan nie przesadza z tymi komunałami, profesorze! – Michael był już tak zdenerwowany, że przestał liczyć się ze słowami. – W istocie nie chodzi panu o nic innego jak o własną sławę – krzyknął i aż się przestraszył, że coś takiego powiedział.

Profesor siedział nieporuszony.

– O nią też, przyznaję, drogi kolego, bo gdybym zaprzeczył, byłbym kłamcą. Całe życie pracowałem, zgłębiałem wiedzę i brałem na siebie odpowiedzialność po to, by na tę sławę –jak pan to określił – zasłużyć i chyba się pan nie spodziewa, że zniszczę ją teraz dla pańskiej przyjemności!

– Nie! To niemożliwe! – Michael oparł się zwiniętymi w pięść dłońmi o biurko i pochylił się nad profesorem. – To niemożliwe, żeby pan nie miał sumienia! Nie prześpi pan jednej spokojnej nocy, gdyż myśl, że za kratkami siedzi niewinny człowiek, bo pan nie ma odwagi przyznać się do błędu, będzie pana prześladować do końca życia.

Profesor Faber westchnął zniecierpliwiony. – Ani pan, ani ja nie jesteśmy odpowiedzialni za wyrok, drogi kolego. Wydał go sąd – trzech sędziów i sześciu ławników orzekło, że ta kobieta jest winna, nie my.

– Orzekło tak, bo my popełniliśmy pomyłkę!

– Nie tylko. Złożyło się na to kilka spraw, chociażby prowokacyjne zachowanie Liliany Horn, nie trzymające się kupy alibi i przekonywający motyw zbrodni. Nasz protokół został sporządzony rzetelnie i zgodnie z tym, co widzieliśmy. Zrobiliśmy, co do nas należało, i nawet jeśli teraz mamy drobne wątpliwości, niczego to nie zmienia.

Sturm wciągnął głęboko powietrze, by się choć trochę opanować. Nie chciał przecież profesora obrazić, a jedynie go przekonać. – To nie są drobne wątpliwości, profesorze. Znalazłem możliwość udowodnienia winy Liliany Horn albo też jej niewinności. Ostatecznie przedstawienie takiego dowodu należy się też sądowi. Zebrane dowody świadczyły przeciwko tej kobiecie, ale nie dawały stuprocentowej pewności.

Faber wstał. – Przecież ja od początku niczego innego nie mówiłem. Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Wyrok sądu nie był zbyt mocno podbudowany, głównie z powodu słabości dowodów zebranych w śledztwie, ale nie można za to obwiniać medycyny sądowej!

– Nie można? Teraz to już nic nie rozumiem.

– Niech pan posłucha – profesor położył mu rękę na ramieniu – pan zarzuca sobie pominięcie faktu, że przecież morderczyni także musiała krwawić, a czy nikt poza panem nie był zobowiązany dojść do logicznego w końcu stwierdzenia? Wiem, wiem, zaraz pan powie, że to ja pierwszy powinienem na to zwrócić uwagę, ale dlaczego nie zrobił tego obrońca Liliany Horn? Mógł przecież podnieść tę kwestię, a jednak nie przyszło mu to do głowy, podobnie jak nam. Nie pomyślał o tym żaden z trzech sędziów ani też prokurator, dlaczego zatem tylko pan i ja mamy nie sypiać po nocach?

– Panie profesorze, chcę zbadać tę skórę. Proszę mi ją sprowadzić...

– Nie ma mowy!

– Być może znajdujące się na niej krople krwi pochodzą od Liliany Horn, a wtedy nikt się nie dowie o naszych wątpliwościach, zaś my będziemy mieli czyste sumienie.

– O moje niech się pan nie martwi. Znam je dobrze i wiem, czym mogę je obciążyć. Dla pana, drogi kolego, niech to będzie nauczka, że

protokoły należy przygotowywać bardzo starannie i ostrożnie. Doświadczył pan na własnej skórze, do czego prowadzi wyciąganie w pośpiechu nieprzemyślanych wniosków – rzekł i otworzył drzwi.

Sturm zrozumiał, że został wyproszony, ale nie ustępował.

– Żałuję, że nie udało mi się pana przekonać, profesorze. Bardzo proszę: niech mi pan pomoże i nie zmusza do działania na własną rękę.

Prośba też nie poskutkowała. – Dobrze, że mnie pan uprzedził – odpowiedział spokojnym tonem. – Zadzwoń zaraz na policję i zastrzeżę, aby pod żadnym pozorem nie wydawano panu tej skóry.

I zatrzasnął asystentowi drzwi przed nosem.

29

Po sprzeczce z profesorem Michael był pewien, że nie będzie w stanie wykonać nawet najprostszych rutynowych czynności. Nie miał też ochoty prowadzić bezowocnej dyskusji z Jo, bo ten, choćby mu nie zdradził ani słowem, że coś się zdarzyło, i tak się domyśli.

Gdy Michael stwierdził, że ma kluczyki od samochodu przy sobie, wyszedł z instytutu, nie zaglądając do laboratorium ani też nie wypisując się z listy obecności, co zgodnie z przepisami powinien był zrobić.

Poszedł do profesora głęboko przekonany, że uzna on jego argumenty i doprowadzi do wznowienia sprawy, a tymczasem tak się nie stało. Co gorsza, zamknął sobie drogę do działania na własną rękę, bo nikt na policji nie wyda mu dowodu rzeczowego, tej nieszczęsnej skóry, jeżeli profesor Faber złoży taki wniosek.

Nagle Michael przypomniał sobie, że istnieje przecież inna możliwość zbadania krwi, którą zobaczył na fotografii – była nie tylko na skórze, ale

też na dywanie! Z pewnością pokój zmarłej został już dawno uporządkowany, ale plamy krwi na tkaninie są trudne do usunięcia, zwłaszcza gdy wnikną głęboko. Przy odrobinie szczęścia powinien znaleźć choć kilka zakrzepłych grudek, które można by oddać do analizy.

Michael wsiadł do swojego volkswagena i pojechał pod dom przy Rheinallee 127.

Z zewnątrz niewiele się tam zmieniło. Biały, dwupiętrowy dom stał pośrodku wypielegnowanego ogrodu jak wtedy, tylko że teraz za wcześnie było jeszcze na kwitnące rabaty róż. Na klombach pyszniły się tulipany w różnych kolorach tęczy. Na smukłych łodyżkach dumnie prezentowały swoje stulone kielichy. Trawnik był równo, krótko przystrzyżony, jak dywan...

Furtka od ogrodu tym razem była zamknięta, a przy bramie wejściowej pojawił się domofon, którego wtedy nie było.

Zadzwoił i zaczął się zastanawiać, jaką też poda przyczynę swojej wizyty. Jako lekarz sądowy właściwie nie ma tu czego szukać.

– Tak, słucham? – odezwał się kobiecy głos z aparatu.

– Naprawa telefonów! – odpowiedział i szybko zaczął odwiązywać krawat. Wsadził go do podręcznego nesesera, który odruchowo zabrał z samochodu, i rozpiął guziki szaroniebieskiego garnituru.

Po usłyszeniu brzęczenia zamka popchnął bramę i wszedł do ogrodu. W otwartych drzwiach wejściowych czekała dziewczyna w prostej niebieskiej sukience roboczej.

– Dzień dobry! – rzekł, gdy podszedł bliżej. – Przysłano mnie z biura napraw.

– Tak? Ale u nas telefony działają.

– Zaraz to sprawdzimy – powiedział omijając zdecydowanym

krokiem dziewczynę, bez żadnej wątpliwości służącą.

Szedł prosto do pokoju, w którym wtedy leżała Irena Kayser. U progu stanął jak wryty i gdyby nie drzwi na taras i widok na ogród nigdy by nie powiedział, że znalazł się w tym samym pomieszczeniu, które zapamiętał.

Podłogę pokrywały teraz błyszczące czerwone florenckie kafle, na miejscu klonowego kredensu stała biała rokokowa szafa ze złoceniami, łóżka oczywiście nie było, zaś białe stylowe meble świadczyły o zmianie przeznaczenia tego pokoju.

Pozostał jedynie stary telefon, który dopiero przypomniał Michaelowi, że przyszedł tu w roli montera.

– Kiedyś wyglądało tu zupełnie inaczej – zagadnął.

– Pan już tu bywał? – zdziwiła się dziewczyna, z ciekawości, bo miała ochotę porozmawiać z młodym przystojnym pracownikiem poczty.

– Tak. Wtedy pani Kayser jeszcze żyła.

– Ach, to mnie wtedy tu nie było.

– Wiem, bo na pewno bym panią zapamiętał – uśmiechnął się. – Mam dobrą pamięć, szczególnie do pięknych dziewcząt.

– Co też pan plecie! – oburzyła się, ale z trudem ukrywała, że komplement jej się spodobał.

– Ciekawe, co zrobili z tymi gratami? Było tu kilka ładnych mebli. A może pani przyszła już po remoncie?

– Tak, ale przypadkowo wiem, co się stało ze starymi meblami. Pan dyrektor kazał wszystkie spalić, do ostatniego strzępka! Wcale mu się nie dziwię po tym, co tu się wydarzyło... Pieniądzy ma dość, to sobie mógł pozwolić na wyrzucenie tych mebli.

Dziewczyna najwyraźniej miała ochotę porozmawiać o morderstwie pani dyrektorowej, zaś Michael za wszelką cenę chciał uniknąć tego tematu.

Podniósł słuchawkę aparatu i wykręcił numer własnego mieszkania..

– Halo? – zgłosiła się matka. Tym razem też nie przedstawiła się, choć już wielokrotnie zwracał jej uwagę, że to niegrzecznie. Dziś akurat był jej za to wdzięczny.

– Tu Sturm – mówił szybko. – Jestem pod numerem pięć, dwa, jeden, osiem, siedem, trzy. Tu zdaje się wszystko w porządku. Idę do następnego domu. Zadzwonię za chwilę.

– Zanim matka zdążyła się odezwać lub choćby ochłonąć ze zdumienia, odłożył słuchawkę.

– Przepraszam za zamieszanie. Miło było panią poznać – ukłonił się grzecznie.

– Mamy jeszcze jeden aparat, w sypialni – dziewczyna widocznie nie była zadowolona, że niespodziewany gość zamierza już odejść. – Kiedyś stał tu, na korytarzu.

– Tak, wiem, ale to dodatkowy aparat i on nie powoduje zakłóceń.

Zauważył stojące na biurku wielkie kolorowe zdjęcie w srebrnej ramie, przedstawiające szczupłą, młodą kobietę. Chciał przyjrzeć jej się z bliska.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna. – Niech pan nie bierze do ręki, bo znów będę musiała szorować tę przeklętą ramę.

– To pani domu?

Dziewczyna zrobiła głupią minę. – Hm, chciałyby nią być! Ale nieprędko jej się uda albo nawet wcale. Kłóć się z panem dyrektorem jak dwa psy!

– Ładna jest – rzekł z miną znawcy.

– To tak, ale nic poza tym. Mówię panu – chodzący sople lodu!

W tym momencie Michael uświadomił sobie, co go tak irytowało w spojrzeniu tej kobiety ze zdjęcia. Miała zielone oczy, jasnoblond włosy,

obcięte trochę inaczej niż Liliana Horn, ale mimo to była do niej bardzo podobna. Z pewnej odległości na pewno można by je pomylić.

– Wie pani, że widać to nawet ze zdjęcia! Widzę też, że ma już swoje lata.

– Równo dwadzieścia cztery!

– Tak też myślałem. Nie mój rocznik! – uśmiechnął się znacząco.

– Nazywam się Kathe.

– A ja Willy. Może wpadnę tu kiedyś. Właśnie pokłóciłem się z moją narzeczoną, jak się pogodzimy, to...

– Pan jest zaręczony? – spytała lekko zawiedziona.

– Sam nie wiem. Rzuciła mi pierścionek na stół i poszła. Co pani o tym myśli?

– Musiała mieć jakiś powód.

– Pani by mi czegoś takiego nie zrobiła, prawda? – uśmiechnął się i połaskotał ją pod brodą.

– No, nie wiem?

– Wpadnę tu czasami. Cześć, Kathe! Muszę już uciekać, bo w centrali czekają, aż zgłoszę się z następnego telefonu – rzekł udając, że bardzo się spieszy.

Biegła za nim ledwo nadążając. – Ale pan jeszcze tu przyjdzie?

– Wszystko możliwe.

Wychodząc z bramy obejrzał się i, jak przypuszczał, dziewczyna stała u progu i czekała, aż wsiądzie do samochodu. Może nie zauważy, że jest on koloru niebieskiego, a nie żółty jak wszystkie pojazdy służbowe poczty niemieckiej. Uspokoił się natychmiast, bo Käthe raz, że nie była zbyt bystra, a dwa – na pewno nie pochwali się panu Kayserowi czy jego przyjaciółce, że wpuściła do domu nieznanego mężczyznę.

Właściwie dlaczego nie miałyby powiedzieć? Pan Kayser, jeżeli ma coś na sumieniu, na pewno zacząłby panikować, że ktoś obcy weszły po jego domu i zadaje służbie niedyskretne pytania. Kto wie, z czym by się przy okazji zdradził?

Tymczasem Michael musiał pogodzić się z faktem, że wizyta w willi Kayserów nic mu nie dała, ale jednocześnie przekonała go, że musi dotrzeć do skóry zdeponowanej na policji, choćby się działo Bóg wie co. Pozostała mu tylko ona, bo dywan na pewno poszedł z dymem. Nie miał powodu podejrzewać, że Käthe kłamała.

30

Mecenas van Borg wrócił z sądu około trzeciej. W poczekalni przed jego kancelarią czekało już siedmiu klientów, a on nie zdążył nawet zjeść obiadu. Kapelusz i płaszcz odłożył do szafy, wyjął z teczki dokumenty i położył je na biurku, ale najpierw poszedł dokładnie umyć ręce.

Popatrzył w lustro i stwierdził, że będzie musiał drugi raz się ogolić, jeżeli wieczorem ma pójść z żoną do teatru. Nacisnął klawisz interfonu. – No, to zaczynamy, Luizo! Niech pani wpuści pierwszego.

– Chwileczkę, panie mecenasie – odezwała się sekretarka. – Jest telefon do pana.

– Niech zadzwoni później.

– To pan doktor Sturm. Dzwonił już kilka razy.

– To niech go pani umówi na inny termin – rzekł zapalając papierosa.

– Ale on twierdzi, że ma pilną sprawę do pana.

– Mój Boże, dziecko! Tyle czasu już pani u mnie pracuje i jeszcze się nie przyzwyczaiła, że każdy, kto ma do mnie sprawę, uważa że jest on

najważniejszy? Więc...

Panna Luiza nie zamierzała skapitulować: – Chodzi o sprawę Liliany Horn!

Mecenas zastanawiał się chwilę. Liliana Horn... To ta, którą bronił na zlecenie rozwiedzionego męża, a ponieważ nie był przekonany o jej niewinności, nie przykładał się zbytnio i teraz ma wyrzuty sumienia.

– Proszę połączyć – rzekł siadając za biurkiem. – Tak, van Borg przy aparacie. Czym mogę panu służyć, doktorze?

– Potrzebuję pańskiej pomocy, mecenasie – odezwał się Michael z budki telefonicznej znajdującej się naprzeciwko instytutu. – Trafiłem na ślad, który może doprowadzić do uniewinnienia Liliany Horn albo też ostatecznie potwierdzić jej winę. Problem w tym, że nikt nie jest zainteresowany moim odkryciem.

– Brzmi to nazbyt optymistycznie – stwierdził adwokat. Musiałby mi pan przedstawić szczegóły.

– Nie mogę, w każdym razie nie przez telefon. Chcę tylko, żeby pan uwierzył, że sobie niczego nie ubzdurałem. Jestem lekarzem sądowym, pierwszym asystentem profesora Fabera, i to ja dokonywałem oględzin zwłok Ireny Kayser na miejscu czynu.

– Ach, tak! – van Borg zaciągnął się papierosem i omal nie sparzył sobie ust, gdyż nie zauważył, że trzyma już w palcach tylko niedopałek. – Przyznaję, że mnie pan zainteresował.

– Kiedy moglibyśmy porozmawiać?

– Niestety, w najbliższych dniach będę bardzo zajęty, ale zaraz... Mógłby pan przyjść jutro wieczorem do mnie do domu? Powiedzmy o ósmej. Mieszkam przy Grabbplatz dziewiętnaście.

Odłożył słuchawkę i zamyślony zapatrzył się w blat biurka, wodząc

palcem wskazującym po brodzie. Nacisnął interfon.

– Luizo, czy byłaby pani uprzejma połączyć mnie z panem Kernem? Pamięta pani – Thomas Kern, były mąż Liliany Horn. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

31

– Co to miał być za dowcip dziś rano? – spytała pani Sturm, gdy tylko Michael wrócił wieczorem do domu i nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza. – To ty dzwoniłeś, prawda? Poznałam cię po głosie!

– Mogłabyś być detektywem, mamó! – uśmiechnął się. – Rzeczywiście miałaś trudne zadanie, zwłaszcza że przedstawiłem się własnym nazwiskiem.

– Nie musisz być od razu złośliwy! – szturchnęła go delikatnie pod żebro. – Opowiedz mi lepiej, o co ci chodziło. Chciałam oddzwonić, ale nie zdążyłam zapisać numeru.

– I całe szczęście, bo dopiero narobiłabyś bigosu!

– Mów wreszcie, co się dzieje, i nie trzymaj mnie w napięciu.

– Zawsze twierdziłaś, że nie jesteś ciekawska...

– Bo nie jestem! – broniła się pani Sturm. – Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje, a to zupełnie inna rzecz.

– Pobiegła do kuchni i wróciła z dwoma kieliszkami martini, które wcześniej przygotowała i schowała do lodówki.

Michael wiedział, że zrobiła to specjalnie, by zmusić go do zwierzeń. – Przygotowałaś się jak do zamachu! – zaśmiał się.

– Spróbuj, a zobaczysz, że będzie ci smakowało.

Rozsiadła się wygodnie na kanapie i zapaliła papierosa.

– No, to zaczynaj! – rozkazała.

Michael opowiedział o swojej wizycie w willi Kayserów.

– Podalesz się za montera? Nie brakuje ci tupetu, nie powiem! Poza tym nigdy nie podejrzewałam cię o talenty aktorskie.

– Ja siebie też... Do dzisiaj!

– Widzę, że ciągle grzebiesz się w sprawie tej Horn. Właściwie dlaczego?

– Cóż, późno bo późno, ale doszedłem do wniosku, że niekoniecznie ona popełniła tę zbrodnię. Teraz nie musi już kłamać...

– Michael! Popatrz no na mnie! Ty chyba coś ukrywasz?

– Raczej nie, mamie – zawahał się.

– Ta kobieta coś znaczy dla ciebie, zgadłam?

– Imponuje mi – przyznał. – I bardzo jej współczuję.

– To z jej powodu rozeszliście się z Ewą?

– Nie tylko, mamie. Przebrała się miarka. Wiesz, zakochałem się w Ewie, ale tak naprawdę, to nigdy się nie rozumieliśmy.

– Sądzisz, że z tą kobietą znajdziesz wspólny język?

– To pytanie nie ma żadnego sensu, mamie. Tym bardziej, że póki co jest ona w więzieniu, skazana na dożywocie.

– Ale ty masz zamiar ją stamtąd wyciągnąć.

– Mówisz tak, jakbym chciał złamać prawo.

– Nie, Michael! Wiem, że tak daleko byś się nie posunął. Wybacz, jeżeli zabrzmiało to w ten sposób – rzekła i zgasła papierosa. – I co tam znalazłeś u Kaysera?

Opowiedział dość szczegółowo, a gdy skończył, matka zamyśliła się. Pokiwała głową.

– Nie dziw się, że chciał usunąć wszystko, co przypominało mu

tragiczną śmierć żony. To naturalne i nie możesz mieć do niego pretensji.

– Wcale nie mam, ale zastanawia mnie uderzające podobieństwo tej kobiety do Liliany Horn. Czy jest to tylko zbieg okoliczności?

– Może po prostu Kayser gustuje w kobietach tego typu urody!

– Ale mógł też zaplanować morderstwo! Przyjął Lilianę do pracy, bo była podobna do jego kochanki, a potem specjalnie zaaranżował rozmowę, którą z kolei sąd potraktował jako dowód.

– Myślisz, że naumyślnie zostawił włączony interfon? – spytała matka doskonale zorientowana w sprawie Liliany Horn.

– Niewykluczone. Nie twierdzę, że zamierzał zwalić winę na Lilianę. Liczył, że policja przyjmie wersję o samobójstwie, ale na wszelki wypadek, na przykład gdyby ktoś widział tamtej nocy jego kochankę w pobliżu domu, można by było wmówić świadkowi, że pomylił ją z Lilianą Horn.

– Idąc twoim tropem, należałoby uznać, że rozmowa telefoniczna też została sfingowana?

– Też. Każda kobieta o normalnym głosie i nie mówiąca dialektem mogła przez telefon przedstawić się jako Liliana Horn.

– Hm, ma to jakiś sens, zwłaszcza że wszyscy wiedzieli, że chora była zazdrosna o pannę Horn.

– Można by spekulować dalej i założyć, że Kayser specjalnie robił wszystko, by skierować zazdrość żony właśnie na Lilianę.

– Chyba posuwasz się za daleko z takimi podejrzeniami.

– Nie sądzę, mamo – upierał się.

– Twoja sprawa – uśmiechnęła się. – Nie wiem tylko, czy robisz mądrze rozgrzebując tę sprawę akurat teraz...

– Nie zawsze rozsądek jest rzeczą najważniejszą – przerwał matce ostrym tonem. – Są wartości znacznie cenniejsze. Bądź taka miła i przygotuj

mi coś do zjedzenia.

Wstała bez słowa. Pierwszy raz w życiu miała wrażenie, że syn ją odtrącił. Spodziewała się, że pewnego dnia musi to nastąpić, a mimo to zrobiło jej się przykro.

32

Michael Sturm zdziwił się, że adwokat nie przyjął go sam. Weszli do gabinetu, gdzie siedział już mężczyzna, którego mecenas przedstawił po nazwisku: Thomas Kern.

– Nie chciałbym panom przeszkadzać – rzekł pan Kern ściskając mocno dłoń młodemu lekarzowi – ale los Liliany tak bardzo mnie interesuje, że jestem gotów zrobić wszystko, byleby tylko wydostać ją z więzienia.

Kern wydał się Michaelowi przeraźliwie chudym mężczyzną. Był wysoki, lekko zgarbiony, miał wyjątkowo głębokie zmarszczki powyżej górnej wargi.

Van Borg poprosił, by usiedli, postawił na stoliku butelkę koniaku, kieliszki i rzekł: – Przy panu Kernie może pan mówić otwarcie, panie doktorze. W przeciwnym razie nie zaprosiłbym go na nasze spotkanie.

– W to nie wątpię, mecenasie – rzekł Sturm bez przekonania, wciąż zastanawiając się, o co temu Kernowi chodzi.

Wiedział wprawdzie, że Liliana była kiedyś mężatką, a jednak nazwisko jej męża w procesie nie padło ani razu. Musiał wyglądać na zdziwionego, bo mecenas van Borg uśmiechnął się: – Ale nie bardzo pan wie, o co chodzi, prawda?

– Owszem. O ile mi wiadomo, do rozwodu doszło z winy Liliany Horn, a więc – pan wybaczy, panie Kern, że powiem otwarcie – wyrządziła

panu krzywdę, złamała życie i tak dalej.

– Kochałem ją.

– W to nie wątpię.

– A w to, że chcę jej pomóc, pan nie wierzy? – Thomas Kern popatrzył na Michaela i uśmiechnął się.

– Na razie nie mam też powodu, żeby panu wierzyć – odpowiedział szczerze.

– Muszę panu wyjaśnić, doktorze, że to właśnie pan Kern przyszedł do mnie, bym bronił Liliany Horn – rzekł van Borg rozlewając koniak.

Michael popatrzył na Kerna i pokiwał głową.

– A do mnie przyszedł, żebym sfalszował protokół!

– Przyznaję, że zrobiłem wtedy największe głupstwo w życiu – tłumaczył się Kern. – Panicznie się bałem, że w związku z tą sprawą moje nazwisko trafi do gazet, i dlatego prosiłem mecenasa van Borga i moją byłą żonę, żeby w miarę możliwości temu zapobiegli. Chodziło mi przede wszystkim o moją nową rodzinę, a zwłaszcza dzieci, żeby nie czuły się zamieszane w skandal. Pan chyba rozumie?

– Owszem.

– Ale nie przyznaje mi racji, prawda? Śmiało może pan przytaknąć, bo ja też uważam, że postąpiłem niesłusznie. Na swoją obronę mogę przytoczyć fakt, że od samego początku wierzyłem w niewinność Liliany. Nie wyobrażałem sobie, że może zostać skazana.

– A ja pana uprzedzałem! – rzekł van Borg zapalając papierosa.

– Mimo to nie chciałem uwierzyć. Wie pan, byliśmy z Lilianą razem siedem lat i mogę powiedzieć, że ją poznałem. Ona nie potrafiła wypatroszyć kurczaka, a co dopiero poderżnąć szyi człowiekowi. Nie zrobiła tego, jestem absolutnie przekonany.

– Teraz to już za późno – rzekł van Borg.

– Wiem! Być może, gdybym zeznał to przed sądem, wyrok byłby inny. Albo i nie, ale Liliana by wiedziała, że przynajmniej ktoś jej wierzy. Prawdę mówiąc, bardzo liczyłem, że zrobi to Hubert Togler.

– Pan go zna? – zdziwił się Michael.

– A jakże! To przez niego doszło do naszego rozvodu. Ale skoro już zaczęliśmy ten temat, to chciałbym panom wyjaśnić sprawę do końca. Otóż z Lilianą nie układało nam się wtedy najlepiej. Namiętności utonęły w kłopotach dnia powszedniego, co tu mówić – jak w wielu małżeństwach.

Trudno tu kogokolwiek obwiniać, w każdym razie kiedy Liliana poznała Huberta Toglera, ja miałem już kilka romansów za sobą. Dla niej – jak twierdziła – Hubert okazał się wielką miłością. Nie chciała zostać ze mną ani dnia dłużej i zażądała rozvodu. Uniosłem się męską dumą i postawiłem warunek: zgodzę się, jeśli weźmie całą winę na siebie. I wzięła. Dla Huberta gotowa była zrobić wszystko, a on i tak zostawił ją na lodzie. Prawdopodobnie stało się to już w czasie procesu rozwodowego, ale Liliana była zbyt dumna, żeby pogodzić się ze mną.

– Przecież to, co pan mówi, stawia ją w zupełnie innym świetle! – zawołał Michael.

– Powiem więcej – zgodził się Thomas Kern – to wyjaśnia przyczynę dziwnego zachowania Liliany tamtego wieczoru w „Tavernie”. Niespodziewane spotkanie z Hubertem Toglerem wyprowadziło ją z równowagi, więc nic dziwnego, że opuściła na chwilę towarzystwo, żeby ochłonąć i pozbierać myśli.

– Dlaczego nikt w ten sposób nie przedstawił sprawy w czasie procesu? – zdenerwował się Sturm.

– No właśnie! – przyznał Kern. – To są zupełnie nowe fakty, które

powinny wystarczyć do wznowienia procesu. Niech mi pan pomoże przekonać mecenasa van Borga, doktorze!

– Niestety! – odezwał się adwokat pociągając łyk koniaku. – Nie są to przekonywające argumenty. Cała nadzieja w tym, doktorze Sturm, że znalazł pan coś poważniejszego. Mówił mi pan przez telefon o jakiejś możliwości wykazania, że Liliana Horn jest niewinna.

Obaj z Kernem patrzyli na niego wyczekująco, a on nagle odniósł wrażenie, że sobie całą tę historię z owczą skórą wymyślił.

– Nie chciałbym panów rozczarować – zaczął nieśmiało, ale po chwili opowiedział ze szczegółami, w jaki sposób trafi na fotografię zrobioną jeszcze przed przybyciem policji na miejsce czynu, jak doszedł do wniosku, że widoczne na skórze krople krwi musiała zostawić morderczyni.

– Rzeczywiście! – zawołał przejęty van Borg. – Że też o tym nie pomyślałem! Byłem przekonany, że przygotowałem linię obrony najlepiej, jak tylko mogłem, a zapomniałem spytać, czy znaleziono ślady krwi Liliany Horn! Jak mogłem o tym nie pomyśleć!

– Wspaniale! – Kern aż przyklasnął. – To wreszcie mamy powód, żeby zażądać wznowienia procesu! Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować, doktorze Sturm!

– Powoli, powolutku! – ostrzegł van Borg. – Do wznowienia sprawy to niestety nie wystarczy.

– Przecież pan sam powiedział...

– Powiedziałem tylko, że został pominięty ważny szczegół, co jeszcze nie oznacza błędu w procesie, zaś istnienie kropel krwi na podłodze nie oznacza, że Liliana Horn jest niewinna.

– Nic z tego nie rozumiem! – Thomas Kern zrobił minę, jakby miał się rozplakać.

– Wie pan, jaką grupę krwi ma pańska była żona? – spytał Sturm.

– Przypadkowo zapamiętałem. Ma grupę A, nic szczególnego.

– Rzeczywiście – przyznał Michael. – Z grubsza biorąc, trzy czwarte ludzkości ma tę właśnie grupę krwi. Należy założyć, że prawdziwy zabójca Ireny Kayser też do tej większości należy.

– Wszystko możliwe – przyznał adwokat. – Ale żeby się o tym przekonać, musi pan najpierw zrobić analizę tych kropel.

– Jednak wcześniej muszę zdobyć tę nieszczęsną skórę! – rzekł Michael. – Leży w komisariacie i nie wiem, jak ją stamtąd wydostać... Profesor Faber na pewno mi nie pomoże i dlatego pomyślałem, że może pan, mecenasie...

Adwokat kręcił głową. – Aż tak dobrych stosunków z policją to ja nie mam, doktorze. A propos policji: nie ma pan tam inspektora, z którym się panu najlepiej współpracuje?

– Inspektor Kramer! – zawołał Sturm. – To on był ze mną w willi Kayserów przy oględzinach zwłok.

– Bardzo porządny człowiek – stwierdził van Borg, gładząc palcami brodę. – Jestem pewien, że panu pomoże.

Jak się nie zgodzi, to musimy po prostu wykraść tę przeklętą skórę! – zaproponował Thomas Kern. – Dostanę ją, choćbym miał iść po nią do piekła.

– Chce pan włamać się do głównego komisariatu policji? – zaśmiał się van Borg. – Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał.

Kilka dni później Michael zaglądnął do kawiarenki, o której wiedział, że inspektor Kramer wpada tam czasami po pracy, by w spokoju wypić piwo, zanim wróci do żony i dzieci.

Nie chciał rozmawiać z inspektorem w jego biurze, bo na pewno by im przeszkadzano co chwile, nie mógł też zaprosić go do siebie, bo czułby się niezręcznie, gdyby Kramer zastanawiał się, dlaczego Sturm zaprasza go dopiero teraz, skoro znają się od dawna.

– Jak to miło spotkać kogoś znajomego! – udał, że nie spodziewał się go tu zastać. – Pozwoli pan, że się przysiądę, inspektorze?

– Na kufelek piwa? Proszę bardzo! – Kramer obrzucił go uważnym spojrzeniem małych, ciemnych oczu. – Co tam u pana, doktorze? Mam wrażenie, że nie bez powodu depcze mi pan po piętach.

– Pan ma chyba dar jasnowidzenia, inspektorze! – zdziwił się Michael, zadowolony, że może natychmiast przystąpić do rzeczy, ale też zawstydzony, że został tak szybko rozszyfrowany.

Zamówił dwa piwa, dwie wódki i opowiedział o kroplach krwi na fotografii widocznych zwłaszcza na owczej skórze przy łóżku.

– Wszystko jasne – rzekł Kramer po wypiciu do dna kieliszka wódki. – Mówi pan, że to zdjęcie zostało zrobione przed naszym przybyciem? To znaczy, że znów jakiś niezdara narobił nam bigosu. Chyba nawet wiem kto... Ten lekarz domowy, jak mu tam? Kręcił się, łązega, i musiał buciorami kopnąć tę skórę pod łóżko.

– To się zdarza każdemu, nawet przy zachowaniu daleko idącej ostrożności.

– Po co mi pan to mówi? – burknął inspektor. – To winą tamtego

starego!

– Jednak moja też, inspektorze. Jeżeli nie zauważyłem tych kropli, to powinienem ich poszukać. Pamiętaj pan, że od razu stwierdziłem, że sprawca musiał się skaleczyć.

– Nie musiał, gdyby włożył rękawiczki.

– Ale Liliana Horn miała cięte rany na kciuku i palcu wskazującym. Kiedy to napisałem w protokole, nie przyszło mi do głowy, żeby szukać śladów jej krwi na miejscu czynu.

Kramer wypił potężny łyk piwa. – Nie daje to panu spokoju, co? Rozumiem pana doskonale, doktorze, ale niech pan nie da się zwariować. Ta Horn jest winna, a zbadanie krwi tylko by to potwierdziło.

– Być może ma pan rację, ale ja nie zaznam spokoju, dopóki się nie upewnię.

– Rozmawiał pan już z profesorem Faberem? – spytał inspektor, zaglądając do pustego kufła.

– Oczywiście. Natychmiast, ale on nie chce o niczym słyszeć. Jego nie obchodzi, czy czasami Liliany Horn nie skazano niesłusznie. Liczy się tylko dobre imię instytutu i jego.

– Tak, to prawda. Rzecznawcy nie wolno popełnić błędu, a jak mu się coś takiego przydarzy, to za Boga się nie przyzna i będzie tak długo przekonywał, że czarne jest białe, aż dla świętego spokoju wszyscy przyznają mu rację.

– To przygnębiające, co pan mówi, inspektorze – zdumiał się Michael.

– Taka jest prawda, doktorze. Być może nie powinienem panu tego mówić, bo jest pan pracownikiem instytutu, ale od dawna mam wątpliwości, czy sąd powinien bezkrytycznie opierać się na opiniach rzeczoznawców, co niestety czyni coraz częściej. Czasami mam wrażenie, że sędziowie są w

ogóle niepotrzebni, bo po co? Wystarczy, że my policjanci, prześlemy fakty rzeczoznawcom, a oni wydadzą wyrok.

– Niech pan zdobędzie tę skórę dla mnie, inspektorze! – poprosił Michael załamującym głosem. – Dla pana to drobiazg, a ja muszę zbadać tę krew!

Kramer pocierał palcami koniuszek nosa.

– Czy pan się dobrze zastanowił?

– Oczywiście!

– Myślę, że dla pana ta sprawa może źle się skończyć, jeżeli to nie będzie krew Liliany Horn.

– Nieważne.

– Wszystkich biegłych sądowych będzie pan miał przeciwko sobie. Nie dlatego, że popełnił pan omyłkę, ale że oficjalnie się do niej przyznał.

Michael milczał przez chwilę.

– Nie powiem, że jest mi to obojętne, ale wolę się przyznać, niż całe życie mieć świadomość, że przeze mnie niewinny człowiek znalazł się za kratkami.

– Bravo! – inspektor uśmiechnął się. – Wątpię, czy postępuje pan rozsądnie, ale doceniam pańską postawę. Będzie pan miał tę skórę.

34

Aby uniknąć niepotrzebnej scysji z profesorem Faberem, inspektor Kramer postanowił zaczekać z dostarczeniem owczej skóry do instytutu, aż będzie wiadomo, że profesora na pewno tam nie ma. Tymczasem przez kilka następnych dni wszyscy byli na miejscu. Zdarzyły się dwa zabójstwa podczas włamania, a jakby tego było mało, do prosektorium trafił także

mężczyzna, który zasłabł za kierownicą i spowodował na mieście poważny karambol. Inspektor Kramer musiał cierpliwie czekać.

Dopiero w poniedziałek profesor wyszedł z instytutu punktualnie o piątej po południu. Na szczęście nie było żadnych pilnych zgłoszeń z policji.

Michael Sturm i Jo Kulicke przygotowywali się do wyjścia, gdy zadzwonił inspektor Kramer. Michael odłożył słuchawkę strasznie podenerwowany; nadszedł moment decydującego rozstrzygnięcia.

– Co się stało? – spytał Kulicke.

– Nic, to stara historia.

– To co, wychodzimy?

– Mam tu jeszcze coś do skończenia – rzekł Michael pochyliwszy się nad aktami rozłożonymi na biurku.

– To nie ma zupełnie sensu – skomentował Kulicke.

Żadnej odpowiedzi.

– Uważam, że to bez sensu. Zakopujesz się w pracy, byleby tylko nie myśleć o Ewie – dodał niby to mimochodem Jo.

Michael popatrzył na niego zdziwiony.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Zerwaliście przecież ze sobą.

– Ewa zerwała, nie ja.

– To właśnie miałem na myśli.

– Jeśli miałeś na myśli dokuczyć mi, to możesz się nie trudzić. Byłem przygotowany na taką ewentualność, bo po prostu zbyt często się z Ewą nie zgadzaliśmy.

Jo podszedł blisko do jego biurka.

– Słuchaj, stary, czy ty mówisz to poważnie?

– Niby po co miałbym udawać przed tobą?

– Chłopie! – Jo uderzył go po ramieniu tak silnie, że Michael aż się skulił. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Jakby ci to powiedzieć? Ewa i ja, domyślasz się... Ostatnio bardzo się do siebie zbliżyliśmy ale ja czułem się nieswojo, no wiesz... ze względu na ciebie!

Ku swojemu zdziwieniu Michael poczuł dotkliwy ból. Więc Ewa nadzwyczaj szybko spisała go na straty... Kochał ją jeszcze, czy też tak ostro zareagowała jego urażona męska duma?

– Doceniam twoją szlachetność – rzekł, a zabrzmiało to bardziej złośliwie niż przewidywał.

– Nie przesadzaj! – Jo nie czuł się urażony. – Nie należę do starej szkoły i odbicia dziewczyny przyjacielowi nie traktuję jako powodu do strzelaniny, natomiast zdaję sobie sprawę, że Ewa chodzi ze mną dlatego, że nie może chodzić z tobą. Nie chciałbym znaleźć się w sytuacji, że ty zmieniasz zdanie i wrócisz do niej. Wtedy dopiero czułbym się głupio.

– Możesz się nie martwić, stary! – rzekł Michael spontanicznie, ale czuł, że mówi szczerze. – Rozdział „Ewa” jest już dla mnie zamknięty. Bądź z nią szczęśliwy i nie daj się wziąć pod pantofel.

Jo odetchnął z ulgą. – Dziękuję, za radę, będę o niej pamiętał – rzekł ściskając mu mocno dłoń. – Cieszę się, że między nami wszystko zostaje po staremu. Powinniśmy to oblać w barze, co ty na to?

– Nie mogę teraz wyjść – rzekł krótko, a widząc rozczarowanie w oczach kolegi, uśmiechnął się. – Ale wiesz, byłbym ci zobowiązany, gdybyś też został. Mam sprawę, przy której obecność tak wiarygodnego świadka jak ty byłaby bardzo wskazana...

Pół godziny później przyszedł inspektor Kramer z owczą skórą pod pachą. Michael rozłożył ją na biurku i starannie obejrzał. Tak, nie pomylił się: na obrzeżu wyraźnie były widoczne grudki zakrzepłej krwi.

- Cholera! Ty rzeczywiście miałeś rację! – zawołał Kulicke.
- Wątpliwy powód do dumy! – mruknął Michael.
- Co mnie wtedy otumanilo, że nie obejrzałem tych śladów od razu?!

A miałem przecież tę skórę tu, w laboratorium! Lekkomyślnie potraktowałem te ślady jako rozprysnięcia krwi denatki.

- Daj spokój! Ty i lekkomyślność!

Zanieśli skórę do laboratorium, gdzie nie było już nikogo. Michael zeszkrobał delikatnie grudki krwi i wrzucił je do naczynka z roztworem soli fizjologicznej. – Spróbuję obejrzeć to na szkiełku nakrywkowym – objaśnił.

– Przy niskiej zawartości aglutyniny w osoczu jest to najlepsza metoda.

- Już wiesz, jaką grupę krwi ma Liliana Horn? – spytał Kulicke.

– Ma grupę A. Na moją prośbę sprawdził to doktor Pütz. Nawiasem mówiąc, tę samą grupę miała też Irena Kayser. Tak przynajmniej jest zapisane w protokole sekcji zwłok.

– Gdyby się okazało, że krew na skórze należy do innej grupy... – zastanawiał się inspektor Kramer.

– ... to znaczy, że śmiertelne cięcie zadał ktoś nieznamy, którego krew właśnie badamy.

– Może się okazać, że pielęgniarka opiekująca się Ireną Kayser skaleczyła się na przykład przy robieniu zastrzyków – zauważył przytomnie Jo Kulicke.

– Wykluczone! – sprzeciwił się Michael. – Pacjentka była przewrażliwiona na punkcie czystości, a gdyby pielęgniarce, skądinąd dziewczynie niezwykle skrupulatnej i odpowiedzialnej, coś takiego się przydarzyło, uprzątnęłaby plamy natychmiast. Tymczasem na futrze krople krwi nie są nawet rozmazane!

Tymczasem grudki rozpuściły się w roztworze. Michael nabrał

ostrożnie próbkę, nałożył na szkiełko mikroskopowe, osuszył i nakrył płytką szklaną.

Kulicke tymczasem wyjął z lodówki zakonserwowane próbki do oznaczania grup krwi. – Od której zaczniemy? – spytał.

– Najlepiej od A – zdecydował Sturm.

– To właśnie chciałem zaproponować – odezwał się inspektor Kramer spojrzawszy na zegarek. – Jeżeli zaschnięta krew należy do tej grupy, to możemy nie robić dalszych prób.

– Chciałbym, żeby tak było. Ze względu na ciebie, Michael... – rzekł Kulicke widząc, z jaką uwagą jego kolega patrzy w obiektyw, kiedy on z boku wkraplał roztwór testujący. – I co? – spytał i ciągnął dalej: – Patrz dobrze, bo jeśli badana krew należy do Liliany Horn, a wszystko na to wskazuje, możesz zaoszczędzić sobie wielu kłopotów. Nie musisz nawet informować prokuratora, skoro twoje odkrycie nie wniesie do sprawy niczego nowego. Jeśli jednak okaże się, że nie jest to krew Liliany Horn, to wpakujesz się w porządne bagno.

– Zdaje się, że jedną nogą już w nim jestem – rzekł Michael odsuwając się od mikroskopu. – Spójrz no na to!

– Cholera! – zaklął Kulicke i zaczął regulować ostrość obrazu w mikroskopie. Wyraźna i silna aglutynacja...

– Dobrze zrozumiałem, że obie próbki krwi nie mieszają się ze sobą? – upewnił się inspektor Kramer.

– Bardzo dobrze, inspektorze! – pochwalił go Jo.

– Niech pan popatrzy: widać, jak poszczególne krwinki kłębią się wokół siebie – objaśnił i poprosił Kramera do obiektywu.

– Jakby je coś ścięło – skomentował inspektor.

– W istocie, następuje proces ścinania krwi – rzekł Sturm,

przygotowując następną próbkę. – No, zobaczymy, co tu się będzie działo!

Czekając, aż próbka wyschnie i można ją będzie nakryć szkiełkiem, Michael nawet przez moment nie pomyślał o konsekwencjach, jakie wynik tego badania może spowodować dla niego, a cały czas miał wrażenie, że jest o krok od zdobycia dowodu na niewinność Liliany. Kulicke tymczasem patrzył jeszcze w obiektyw pierwszego mikroskopu.

– Do licha, może jednak jeszcze zaczną się mieszać? – mruknął. – Cudów przecież nie ma! Przynajmniej ja w nie nie wierzę.

– Ale ja wierzę! – rzekł Michael wkładając próbkę do drugiego mikroskopu, by zakropić ją tym razem zawiesiną krwi grupy B.

Nie odzywał się długi czas patrząc jak urzeczony w obiektyw.

– No, co tam? – niecierpliwił się Kramer. – Niechże pan coś powie, doktorze!

Sturm odwrócił się blady jak ściana. – Mam go! – wyszeptał przejęty. – Mam dowód! Ta krew na futrze należy do grupy B! Liliana Horn jest niewinna i miała rację, że się nie przyznawała!

Tym razem Kramer pierwszy dobiegł do mikroskopu. Wielka kropla widoczna w obiektywie była równomiernie zabarwiona na czerwono, tak pośrodku, jak na obrzeżach. Zaszuszonej krwi z grupy B wymieszała się z zakonserwowaną próbką krwi grupy B tworząc jednorodną mieszaninę.

– Aż trudno uwierzyć! – mruknął Kramer. – Mnie, staremu lisowi, musiało przytrafić się coś takiego! A ja gotów byłem dać głowę, że ta Horn jest winna!

– Jeżeli nie ona, to kto zabił? – spytał Kulicke.

– Ot, pytanie! Będziemy główkować od nowa – rzekł Kramer.

– Mam pewne podejrzenie – odezwał się Michael z wyraźnym wahaniem.

– Jeszcze jedno?! – roześmiał się Kulicke.

– Niech mu pan nie dokucza! – rzekł Kramer i mrugnął do żartownisia. – Przekonaliśmy się przed chwilą, że jego podejrzenia potrafią być uzasadnione. Kogo pan ma na celowniku, doktorze?

Michael opowiedział o swojej wizycie w willi Kayserów i wnioskach, które z niej wyciągnął.

– No, coś w tym jest, panowie! – przyznał inspektor.

– Sprawdzi pan to, co powiedziałem, inspektorze? – upewnił się Michael.

– Między innym także to, doktorze. Za pierwszym razem popełniliśmy błąd i zbyt szybko uznaliśmy, że mamy winnego, bo tak nam było wygodniej. Tym razem sprawdzę do końca każdy ślad. Nie ominę żadnej kobiety, która kiedykolwiek miała coś wspólnego z Kayserem, zresztą mężczyzn też, bo przecież nie wiemy na pewno, że morderstwa dokonała kobieta. Zacznę jednak od powiadomienia prokuratury i spróbuję przekonać ich do wznowienia procesu – inspektor wstał i szykował się do wyjścia. – Odwalił pan kawał porządnej roboty, drogi doktorze – rzekł zwijając owczą skórę pod pachą. – Rozumiem, że wynik tego badania dostanę na piśmie. Muszę mieć jakiś dowód w rękę, no nie?

35

Na podstawie nowych, nie znanych podczas pierwszego procesu faktów, adwokatowi van Borgowi udało się doprowadzić do wznowienia rozprawy jeszcze przed wakacjami.

Prasa jak zwykle wcześniej dowiedziała się o zwrocie w sprawie morderstwa Ireny Kayser i nazwisko Liliany Horn znowu znalazło się na

czołówkach gazet. *Bursztynowooka piękność ofiarą pomyłki sądowej* – twierdził jeden z dziennikarzy, a inny podał bliższe szczegóły: *Liliana Horn trafiła do więzienia, bo biegły popełnił błąd*. Zgodnym chórem, kobietę, którą niecały rok temu okrzyknęli wyrachowaną morderczynią, teraz żalowali jako ofiarę wymiaru sprawiedliwości.

Z rozpętanej nagonki prasowej Michael Sturm wyszedł raczej obronną ręką. Wypominano mu wprawdzie, że przeoczył decydujący o winie szczegół, ale od razu chwalono, że sam naprawił swój błąd i zamiast go zataić, zdecydował się zawiadomić prokuraturę.

Łagodny ton prasy – niektóre gazety wręcz wychwalały bohaterską postawę doktora Sturma! – niewiele mu pomógł, gdyż kozłem ofiarnym nie stał się on, ale profesor Faber, a tego środowisko fachowców nie mogło darować młodemu adeptowi medycyny sądowej.

– Bardzo, ale to bardzo się na panu zawiodłem! – rzekł profesor Faber i odwrócił się plecami, nie dając swojemu długoletniemu asystentowi szans na wyjaśnienie, obronę czy przeprosiny. – Do czasu wygaśnięcia kontraktu wysyłam pana na urlop!

To jeszcze nie było najgorsze, bo Michael i tak zamierzał złożyć wypowiedzenie, ale po kilku dniach przyszło pismo z Kassel, w którym informowano go, że w związku z ostatnimi wydarzeniami zarząd miasta nie może mu powierzyć tak odpowiedzialnej funkcji jak kierowanie instytutem medycyny sądowej i dlatego wszystkie dotychczasowe uzgodnienia uważa za nieaktualne.

– Ja bym im tego nie darował! – rzekł Kulicke, gdy się o tym dowiedział. – Oddaj sprawę do sądu. Podpisałeś przecież kontrakt!

Michael kręcił głową. – Nie mam ochoty włączyć się po sądach. Zraziłbym sobie wszystkich, którzy przynajmniej w duchu jeszcze mnie

popierają, a niczego bym nie zyskał. Także van Borg twierdzi, że nie mam szans.

– Mój Boże! Co ty takiego zrobiłeś? Pomyliłeś się, a to przecież może zdarzyć się każdemu. Niech mi ktoś pokaże lekarza lub chociażby biegłego sądowego, który nigdy nie popełnił błędu!

– Ja właśnie pokazałem, że takich nie ma, a poczytano mi to jako zbrodnię. Więc uważaj, co mówisz! – zaśmiał się Michael.

Nie martwił się zbytnio o swoją przyszłość. Lekarzy sądowych brakowało, więc pracę znajdzie, choć na jakiś czas na pewno będzie musiał pożegnać się z nadzieją, że obejmie kierownictwo któregoś z instytutów.

Matka nie stawiała Michaelowi żadnych zarzutów ani też nie narzekała, że się o niego martwi. Był jej za to szczerze wdzięczny. Pocieszał się, że zerwanie z Ewą nastąpiło w odpowiednim momencie, bo z pewnością z załamania się jego kariery zrobiłaby trudne do zniesienia piekło.

Czas spędzał na redagowaniu podań o przyjęcie do pracy, odpowiedzi na oferty i studiowaniu fachowej literatury, a w chwilach załamania pocieszał się myślą, że zrobił, co do niego należało.

Tymczasem na każdą ofertę przychodziła odpowiedź odmowna. Dopiero teraz Michael zdał sobie sprawę, jak bardzo naraził się całemu środowisku, że w zasadzie znalazł się na straconej pozycji. Zastanawiał się nad zmianą zawodu, ale to oznaczałoby stratę kilku lat i odsunięcie od medycyny sądowej, dyscypliny będącej dla niego czymś więcej niż hobby, z którego można zrezygnować z dnia na dzień i poszukać sobie innego.

Wpadał w coraz większe przygnębienie. Gdyby chociaż mógł odwiedzić Lilianę Horn, zobaczyć ją, porozmawiać! Jednak jej adwokat stanowczo mu to odradzał, gdyż nawet cień podejrzenia, że Michael kierował się prywatnym interesem, mógłby stać się pretekstem do

podważenia wiarygodności jego protokołu.

Kiedyś przypadkiem zobaczył na mieście Ewę, jak pod ramię z Jo oglądali z zainteresowaniem wystawy sklepowe. Była to dobra okazja, aby podejść i udowodnić, że nie ma do nich pretensji, że wszystko jest w porządku. Odruchowo przeszedł jednak na drugą stronę ulicy, przyznając ze wstydem, że jest jednak tchórzem.

Niespodziewana pomoc nadeszła i tym razem od inspektora Kramera. Pewnego dnia starszy siwy pan w szarym filcowym kapeluszu, z ponurą miną i świdrującymi małymi oczkami, zjawił się pod drzwiami mieszkania doktora Sturma.

Michael nie skarżył się i nie przyznawał, że jego sytuacja jest niewesoła, ale przed inspektorem niczego nie dało się ukryć.

– Nic ciekawego jeszcze pan nie znalazł, co? – spytał wprost.

– Jestem dość wybredny, jak pan wie – próbował żartować Sturm.

– Hm, to pewnie moja propozycja też się panu nie spodoba. Przypuszczam, że pan słyszał o współpracy naszej policji z rządem afkańskim? Otóż tamtejsze władze zażyczyły sobie, żebyśmy im urządzili instytut medycyny sądowej, a ja od razu pomyślałem, że pan pewnie z chęcią by się tym zajął. Oczywiście trzeba wszystko zaczynać od początku. Nasz rząd wyasygnował na to sporo pieniędzy, na pensje również, co dla młodego, zdolnego lekarza jest nie lada gratką.

Michael nagle się ożywił: – Sądzi pan, że miałbym szansę na to stanowisko, inspektorze?

– Jak najbardziej! Tylko musi pan zaraz złożyć ofertę.

Nie ulegało wątpliwości, że dla Michaela było to idealne rozwiązanie. Wyrwie się z nieprzychylnego mu środowiska, rozpocznie pionierskie dzieło w dalekim kraju, pozna inne życie i podejmie samodzielną pracę.

Był ogromnie wdzięczny inspektorowi, nie wiedział jak mu dziękować za wyrwanie z przygnębienia i przywrócenie nadziei na lepszą przyszłość.

36

Powtórna rozprawa przeciwko Lilianie Horn trwała tylko jeden dzień i wyrok był w zasadzie do przewidzenia od samego początku.

Nowi świadkowie – reporter, który zrobił pierwsze zdjęcie w miejscu zbrodni, i doktor Michael Sturm, który zwrócił uwagę na krople krwi przy łóżku zmarłej i przeprowadził analizę – dostarczyli dowodów, że Liliana Horn nie była osobą, która dokonała morderstwa.

Liliana przyszła do sądu ubrana w prosty ciemny kostium, bez makijażu, z nie ufarbowanymi włosami. Nie sprawiała wrażenia kobiety załamanej, ani też – jak poprzednio – wyzywającej i pewnej siebie. Z poważną miną, lekko spięta, pozowała reporterom szukającym sensacji i kamerzystom.

O trzeciej po południu ogłoszono już wyrok: wobec oczywistych dowodów niewinności, Liliana Horn jest wolna.

Chwilę później Michael poszedł do salki konferencyjnej, gdzie adwokat czekał ze swoją klientką, aż dziennikarze i publiczności rozejdą się do domu.

– Jak, doktorku, teraz pewnie pan oczekuje, że z radości rzucę się panu na szyję? – przywitała go Liliana Horn.

Prawdę mówiąc, spodziewał się podziękowania, a jej sarkastyczny ton sprawił mu przykrość.

– Bynajmniej – odpowiedział szorstko.

– To dobrze, bo skoro wpędził mnie pan w to bagno, to chyba psim

obowiązkiem było mnie z niego wydostać.

– Za mocno powiedziane – wtrącił się mecenas van Borg. – Przeważnie ludzie wybierają własną wygodę, a od psich obowiązków, jak to pani raczyła nazwać, wolą się wymigać.

– Też prawda! – uśmiechnęła się Liliana i wyciągnęła swoją szczupłą dłoń do Michaela. – Dziękuję, doktorze. Pomógł mi pan odzyskać wiarę w ludzi.

– Teraz zabrzmiało to znacznie lepiej – zauważył van Borg.

– Co pani zamierza robić? – spytał Michael.

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami. – Zaszyję się gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, poszukam pracy i zacznę nowe życie. Być może pod zmienionym nazwiskiem.

– To chyba nie będzie konieczne. Przecież została pani uniewinniona.

– Owszem, ale kiedy ktoś stanął już pod zarzutem morderstwa, zawsze będzie o coś podejrzewany. Tacy są ludzie, doktorze, i mogę się z panem założyć, że jeszcze dziś ktoś podejdzie do pana i spyta: czy ona naprawdę tego nie zrobiła?

– Przecież przedstawiłem dowody...

– Przekonywające, ale nie dla wszystkich, doktorze. Dopóki prawdziwy morderca nie zostanie ujęty, ja będę wśród podejrzanych, choćbym nie wiem co jeszcze... – uśmiechnęła się. – Czy musimy dalej o tym rozmawiać? Jestem wolna, a to już coś, nie, co ja mówię? – To najważniejsze! Bo tylko ktoś, kto już siedział w pudle, potrafi to docenić.

Van Borg podszedł do okna i popatrzył na plac przed budynkiem sądu.

– Właściwie możemy już wyjść – rzekł.

– Liliano! – Michael chwycił ją za ramiona. – Pani zaczyna nowe życie, ja również, nie moglibyśmy spróbować razem?

Patrzyła na niego bursztynowymi oczyma i pokręciła głową.

– Chce pani zmienić nazwisko... Proponuję moje – wyjąkał.

– To nie byłoby najmądrzejsze rozwiązanie – zaśmiała się. – Wie pan, co powiedzieliby ludzie? Zawróciła mu w głowie, a on pokombinował z tą krwią, żeby wydostać ją z pudła! Nie, nie, mój drogi. Byłaby z nas żalosna para.

– Naprawdę liczy się pani z tym, co powiedzą ludzie? Wyjeżdżam do Afganistanu, a tam nikt nas nie zna. Kiedyś, o ile pamiętam, wcale nie przejmowała się pani plotkami.

Wyśliznęła się zręcznie z jego rąk. – Prawdę mówiąc, teraz też się nie przejmuję. Pod tym względem już się nie poprawię. Pan narobił sobie przeze mnie dość kłopotów, więc nie mogę rujnować pana zupełnie.

– Nonsens, Liliano! Nie jestem mięczakiem i nie tak łatwo mnie zniszczyć.

– Nie, nie! Może pan mówić, co chce, ja i tak się nie zgodzę. Popęłniałam już w życiu dosyć głupstw i wyczerpałam ich limit na długo do przodu.

– A gdybym wyznał, że panią kocham?

– To powiem krótko: oboje mamy przed sobą jeszcze ładnych parę lat życia. Po co się spieszyć, doktorze? Los potrafi czasami płatać także miłe niespodzianki – podała mu rękę, a spojrzawszy na adwokata spytała: – Idziemy?

Michael patrzył, jak wyprostowana, zgrabna z wysoko uniesioną głową wychodziła z pokoju, i poczuł się jednocześnie zdruzgotany i szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w życiu.

Przez kilka najbliższych tygodni i miesięcy Michael był bardzo zajęty. Jego oferta została przyjęta i otrzymał już kontrakt na stanowisko dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej w Kabulu.

Okazało się jednak, że w afgańskiej stolicy instytut to zaledwie gołe mury i całe wyposażenie należy skompletować od zera. Pieniądze wyasygnowało niemieckie ministerstwo rozwoju gospodarczego, ale żeby je wydostać, Michael musiał spędzić wiele dni w Bonn i przeprowadzić tam dziesiątki żmudnych negocjacji. Ponadto musiał osobiście dopilnować, aby zakupiony sprzęt i materiały zostały, prawidłowo zapakowane i odprawione samolotami do Kabulu.

Wiele niespodziewanych kłopotów miał ze znalezieniem specjalisty – chemika, który gotów byłby rzucić pracę w Niemczech i wyjechać z nim do Afganistanu, ale w końcu taki desperat się znalazł.

Mimo nawału pracy Michael ani na chwilę nie przestawał myśleć o Lilianie; cały czas miał nadzieję, że uda mu się przekonać ją do wyjazdu z nim do Afganistanu. Wiedział jednak, że ona zmieni zdanie dopiero, gdy prawdziwy zabójca Ireny Kayser znajdzie się za kratkami.

Kiedyś nawet spytał inspektora Kramera, czy podjął już jakieś kroki w tym kierunku. Ten zaś wzruszył ramionami:

– Mamy już pewien trop... pewne podejrzenia, ale nie uderzymy, zanim wszystko nie będzie zapięte na ostatni guzik.

– Kiedy to będzie? – dopytywał się Michael.

– Pan chyba nie oczekuje, że podam konkretny termin? Ale obiecuję, że zrobimy wszystko, by stało się to jak najprędzej. To leży także w naszym interesie.

Zapewnienie inspektora musiało na razie wystarczyć.

38

Liliana Horn zaszyła się gdzieś w Düsseldorfie, ale jej adwokat znał adres i nie widział powodu, żeby go nie dać Michaelowi.

W jeden z ostatnich wieczorów Michael postanowił ją odwiedzić. Sprzedał już swojego volkswagena, pojechał więc pociągiem.

Zdziwił się, że Liliana wynajęła mieszkanie przy Rheinallee, w dzielnicy uważanej za luksusową. Stary, pięciopiętrowy dom z ozdobną fasadą wykładaną piaskowcem, rzeczywiście robił imponujące wrażenie.

Michael wjechał windą na piąte piętro, wszedł parę schodów wyżej i stanął pod drzwiami, gdzie na wizytówce widniało nazwisko „Liliana Horn” a pod spodem „Modystka”.

Otworzyła natychmiast, gdy zadzwonił. Wyglądała znów elegancko, jak wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz.

W złotej lureksowej podomce wydała się znacznie szczuplejsza i zgrabniejsza – to pewnie wynik diety, którą rozpoczęła po wyjściu z więzienia. Włosy dalej nosiła krótko obcięte, ale tym razem miały rudawy odcień i były lekko kręcone. Jedynie po zmarszczkach wokół bursztynowożółtych oczu było widać, że miała za sobą ciężkie przeżycia.

Choć nie zapowiedział swojej wizyty – z obawy, że może się nie zgodzić – Liliana wcale nie wyglądała na zaskoczoną.

– Witam, doktoru! – podała mu rękę. – Już się zastanawiałam, kiedy wreszcie zagładnie pan do mnie!

– Była pani pewna, że przyjdę?

– Absolutnie! Po tym, jak wyznał mi pan miłość i złożył propozycję

małżeństwa, byłoby nie fair zniknąć tak bez pożegnania. A wiem, że pan zawsze postępuje fair.

– Dziękuję.

Pokój, do którego go wprowadziła, był przestronny, umeblowany ze smakiem, można by rzec z przepychem, a pochyłe ściany i kominek nadawały mu swoistego uroku.

– Jak pan widzi, posunęłam się krok do przodu – upредиła jego ewentualne pytanie. – Dla kogoś, kto ponad rok siedział w więziennej celi, poczucie komfortu staje się czymś niezwykle ważnym. Czyba pan się ze mną zgodzi?

Po jego minie zauważyła, że nie wie, co odpowiedzieć. Dodała szybko: – Nawiasem mówiąc, to wszystko wcale nie jest takie drogie, jak można by sądzić. Kupiłam ten apartament wraz z całym tym kramem.

– Mimo to musiała pani sporo zapłacić.

– A jakże! – zaśmiała się. – Zaraz mnie pan spyta, skąd na to wzięłam pieniądze!

– Mnie nie wypada stawiać takich pytań – rzekł zły na siebie, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku.

– Nie wypada?! A któż inny miałby prawo o tym ze mną rozmawiać? To przecież pan w tak znaczący sposób pokierował moim losem. Nie mam zresztą niczego do ukrycia. Usiądźmy, proszę. Napije się pan wódki?

– Bardzo chętnie.

Wyjęła z barku pełną butelkę i podała ją Michaelowi.

– Byłby pan uprzejmy otworzyć? – poprosiła ze znaczącym uśmiechem na ustach. – Pan wie, że zawsze mam z tym kłopoty.

Kiedy mocował się z aluminiową zakrętką, Liliana postawiła na czerwonej marmurowej płycie stołu dwa kieliszki i usiadła na niskim

skórzanym fotelu naprzeciwko niego.

– Za wolność! – podniosła swój kieliszek i upiła łyk.

– Niech pan przyzna, doktorku, że spodziewał się zastać mnie w łachmanach i w klitce pod schodami!

– Bez przesady, ale muszę przyznać, że nadzwyczaj szybko otrząsnęła się pani po tym wszystkim.

– Niestety, tak nie jest – odpowiedziała poważniejąc nagle. – Sama nie przypuszczałam, że jestem tak mało odporna psychicznie. Dotąd nie mogę się zdecydować na podjęcie pracy. Kiedy pomyślę o pytaniach, spojrzeniach wymienianych za moimi plecami, szeptach i plotkach na mój temat... – otrząsnęła się. – Nie zniósłabym tego!

– Gdybyśmy się pobrali...

– ... oboje znaleźlibyśmy się w podobnej sytuacji. Nie, to jest temat, na który wolę z panem nie dyskutować. Lepiej niech pan posłucha, jak się urządziłam.

Zaczęła od tego, że zawsze lubiła haft, a wyszywanie modnych drobiazgów dla siebie sprawiało jej wielką przyjemność i dawało satysfakcję. Przed laty właścicielka butiku w Dusseldorfie, u której często robiła zakupy, zainteresowała się jej haftowanymi drobiazgami i zaproponowała jej współpracę, ale wtedy Liliana pracowała jako sekretarka, dorabiała w agencji towarzyskiej, więc uznała propozycję za nieopłacalną finansowo.

W więzieniu spojrzała na swój talent z zupełnie innej strony. Poprosiła adwokata, aby umożliwiono jej zajęcie się haftem, głównie dla zabicia nudy. W ciągu kilku dni zwykły szetlandzki sweterek zamienił się w jej rękach w piękną haftowaną bluzkę wieczorową i trafił do znajomej właścicielki butiku. Była zachwycona. Na jej prośbę dyrekcja więzienia pozwoliła

Liliane przyjmować zlecenia.

Po wyjściu na wolność przekonała się, że sweterki z etykietką „Model Liliana Horn” idą jak ciepłe bułeczki, i to bynajmniej nie ze względu na nazwisko. Zaczęła projektować nowe modele, ale nie wyszywała ich sama, tylko zlecała kobietom pracującym systemem chałupniczym. Planowała rozkręcić interes tak, aby w każdym większym mieście istniał butik sprzedający jej wyroby.

– Dzielna i niesamowicie pracowita! – wyrwało mu się.

– Nie przeczę, ale też wiele ryzykuję, gdyż mogę na przykład nie trafić w gust klientek albo w potrzeby rynku...

– Ale pani ma dość odwagi – rzekł. – Myślę, że właśnie odwagą zaimponowała mi pani od początku. Pani ma klasę, Liliano? Czy zechciałaby pani...

– Tylko niech pan znowu nie zaczyna!

– ... zjeść ze mną kolację?

– Nie boi się pan pokazywać w moim towarzystwie?

– Nic a nic!

– Dobrze. Idę się przebrać – odpowiedziała bez wahania.

– A ja zamówię stół – rzekł sięgając po telefon.

– U Mullera i Festa... odpowiada pani?

– Zgadza się bez zastrzeżeń.

Chwilę później siedzieli naprzeciwko siebie w eleganckiej restauracji i przez okno na pierwszym piętrze podziwiali wspaniały widok na Königsallee, popijając wytrawny chablis podany ze szczupakiem w sosie kawiorowym.

W obcisłym czarnym kostiumie Liliana wyglądała uroczo, wręcz dystyngowanie. Jeden z szybko i sprawnie obsługujących kelnerów

rozpoznał ją, ale nie wywołał niepotrzebnej sensacji.

Michael opowiadał o Afganistanie, a wiadomości zdobyte z publikacji o tym kraju starał się przedstawić w jak najlepszym świetle.

– Na pewno jest pan szczęśliwy, że wkrótce zobaczy pan to na własne oczy – rzekła Liliana.

– Szczęśliwy będę dopiero, gdy pani pojedzie ze mną.

– Nie, Michael, nie pojedę.

Wzruszył się, gdyż po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. – Nie musiałyby pani rezygnować z pracy. Wręcz przeciwnie...

– Nie! – przerwała mu tak zdecydowanym tonem, że nie próbował już powracać do tego tematu.

Na koniec Michael zamówił butelkę francuskiego szampana „Pommery” rocznik 73. – Musimy jakoś uczcić moje rozstanie z ojczyzną – rzekł i z lekkim zażenowaniem musiał przyznać, że bardziej mu żal rozstawać się z Lilianą Horn niż z krajem, a nawet matką, która dla niego tyle przecież znaczyła.

Wrócili taksówką do domu przy Rheinallee w prawdziwie szampańskim nastroju. Przy drzwiach wejściowych Michael zdobył się na odwagę i pierwszy raz pocałował Lilianę. Odwzajemniła się.

– Może wejdiesz na górę? – spytała potem.

Zrozumiał jej propozycję i choć miał wielką ochotę, zdobył się na niebywały wysiłek i rzekł: – Nie, Liliano, nie w ten sposób.

– Nie sądzisz, że jestem ci to winna?

– Pragnę cię, Liliano, ale całą i na zawsze. Nie potrafiłbym wziąć cię na chwilę, a potem natychmiast utracić.

– Może się okazać, że wcale nie jestem tak dobra, jak ci się wydaje.

– Chcesz być cyniczna, to bądź... ale ja cię kocham.

Pocałowali się jeszcze raz i Michael nie miał wątpliwości, że ona pragnie go równie mocno jak on ją.

– Chodź na górę – nalegała.

– Jeżeli obiecasz, że wyjdiesz za mnie.

– Nie mogę i ty dobrze wiesz dlaczego. Nie rozumiesz, że...

– W takim razie oboje będziemy musieli trochę poczekać – puścił ją – ale pamiętaj, że ja nie dam za wygraną.

Taksówkarz zdążył odjechać i Michael ruszył wielkimi krokami przed siebie. Liliana stała i czekała, aż jego sylwetka zniknie w ciemnościach.

39

Kabul od razu wydał się Michaelowi bajecznym miastem i od pierwszej chwili był nim oczarowany. Już jazda z lotniska do centrum pełna była wrażeń. Obok nędznych zabudowań, maleńkich meczetów, pośród pasących się stad owiec i kóz stały nowoczesne, monumentalne budowle, między innymi betonowe gmachy kabulskiego radia.

Stado wielbłądów chodziło w kółko po rozłożonych na ziemi dywanach, które następnie wrzucano do rzeki, gdzie odzyskiwały jaskrawe kolory przed wysuszeniem.

Samo miasto miało również orientalny charakter, ale z wyraźnymi już wpływami Zachodu.

Pierwszych kilka dni młody lekarz sądowy spędził w luksusowym hotelu „Kabul”, ale szybko zdecydował się na jedno z mieszkań, które mu zaproponowano. Ponieważ cały czas liczył, że uda mu się przekonać Lilianę, wybrał domek w dzielnicy dyplomatów, przeznaczony dla rodziny, ogrodzony wysokim murem, który obejmował również ogród.

Dom należał niegdyś do bogatego afgańskiego kupca i był wyposażony zgodnie z jego gustem. Na podłogach leżały puszyste kobierce, szafy ze szlachetnego drewna były bogato rzeźbione, przy mniejszych i większych stołach stały skórzane pufy, kanapy, a także fotele lub krzesła. Z sufitu zwisały na miedzianych łańcuchach lampy z kolorowymi żarówkami.

Michael był pewien, że Lilianie by się tu spodobało, przynajmniej na początku, bo nic nie stało na przeszkodzie, by wynająć puste mieszkanie albo nawet rozpocząć budowę domu na jednym z przedmieść stolicy. Ale o tym to już musiałaby ona zdecydować.

W pracy nie miał zbyt dużo zajęć, gdyż większość z wysłanych z Niemiec instrumentów jeszcze nie nadeszła. Sekcji ani badań laboratoryjnych nie można było wykonywać, więc pierwsze przypadki Michael musiał oceniać „na oko”, co zresztą nie było wcale trudne, gdyż denaci byli przeważnie ofiarami bójek z widocznymi zranieniami zewnętrznymi.

Czasu wolnego miał dość dużo i wykorzystał go na poznanie kraju i ludzi, z ich zwyczajami, a także z obowiązującym prawem i metodami działania tamtejszej policji.

Ciekawostką były dla niego afgańskie więzienia. Państwo nie zapewniało zatrzymanym wyżywienia ani odzieży: los więźniów zależał więc od krewnych. Jedną z kar orzekanych oficjalnie przez sądy było wykluczenie z rodu. Skazańca w takiej sytuacji nie przyjmowano do innych rodów i w rezultacie staczał się on coraz niżej, aż w końcu stawał się mordercą albo też padał ofiarą mordu.

Chłosta za drobne przewinienia była na porządku dziennym.

Michael był pewien, że tamtejsze prawo zostanie ucywilizowane i miał nadzieję, że swoją pracą choć częściowo się do tego przyczyni.

Z ambasadą niemiecką nawiązał kontakty już od pierwszego dnia. Było to o tyle ważne, że w ortodoksyjnie muzułmańskim kraju nie można kupić alkoholu, a później się okazało, że z Europy trzeba sprowadzać również konserwy i solone masło. Składano zamówienia w ambasadzie, a po mniej więcej czterech tygodniach przychodziły kontenery z towarem.

Wynajęcie służby domowej nie było problemem. Michaelowi wystarczyłby jeden służący – kobietom afgańskim nie wolno pracować w domach cudzoziemców – ale szybko się okazało, że jest to niemożliwe, bo nikt z tubylców nie potrafił zająć się wszystkimi pracami domowymi. Jeden umiał tylko czyścić buty, ubrania i dywany, inny znał się jedynie na kuchni, trzeci na pracy w ogrodzie, a czwarty – pomiatany przez trzech pozostałych – szorował na klęczkach podłogi.

Zaletą tej ekipy było to, że nie trzeba było ich żywić, ba, można było zostawić kuchnię i spiżarnię otwarte na ościerni, bo dla prawdziwych muzułmanów europejskie, a więc chrześcijańskie jedzenie było po prostu nieczyste.

O tych i podobnych „odkryciach” Michael pisał w długich listach do Liliany. Listy te – jak mu poradzono – sam zanosił na pocztę i nie odchodził od okienka, dopóki urzędnik nie postawił na nich stempla. Zdarzało się bowiem, że urzędnik odklejał nie opieczetowane znaczki, a list wrzucał do kosza. Pocztą lotniczą list szedł do Europy przynajmniej dziesięć dni, więc na odpowiedź trzeba było czekać prawie miesiąc. Liliana odpisywała, ale wciąż nie były to słowa, na które Michael czekał z utęsknieniem, mimo to siadał i wysyłał następny list.

O nowych aresztowaniach w związku z morderstwem Ireny Kayser dowiedział się jednak nie od Liliany, a z niemieckiej gazety.

Dzienniki docierały do ambasady w Kabulu z sześciotygodniowym

opóźnieniem i Michael rzadko kiedy po nie sięgał. Tymczasem któregoś dnia na bazarze zobaczył leżącą na stoliku niemiecką gazetę sprzed kilku dni. Zapewne przywiózł ją ze sobą jakiś turysta i po przeczytaniu przypadkowo zostawił w barze.

Michael przejrzał z zainteresowaniem pierwszą stronę i schował gazetę do kieszeni, by wieczorem w spokoju i z przyjemnością nacieszyć się wiadomościami z ojczyzny.

Usiadł na tarasie i zaczął od aktualności, które tym razem były rzeczywiście świeżej daty, a nie – jak zazwyczaj – mocno przeterminowane.

Na drugiej stronie znalazł informację, która od razu zatkała mu dech: *Niespodziewany zwrot w sprawie morderstwa Ireny Kayser. Zaczął czytać: Wczoraj policja aresztowała Geraldinę L., od wielu lat kochankę przemysłowca Kurta Kaysera. W czasie przesłuchania przyznała się do zamordowania jego ciężko chorej małżonki. Morderstwo to ponad rok temu zbulwersowało opinię publiczną nie tylko w Nadrenii, ale prawie w całych Niemczech...*

Dalej dziennikarz przedstawił fakty, które Michael znał aż za dobrze.

Oskarżona zeznała, że dokonała tego czynu, aby uwolnić ukochanego od udreki, jaką było dla niego małżeństwo z nieuleczalnie chorą kobietą. Przy okazji oskarżyła o współudział Kaysera, który – jak się okazało – nie dotrzymał danej jej obietnicy małżeństwa. Fabrykant tymczasem zaprzecza, jakoby brał udział w planowaniu i dokonaniu zbrodni...

Michael chwycił za telefon i zadzwonił do szefa kabulskiej policji. – Muszę natychmiast wracać do Niemiec – zawołał. – Jeżeli jest połączenie, to chciałbym polecieć jeszcze dziś.

– Tak? Chyba nie chce nas pan porzucić? Nie podoba się panu Kabul? A może jest pan niezadowolony z warunków kontraktu?

– Wręcz przeciwnie, chcę tu wrócić z moją narzeczoną i urządzić wesele!

– A, to co innego. Dam panu natychmiast urlop okolicznościowy. Dostał pan pewnie telegram... Gratuluję!

Michael podziękował i uśmiechnął się. Afgańczyk pewnie myślał, że w tym rzekomym telegramie przysłała wiadomość, aby przyjechał, bo narzeczona spodziewa się dziecka. Ale nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.

Zapakował rzeczy, które wpadły mu pod ręce, wsiadł do służbowego mercedesa i popędził na lotnisko, myśląc już tylko o jednym: wkrótce zobaczy Lilianę Horn i porwie ją w ramiona.

40

Oczywiście Liliana wcześniej od Michaela wiedziała o aresztowaniu Geraldiny L. i jej zeznaniach. W pierwszej chwili, w porywie nieopisanego szczęścia gotowa była natychmiast wysłać depezę do Kabulu, ale potem nagle, bez żadnego powodu, zrezygnowała z zamiaru.

Młody lekarz, o którym wiele myślała i zastanawiała się nad jego postępowaniem w czasie długich bezsennych nocy i monotonnych zajęć, bynajmniej nie był jej obojętny. Nie potrafiła sobie odpowiedzieć, czy go kocha, ba, nie wiedziała, czy jeszcze w ogóle potrafi kochać kogokolwiek, ale nie miała wątpliwości, że znaczy on dla niej więcej niż każdy inny człowiek.

Po tragicznych przeżyciach wprost marzyła, żeby uciec na drugi koniec świata i rozpocząć nowe życie, ale nie zdobyła się na odwagę, by zatelefonować do Michaela. Dzielili ich ogromna odległość, listy szły bardzo długo; kto wie, czy on jeszcze o niej pamięta? Jeżeli tak, to niech

odezwie się pierwszy. Nie będzie mu się narzucała.

Korzystała z odzyskanej wolności, bawiąc się w kręgu kilku nowych znajomych, czasami bez żadnego zaangażowania pozwalała sobie na drobny flirt. Raz nawet, po przechadzce w deszczu po starym mieście z młodym człowiekiem, studentem akademii sztuk pięknych, miała ochotę zaprosić go do swojego mieszkania, jednak przypomniała sobie o Michaelu i zostawiła przemokniętego studenta pod drzwiami.

Sądziła, że już dawno wyzbyła się złudzeń, a jednak znowu zaczęła się miotać między nadzieją na spokojne życie, a strachem, że spotka ją kolejne rozczarowanie. Po cichu liczyła, że Michael nie wie jeszcze o najnowszych wydarzeniach i dlatego się nie odzywa, ale w głębi duszy czuła narastający niepokój.

Aż tu pewnego popołudnia, kiedy zmęczona trudnymi negocjacjami handlowymi wracała do domu, zastała go siedzącego pod drzwiami jej mieszkania na poddaszu.

Zakurzona torba podróżna stała obok niego, a on wyczerpany spał z rozłożoną na kolanach gazetą.

Liliana usiadła przy nim, objęła ramionami i pocałowała czule w policzek. Obudził się i popatrzył jej w oczy; w tym momencie oboje mieli wrażenie, że nie rozstawali się od początku świata.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować? – spytał nagle.

– Aż tak ci pilno? – zaśmiała się, próbując narzucić obojętny, lekko drwiący ton.

– Bardzo. Straciliśmy już niepotrzebnie tyle czasu – pokazał na gazetę leżącą teraz na ziemi. – Czytałaś to? Kayser się zastrzelił.

– Tak. I nigdy nie dowiemy się już prawdy.

– Samobójstwo oznacza przyznanie się do winy. Tak w każdym razie

potraktuje je sąd, a ta Geraldina na pewno będzie się bronić, że to on zmusił ją do popełnienia morderstwa i przekonywał, że zostanie upozorowane zabójstwo. Gdyby jednak się nie udało, zaplanowali rzucenie podejrzeń na ciebie.

– Zawsze myślałam, że rozumiem ludzi, i nie mieści mi się w głowie, że można być tak dogłębnie złym. Chyba już nigdy nikomu nie zaufam.

– Ani mnie, twojemu mężowi? – zaśmiał się. – Teraz jednak marzy mi się coś innego: gorąca kąpiel i trochę snu. Mogę liczyć na twoją przychylność?

– Jak najzupełniej!

– A jutro wrócimy do tematu. Zniknie Liliana Horn, a pojawi się pani Liliana Sturm.

– Ciekawe, ale mam wrażenie, że odmłodziłam o kilka dobrych lat.

– Bo też jesteś młoda! – wziął ją na rękę. – Oboje, jesteśmy młodzi... i mamy przed sobą całą przyszłość!

KONIEC